

**Andre Norton**

# **Na łów nie pójdziemy**

**Tytuł oryginału: Dare To Go A-Hunting**

**Przełożyła: Dorota Żywno**

## Rozdział 1

Było ciepło, za ciepło dla jednego ze znajdujących się w pokoju. Mimo to uważał, że zwrócenie uwagi na ten upał byłoby nieuprzejmością, chociaż okrągła kropla potu zebrała się tuż pod jednym z jego lekko skośnych oczu, aby spłynąć po policzku. Rozległ się cichy szelest, kiedy pokręcił się na taborecie. Jego niewyściełane siedzisko znajdowało się nieprzyjemnie wysoko nad posadzką z jaskrawych kafelków. Ułożono je we wzory, na które mógł spoglądać tylko przelotnie, gdyż przyprawiały go o ból oczu.

To, że gospodarz nie tylko uważał takie otoczenie za normalne, lecz czuł się w nim swobodnie, było jednym z tych irytujących faktów, w jakie od pewnego czasu obfitowało życie Faree.

Napatrzył się do woli na kosmitów przez te złe lata, jakie spędził w obskurnej portowej dzielnicy zwanej Obrzeżem, skąd wywodziły się jego najwcześniejsze wspomnienia. Jednakże domowe życie obcych było czymś, z czym zapoznawał się dopiero teraz, dzięki pełnemu wymachowi kryształowego wahadła losu.

— Gorąco — nadeszła pełna irytacji myśl Toggora, zawsze brzmiąca tak wysoko, że ledwo mógł ją zrozumieć. Koszula Faree zafalowała, kiedy smaks wypełził spod niej i wlepił w jego twarz oczy na szypułkach.

— Więc... jessst ci gorąco, małeńki? — Tym razem nie była to myśl, lecz słowa wypowiedziane z sykliwą intonacją. Siedzący w dość dużej odległości od nich trzeci osobnik wstał; pazury jego pletwiastych i pokrytych łuską stóp zazgrzytały na wzorzystej, kamiennej posadzce. — Uprzejmość jest rzeczą ze wszech miar godną pochwały, moi mali przyjaciele, pozwólcie jednak, aby i mnie przypadł w udziale zaszczyt jej okazania. — Wyciągnął żółtą, pokrytą łuskami rękę, opasaną w nadgarstku i powyżej łokcia szerokimi bransoletami z wytartego, twardego jak żelazo drewna, i nacisnął przycisk na ścianie.

Nie usłyszeli szumu, jednak przez pokój ciągnął teraz silny podmuch, wprawdzie nadal był ciepły, ale lepszy od prażącego powietrza, jakie przedtem stało nieruchomo. Ten, który go włączył, szedł między małymi i dużymi stołami, zaścielonymi taśmami do nauki i pudełkami płyt do czytników. Faree wydał stłumione, miał nadzieję, westchnienie ulgi. Udrapowane na jego ramionach fałdy, spływające wzdłuż pleców tak, że swym skrajem zamiatały podłogę, uniosły się lekko. Nie rozpostarł w pełni skrzydeł — na to potrzebował więcej miejsca — lecz przynajmniej mógł je rozprostować.

Wysoki, stary kosmita przyglądał się Faree z entuzjazmem. Stracił na podłogę całą kaskadę pudełek z płytami do czytników, siadł z cichym sapnięciem i roztarł sobie pokrytą łuskami i rogowymi płytami nogę.

Potem pochylił się, opierając dłonie na kolanach. Faree nie wiedział, od jak dawna Zakatianie dziedziczyli tę płaszczyznę istnienia (w taki bowiem sposób mówili o życiu i śmierci), był jednak przekonany, że Wielki Hist-Techzynier Zoror jest rzeczywiście starym mistrzem tej umiejętności, która, podobnie jak w przypadku całego jego gatunku, polegała na gromadzeniu wiadomości o różnych osobliwościach tej rozległej galaktyki — zwłaszcza o historii nowych ras, których odkrycie od czasu do czasu notowano w dziennikach wypraw. Zaiste długowieczna była ta jaszczurcza rasa, a mimo to nawet najstarsi z nich często twierdzili, że dopiero rozpoczynają swoją pracę.

— Chciałbyśś teraz — zasyczał znów Zoror — żeby ten stary łuskowiec przeszedł od razu do rzeczy i powiedział ci, kim jesteś i skąd przybyłeś. — Zakatianin pokręcił

głową, tak że zmarszczona skórzasta kryza, która otulała tył jego głowy i barki, rozpostarła się niczym wielki, ozdobny kołnierz. — To nie takie proste. — Nie możemy tak po prostu pójść do archiwum i zapytać: „Kim jest ta skrzydlata istota? Z jakiej planety i jakiego ludu pochodzi?” To, co tu widzisz — znów machnął ręką, wskazując otaczające ich sterty taśm i szpilek — to relacje z bardzo, bardzo licznych podróży, dostarczone również przez ludzi, którzy opowiadali niewiarygodne historie. Czasami są to opowieści wyssane z palca, czasami jednak zawierają ziarno prawdy, do której — jeśli Wszechmocny jest łaskawy — można zbliżyć się na mniej więcej tyle! — Uniósł rękę i pokazał mu niewielką szparę pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym.

— Więc nic nie znalazłeś? — Faree niecierpliwił się cały poranek, odkąd wszystko, co potrafił sobie przypomnieć, zostało wprowadzone do pamięci wielkiego komputera. Jego niewielki zasób wiadomości zapisano w celu ich porównania z kombinacjami wciąż wątpliwych faktów.

— Tego nie powiedziałem. Istnieją opowieści o istotach podobnych do ciebie. Mówią o nich bardowie z Loel, Zapamiętywacze z Garth i Myślotańce z Udolfa. Opowieści te zebrano na ponad setce światów, aczkolwiek nie zmienia to faktu, że wszystkie pozostają nieudokumentowanymi baśniami. Ci, którzy je powtarzają, zbierają szczegóły na wielu planetach, najbardziej wiarygodne historie pochodzą jednak z Terry...

— Terra? Przecież to też tylko bajka. — Faree nie próbował ukryć rozczarowania.

— Wcale nie. — Kryza na karku Zorora zafurkotała, kiedy jaszczur potrząsnął głową. — Istnieje pewien element wspólny dla wszystkich światów, z których pochodzą najbardziej zrozumiałe i szczegółowe opowieści. Są to pierwsze planety zasiedlone przez ludzi z Terry. Tak, nie ma najmniejszej wątpliwości, że Terra kiedyś istniała. Świat ten zrodził kilka ras, z których wszystkie obdarzone były jedną niezmienną cechą, a mianowicie ciekawością. Terranie nie byli pierwszymi badaczami kosmicznej ciemności, a mimo to w krótkim czasie rozprzestrzenili się dalej niż wielu ich poprzedników. Przynieśli też ze sobą, tak jak my wszyscy, opowieści — stare, lecz stanowiące część ich życia.

Faree siedział zaszępioty. Pomimo całej swej wiedzy, Zoror miał skłonność do gadulstwa. W innych okolicznościach przysłuchiwałby mu się z zaciekawieniem. Teraz jednak pragnął prawdy, nawet jeśli miałaby mu dać tylko bardzo cienką nić przewodnią.

— Ludzie z Terry... z pewnością nie byli do mnie podobni. — Uniósł rękę, aby musnąć skraj jednego skrzydła.

— Nie, nie byli Faree'ami — potwierdził Zoror. — Przynieśli tylko opowieści o nich. W swych baśniach — wiele z nich zgromadził i zbadał Zahaj w mglistej przeszłości — wspominali o Małym Ludku, który mieszkał czasami pod ziemią...

— Z tym na plecach nie mogli! — zaprotestował, rozpościerając trochę szerzej skrzydła.

— To prawda. Żyły jednak różne ich gatunki lub odmiany. Według tych opowieści niektórzy nie mieli skrzydeł. Wszystkich łączyły dziwne stosunki z ludźmi z Terry. Czasami byli dobrymi przyjaciółmi, czasami zażartymi wrogami. Powiadano, że często wykradali ludzkie dzieci i sami je wychowywali, aby odmłodzić swoją krew. Byli bowiem bardzo starzy, tak że niekiedy ich rasa liczyła tylko kilkunastu osobników. Podobno posiadali wielkie skarby... może nawet zasoby wiedzy! — wykrzyknął na głos Zoror. — Zawsze jednak nadchodził taki czas, kiedy ludzie wyganiali ich z domów, może nawet nie tyle z czystej nienawiści — choć legendy mówią i o takich czynach — lecz dlatego, że mieli ziemię, której oni pożąдали. Wszyscy znają opowieści o nienasyconej chciwości Terran, która rozsnuwała się

niczym czarna mgła wszędzie, gdzie lądowały ich statki, dopóki nie nadszedł dzień Wielkiego Sądu. Zanim do tego doszło, skrzydlate i bezskrzydłe istoty uciekły gwiazdnymi szlakami, nie wiedząc same, gdzie wylądują. Znajdowały planety, na których osiedlały się na jakiś czas. Te same jednak światy przyciągały Terran. Przybywali ludzie, więc Mały Ludek znów musiał ruszać w kosmos. Tak działo się wiele razy, sądząc z legend, które zapisaliśmy. W końcu nie było już więcej meldunków i zostały tylko pieśni i opowieści.

— Więc prowadzili wojnę z Terranami? — Faree zaschło w ustach. Musiał za mocno ścisnąć smaksa, gdyż zwierzątko obróciło się i ostrzegawczo uszczypnęło go w palec.

— Tak, była jakaś wojna, chociaż mało o niej wiemy — przeważnie są to ballady o jakimś Terranie, którego zabiły złe czary Małego Ludku. Z Udolfa na przykład pochodzi cały cykl tanecznych pieśni opłakujących wodzów. Zginęli oni od oręża, który znał tylko Mały Ludek. Istoty te musiały też stosować jakiś rodzaj kontroli umysłów, gdyż przetrzymywały ludzi w swych twierdzach rzekomo przez dzień albo rok, a potem wypuszczały jeńców, aby się przekonali, że w rzeczywistości minęły lata, odkąd opuścili domy. Jest również raport z Mingry. Chodź, sam zobacz.

Zakatianin zaprowadził Faree do większego stołu, na którym piętrzyły się niebezpiecznie kolejne sterty taśm. Zaczął robić na nim miejsce, układając przedmioty na podłodze. Faree szybko się schylił, aby mu pomóc, zwijając ciasno skrzydła, żeby nie spowodować katastrofy.

— Ten zapis — według rachuby czasu większości istot — jest również stary. — Hist-Techżynier manipulował przy czytniku, sprawdzając czy maszyna jest poprawnie ustawiona.

— Mingra? — Faree nigdy przedtem nie słyszał tego słowa.

— Świat mroku, planeta żywo—umarłych... — Zoror zwracał większą uwagę na dysk, który usiłował włożyć do czytnika, niż na pytania. Jeszcze raz obrócił szpulę, umieszczając ją wreszcie na właściwym miejscu. — To była Hańba Mingryjska, hańba dla wszystkich, którzy są kosmicznymi wędrowcami — choć być może przez lata pamięć o niej tak zbladła, że przetrwała już tylko jako jadowny szept. Patrz uważnie, gdyż spowodowała ją nienawiść jednego gatunku do drugiego, jednak nie ma żadnego wytłumaczenia...

Jego głos przeszedł w cichy syk i ucichł. Faree posłusznie spojrzął na mały ekran. Toggor niecierpliwie kręcił się w jego objęciach, dopóki nie położył go ostrożnie na stole przed ekranem. Zwierzątko zwinęło się w kłębek i przypuszczalnie usnęło. Faree nie zamierzał spać. Odkąd przybył do domu Zorora, który pełnił także funkcję głównej siedziby badaczy z całego kwadrantu, obejrzał wiele takich zapisów. Niektóre były tak nieprawdopodobne i fantastyczne, że musiały być rzeczywiście wymysłami podróżników.

Na ekranie ukazał się obraz. Faree drgnął i poderwał się z krzesła. Bowiem nie był to tylko złowieszczy obraz kuli, słabo podświetlonej z jednej strony czerwonym promieniem, lecz w jego głowie...

Nie wiedział, czy była to pieśń, nie potrafił nawet rozróżnić słów tego niewątpliwie zupełnie obcego języka. W głębi jego duszy zrodziło się jednak przecucie, że kryła się w nich prawda, złowroga i potężna. Chwyciwszy krawędź stołu, zmusił się do tego, aby ponownie usiąść, lecz nie rozluźnił uścisku, który dodawał mu sił.

— Boli... ciemno... boli... — Zwinięty dotychczas w kulę smaks obudził się i przycupnął przed ekranem, wymachując wielkimi szczypcami, jakby znalazł się w obliczu jakiegoś potwornego niebezpieczeństwa.

Czerwone światło na ekranie buchnęło ze zwiększoną siłą, jakby narastający dźwięk domagał się obrazu. W owym blasku ukazał się jałowy obszar pełen

poszczerbionych skał, pociętych — przez erozję lub może szpony burz — na granie i płaskowyżu. U stóp wzniesień wciąż zalegał mrok, a smugi cienia ruszały się, jakby rzucało je coś innego niż skały, pod którymi posepnie czatowały.

Trzewiami Faree targnął strach — strach narastający i potężniejszy z każdą chwilą. Sterta szpul z łoskotem spadła na podłogę, kiedy jego skrzydła odpowiedziały na podświadomy bodziec.

W krwawym świetle mignęła z szybkością laserowego pocisku jakaś głowa. Była ucieleśnieniem wszelkiego zła, jakie znał. Kłapała połamanymi zębami i wlepiła w niego oczy podobne do czeluści, w głębi których jarzył się ogień.

To coś znało go, nienawidziło, czyhało na niego! To był...

— Upiór... — Syk Zorora rozproszył straszliwy urok, jakim potwór omal nie omotał Faree, aby wciągnąć go do swej krainy lub wyskoczyć z ekranu. Jak to możliwe? Nigdy w życiu nie widział takiej taśmy. Z czyjego umysłu wydobyto tę okropność, aby ją później badać... i gdzie... kiedy...?

— To był zbiorowy koszmar — rzekł Zoror. Faree usłyszał go, mimo że prawie całą uwagę wciąż poświęcał potworowi. Makabryczne stworzenie wyłoniło się już z mroku. Mgła przerzedziła się, jakby pełzająca bestia zyskała na realności jej kosztem. Stwór pełził na skarłowaciałych odnóżach — nie, raczej na grubych mackach; Faree miał wrażenie, że słyszy plaśnięcia przyssawek, odrywających się i ponownie przywierających do skał, w miarę jak sunął naprzód.

Koszmar? To było bardziej realne niż koszmar. Wystarczająco rzeczywiste, aby zabić, gdyby zaatakowało we śnie.

— Co rzeczywiście się stało — rzekł Zakatianin. — Przyjrzyj się skałom z prawej, mój mały przyjacielu.

Faree miał wrażenie, że jeśli oderwie uwagę od pełzającej bestii, narazi się na jej atak, nawet jeśli była to tylko taśma z nagraniem. Mimo to szybko spojrzął w kierunku, który mu wskazał Zakatianin.

U stóp głazu nie było cienia; wieńczył on raczej jego czubek. Miał ludzkie kształty i... Faree wciągnął gwałtownie powietrze, dławiąc okrzyk. Na szczycie skały stała uskrzydłona istota. Od razu pojął, że to ona kierowała potworem.

Szczuła nim ofiarę, nie po to, aby zabić — przynajmniej nie od razu — lecz żeby dręczyć ją strachem. Uskrzydłona istota. Przypatrzył się jej uważnie. Jej skóra na odsłoniętej nodze, ramieniu i twarzy miała brudnoszary kolor. Oczy, podobnie jak u stwora, któremu rozkazywała, były czerwone i płonące. Nosiła ściśle przylegający do ciała, czerwony strój. Jego barwa współgrała z kolorem coraz jaśniejszego nieba. Skrzydła, które leniwie poruszały powietrze, nie przypominały szerokich skrzydeł Faree, których barwy stapiały się tak płynnie, że po rozpostarciu zachwycaly swym aksamitnym pięknem. Nie, skrzydła przywódcy bezlitosnych cieni były pozbawione tego delikatnego puchu, jaki pokrywał błony Faree. Miały natomiast ten sam ohydnie szary odcień, co jego skóra. Po rozpostarciu odsłaniały groźnie wyglądające haki na czubkach.

— Skrzydlaty... — szepnął cicho Faree. Do strachu, który go wciąż przejmował, dołączył teraz element prawdziwej grozy. Czyżby mogło go łączyć jakieś pokrewieństwo z tą istotą — mimo tego, co Zoror mówił o prawdziwych i zmyślonych opowieściach? Skądś wiedział, że ta opowieść była prawdziwa...

— Tylko dla dwojga. — Zoror odebrał jego myśl i po raz pierwszy, odkąd odkrył swój talent, gdyż umiał się porozumiewać ze smaksem, Faree poczuł się tym urażony.

— Dla dwojga. — Zakatianin nachylił się i dotknął kontrolki jednym z mocno stępionych pazurów, zgasił ekran. Mimo to, kiedy Faree patrzył na monitor, nadal widział na szczycie skały uskrzydłone monstrum, gestem kierujące poczwara zrodzoną z cieni.

— Dla dwojga. — Powtórzył Zakatianin. — Jednym jest śniący, a drugim stwór, który wysłał taki sen! Ta scena pochodzi ze snu małego dziecka, jednego z wielu, jakie przywieziono na leczenie z Mingry na Yorum ponad sto planetarnych lat temu. Spośród nich przeżyło tylko pięcioro. Co się tyczy reszty... koszmary podobne do tego, jaki widziałeś, prześladowały je tak długo, że część umarła ze strachu, a pozostałe tak skutecznie odcięły się od rzeczywistości, że nikt nie potrafił dotrzeć do ukrytych zakamarków, w których przycupnęły przerażone. Stały się zaginionymi dziećmi. Nie mogliśmy im pomóc.

— Mówiłeś jednak o hańbie... — odparł Faree. Widział coś, co mogło wywołać niekończące się przerażenie, lecz nie rozumiał, na czym mogłaby polegać owa hańba. Taki strach nie był powodem wstydu dla żadnego dziecka ani nawet dorosłej osoby.

— Na Mingrze istniała kolonia sennych marzycieli. Uczyli się tam panować nad swymi snami — wyjaśnił Zoror. — Kiedy wezwano ich na ratunek, a dzieci jęczały i krzyczały we śnie, uciekli, odmawiając udzielenia pomocy. Ci, którzy śnią sny, zawsze balansują na krawędzi tego, co większość ludzi nazywa szaleństwem. Bywało, że zadawali ciosy przez sen, a nawet chwyтали za broń i mogli wyrządzić krzywdę osobom znajdującym się w pobliżu. Dlatego wysłała się ich na odludzie, dopóki nie nauczą się panować nad swoją mocą. Jeśli ty zareagowałeś tak gwałtownie na ten zapis snu, pomyśl, jaki wpływ mógłby mieć na kogoś, w kim celowo wzbudzone wrażliwość w tej materii. Senni marzyciele chcieli ochronić nie tylko siebie. Niemniej jednak ci, którzy widzą, jak ich dzieci krzyczą i rzucają się przez potworny, nie kończący się sen... cóż, tacy ludzie nie zawsze mogą odpowiadać za swe czyny. Doszło do brutalnego najazdu na kolonię sennych marzycieli. Pojmano ich i torturowano, kiedy oświadczyli, że nie potrafią ani obudzić dzieci, ani im pomóc. Umierali długo i w mękach. Statek Patrolu na regularnej służbie wylądował na planecie, gdzie ludzie mieli zbroczone krwią ręce, a niejeden umysł nie mógł już znieść ciężaru wspomnień o tym, co się stało. Żyjące jeszcze wtedy dzieci, a nie było ich wiele, zabrano na Yorum, gdzie uzdrowiciele umysłu bezustannie starali się przegnać upiora...

— Upiora — powtórzył Faree.

— Tak nazywały go przez sen. Już wtedy była to bardzo stara nazwa — kolejny fragment Starej Terry, który zawędrował między gwiazdy. Upiorem nazywano kiedyś potwora wymyślonego po to, aby straszyć niegrzeczne dzieci. Dowiedzieliśmy się też, że takie bajki opowiadano na Mingrze, gdzie uważano je za nieszkodliwe i zabawne historyjki.

— Nieszkodliwe? Zabawne? — oburzył się Faree. — Przecież cała ta scena tchnęła złem! Jakie dziecko mogłoby coś takiego wyśnić? Chyba, że jego rasa stosowała kary i miała skłonność do przemocy.

— Dopiero plaga popchnęła ich do takich czynów — odparł Zakatianin. — Żaden z sennych marzycieli nie był też na tyle niezrównoważony, aby tak igrać z własną mocą. Jak z pewnością słyszałeś, śniący są posłuszni nakazom umieszczonym w najgłębszych zakamarkach ich duszy, tak aby swym postępowaniem nie wyrządzili nikomu krzywdy. Pomimo to wszystkie dzieci, których sny potrafiliśmy zapisać, śniły ten sam koszmar. Nie widziałeś jeszcze najgorszego, mój mały przyjacielu. Pewne senne obrazy zamknięto w stanie staży, ponieważ tylko bardzo opanowane i wyjątkowo zrównoważone osoby zdolne są na nie spojrzeć. Przeżywanie wspólnego snu jest możliwe — senni marzyciele uczynili z tej umiejętności prawdziwą sztukę. Osoby, które szkolą się w niej niemal od urodzenia, potrafią nawiązać łączność nawet na skalę międzyplanetarną. Jeśli więc wszystkie dzieci dręczył ten sam koszmar, musiał on mieć jakiś wzór. Patrolowcy, mój własny zespół oraz inne osoby obdarzone różnymi zdolnościami — wszyscy starali się znaleźć źródło tego wspólnego snu,

jednak bezskutecznie. Odkryliśmy natomiast, że w całym sektorze galaktyki, składającym się z pięciu układów, panował niepokój, wybuchały zamieszki, nawet toczono małe wojny. Krążyła również pogłoska — która będzie miała dla ciebie znaczenie — że poszukiwanym nieprzyjacielem była rasa skrzydlatych istot. Nikt ich jednak w rzeczywistości nie widział, chociaż przeprowadziliśmy szeroko zakrojone badania i dotarliśmy do pewnych źródeł, do których zazwyczaj władza nie ma dostępu, na przykład do Gildii Złodziejskiej. Jednakże po wybuchu przemocy na Mingrze najwyraźniej wszystko się uspokoiło. Koszmary nie powróciły, chociaż ochotnicy spośród profesjonalnych sennych marzycieli dziesiątej klasy ofiarowali swoje usługi, aby pomóc w poszukiwaniach. Wreszcie Patrol i władze oznajmiły, że niewątpliwie przyczyną wszystkiego było czyjeś umyślnie złośliwe działanie (ci, którzy tak twierdzili, musieli kłamać w obliczu naocznych dowodów) albo wrodzona wrażliwość dzieci, rozbudzona przez stare bajki. Wtedy władze naznaczyły osadników piętnem Hańby za urządzenie masakry sennych marzycieli i wszystko miało pójść w niepamięć. Zaprzestano poświęcania czasu i uwagi napaści, która w gruncie rzeczy była bardzo błahym wydarzeniem w porównaniu z przemocą, wечно zagrażającą zdrowiu psychicznemu na wszystkich zamieszkałych planetach.

— Więc ten sen... oni nigdy nie uwierzyli, że był prawdziwy? — spytał Faree.

Zoror poskrobał się dwoma pazurami po podbródku tuż powyżej pierwszego podgardzielowego fałdu skórniego.

— O tak, uwierzyli. I przez jakiś czas mieli oczy i uszy szeroko otwarte. Wiele z tych taśm — znów wskazał szpule — to ich sprawozdania. Dlatego mamy teraz łatwy dostęp do materiałów i nie leżą one zapomniane w jakimś magazynie. Co jakiś czas dodajemy jakiś fakt albo podejrzenie — zawsze pogłoski, z których wiele składa się w jedną całość. Mały Ludek, Lud z Kopców...

Faree zeszytniał. Lud... z... z... Kopców!

— Słyszałeś już wcześniej tę nazwę, prawda? — stwierdził Zakatianin.

Faree potarł dłonią czoło, jakby chciał odgrzebać jakieś dawno zatarte wspomnienie. Sięgał pamięcią coraz dalej wstecz... Znajdował się w nędznym namiocie, kulił się na sterwie spleśniałej trzciny, która była jego jedynym pościelaniem. Mężczyzna będący jego właścicielem siedział przy lichym stole, obracając w brudnych dłoniach kubek z obtłuczonym uchem. Na jego dnie wciąż było kilka łyków jakiegoś cuchnącego napoju, który sącył. Lanti uniósł głowę i obejrzał się na Faree. Jego ponure spojrzenie zapowiadało coś, co chłopiec dobrze już znał. Za chwilę masywnie zbudowany łotr nabierze ochoty, aby wezwać go i zbić na kwaśne jabłko. Większość tego gradu ciosów spadnie na jego garbate plecy. O tym dobrze pamiętał — lecz wszystko, co poprzedzało pobyt w tym namiocie i jego żalosną niewolę, przepadło.

— Tak. — Zoror pokiwał głową. — Jakimś sposobem wyczyszczono ci kiedyś pamięć. Kiedy jednak wymieniłem jedno z imion, jakie nadano Ludkowi w przeszłości, zareagowałeś, jakbyś je znał...

Faree potrząsnął głową.

— Nie przypominam sobie. Słyszałem je jednak, na pewno słyszałem! Tylko w samych Obrzeżach, gdzie przewijają się wszelkiego rodzaju kosmiczni wędrowcy, można usłyszeć strzępy rozmaitych opowieści albo przechwałek o wyprawach.

— Aczkolwiek — Zoror popatrzył na niego z troską — jest to jedno z mniej znanych imion ludu, który w rzeczywistości mógł nigdy nie istnieć. Tak czy inaczej, muszę cię ostrzec. Maelen i Krip przywieźli cię tu w nocy powietrznym pojazdem. Wiem, że wiedziało cię niewielu i potrafisz zwinąć je — wskazał jego skrzydła — zdumiewająco ciasno, tak że z oddali w przyćmionym świetle można je wziąć za zmarszczoną pelerynę, jednak za dnia spotkasz wielu ludzi o wzroku dość bystrym,

żeby dostrzec różnicę. Pamiętaj, chłopcze, nie jesteś tu bezpieczny!

— Gildia? — To prawda, że przyczynił się do wykrycia jednego ze spisków tych mistrzów groźby. Czyżby jednak zajmował wystarczająco wysoką pozycję na liście ich wrogów, aby przyciągnąć ich uwagę? Jeśli tak...

Zamyślił się. Maelen i Krip Vorlund byli jego przyjaciółmi. Dzięki ich staraniom wyrwał się z nędzy Obrzeży. To w ich obecności i podczas pracy w ich służbie stał się ten cud — po raz pierwszy rozwinęły się jego skrzydła. Jeśli aż tak bardzo rzucał się w oczy, przebywanie z tymi, którzy tak wiele dla niego znaczyli, mogło z kolei narazić ich na niebezpieczeństwo.

— Nie. — Było oczywiste, że Zoror śledził tok jego myśli. Faree nie próbował ich ukrywać, tak zaabsorbowany był tym potencjalnie niefortunnym odkryciem. — To prawda, że Gildia nie ma powodu życzyć szczęścia żadnemu z was. — Zakatianin zachichotał cicho. — Wszyscy troje przysporzyliście jej mnóstwo kłopotów i wystawiliście ją na pośmiewisko. Gdyby wieść o tym się rozniosła, byliby skompromitowani. Ufam jednak, że jesteście na tyle dyskretni, żeby nie rozpowiadać o tym, co się wydarzyło. Oczekujecie raczej z niecierpliwością tego, co przyniesie dzień jutrzejszy. Atoli wśród rozlicznych paskudnych zajęć Gildii można wymienić pewną odmianę handlu niewolnikami, którą jej członkowie zajmują się przy każdej nadarzającej się okazji. Mają oni listę klientów — wielu z nich mogłoby dla przyjemności kupić całe tę planetę — kolekcjonujących osobliwości. Ty się niewątpliwie do nich zaliczasz i na pewnych światach rozkoszy mogliby zapłacić za ciebie bardzo wysoką cenę. Poza tym Gildia ma własne źródło wiadomości, które może nie dorównuje naszemu, lecz jest lepsze niż, powiedzmy, taśmy informacyjne, jakie studiuje Patrol. Niewykluczone, że dowiedziała się czegoś o Małym Ludku, zwłaszcza od czasu Hańby Mingryjskiej. Zgodnie z legendą, jednym z często wspominanych zajęć tej skrzydlatej rasy było gromadzenie i strzeżenie skarbów. Przypuśćmy, że Gildia ubzdura sobie, że pochodzisz z tego tajemniczego ludu i możesz ją zaprowadzić do skarbu... Ach, widzę, że mnie rozumiesz. Tak więc to głównie dla twojego własnego dobra proszę cię, abyś starał się nie rzucać w oczy.

Faree raptownie odwrócił głowę. Omal nie potknął się o taboret, z którego przed chwilą wstał. Słowa Zorora brzmiały jak brzęczenie owadów, gdyż młodzieniec podniósł wysoko głowę i rozdętymi do granic możliwości nozdrzami wciągał powietrze do płuc. W pokoju dotychczas czuć było stęchlizną, kurzem i czasem. Teraz napłynęła fala innego zapachu. Wcześniej podczas oglądania tej potwornej sceny zniecka ogarnął go strach, teraz zaś poczuł zachwycającą woń. Wypełniała jego płuca, sprawiła, że zatoczył się ku drzwiom. Wszystkie kwiaty, jakie znał... korzenny aromat krzewów... przenikliwy zapach wody na pustyni. Ominął stół, unosząc i rozkładając skrzydła. Przeworza... musi wzlecieć...



## Rozdział 2

Bariera znikła i na progu stanęli Maelen i Krip. Ale gdzie była ta trzecia? Nie mogła się chować za nimi, ponieważ Faree i tak dostrzegłby czubki lub brzegi jej skrzydeł. Wiedział...

Gdzie ona jest!

— Kogo szukasz, braciszku? — spytał Krip, przyglądając mu się uważnie. W jego głosie zabrzmiała nuta zatroskania.

— Jej... tej wdzięcznej... tej, która lata spowita pięknnością! Gdzie ona jest, mój bracie, moja siostrze? Ukryliście ją? — Nagle przypomniał sobie ostrzeżenie, którego zaledwie przed chwilą udzielił mu Zoror. — Na statku? Chyba nie jest z Gragal! Oni przedtem nie widzieli istot podobnych do nas... Tak — Faree wskazał palcem — powiedział mi.

Miał ochotę krzyknąć, śpiewać, wzlecieć triumfalnie w niebo, aby spotkać ją wysoko wśród chmur, gdzie biegła ich własna droga. Jednak na twarzach jego przyjaciół nie widać było uśmiechów. Dotarła natomiast do niego myśl Maelen, tłumiąc podniecenie, jakie go ogarnęło.

— Tu nikogo nie ma, braciszku — ani z nami, ani na statku. Dlaczego sądziłeś...?

Faree podszedł do niej z wyciągniętymi rękami i wtedy chłód zgasił nagłą radość, jakiej doznał po raz pierwszy w swym ciężkim i jałowym życiu. Ten zapach — nie, nie mógł się mylić! Dobiegał z...

Nagłym ruchem wyszarpnął z rąk Maelen jakiś pakunek zawinięty w kawałek lukswełny, jaką otula się delikatne przedmioty po dokonaniu zakupu. Opakowanie otworzyło się i ujrzał wtedy coś, co eksplodowało płynnie stapiającymi się barwami: różem, perłową bielą i ciepłą szarością wczesnego zmierzchu.

Faree nadal wpatrywał się weń, kiedy owionął go przepiękny zapach, wypełniający jego nozdrza przy każdym oddechu. Ona... ona...

Krzyknął ochryple i upuścił tę cudną rzecz na najbliższą stertę martwych taśm. Ale łączyło się z nią potworne okrucieństwo, cierpienie tak straszne, że natychmiast zdławiło wszystko, co czuł początkowo, zastępując te uczucia przejmującym bólem. Potem z tej męki zrodził się gniew, olbrzymi, wzbierający w nim, dopóki nie zamachnął się i nie stracił na podłogę stosu taśm. Obnażył zęby tak mocno, że wyglądał jak warczące zwierzę, które nie potrafi inaczej dać upustu swej wściekłości, jak tylko wykorzystując kły i pazury. Drugą ręką wyszarpnął zza paska krótki nóż — pamiątkę spotkania z Gildią. Kto mógł mu za to zapłacić... za to cierpienie, smutek... ŚMIERĆ!

— Gdzie...? — warknął bełkotliwie. — Gdzie to było? — Nie odważył się ponownie dotknąć wielobarwnego przedmiotu; samo patrzenie sprawiało mu ból.

Maelen ostrożnie podeszła do niego. Niewielkie ciało Faree dygotało z chęci, aby się na nią rzucić, chociaż była taka duża, i wytrząsnąć z niej to, co chciał wiedzieć. Kobieta podniosła przepiękny drobiazg i rozwinęła go jednym ruchem. Zmuszony patrzeć pomimo wściekłości i zgrozy, zobaczył w jej ręku coś, co wyglądało jak szal. Pasek wycięto z ukosa, co uwypuklało grę kolorów.

— Co to jest? — Maelen nie próbowała przeniknąć zamętu, jaki panował w jego umyśle. Odezwała się cichym głosem, jakim przemawiała do swoich ukochanych maleństw

— tych dziwnych i znajomych zwierząt, z którymi dzieliła życie. — Co to jest, braciszku? — spytała powtórnie.

Od zbyt wielu gwałtownych emocji, jakie targnęły nim w tak krótkim czasie,

zrobiło mu się niedobrze i kręciło mu się w głowie; musiał przytrzymać się krawędzi stołu. Trzy razy przełknął ślinę, zanim zdołał wykrztusić słowo.

— To... to jest kawałek skrzydła! — Jego własne skrzydła zadrżały, kiedy to powiedział.

— Doprawdy? — odparł Krip Vorlund. — Czy takiego jak twoje?

Faree odwrócił głowę, żeby nie patrzeć na ten mieniący się barwami strzep, który Maelen znów wzięła do ręki. Wspomnienia... czy on coś takiego pamiętał? Borykał się ze swoją wściekłością i wreszcie ją stłumił.

— Być może podobnego do mojego. — Tylko że to, pełne ciepłych barw, było piękniejsze niż jego zielone skrzydła.

— Czy możesz nam powiedzieć coś więcej, braciszku?

— zapytała Maelen, przyjaciółka wszystkich — skrzydlatych i czworonogich — żywych stworzeń, przyglądając mu się badawczo.

Faree nawet nie podniósł ręki. Skrzywił się, gdy poczuł pieczenie w gardle. Nadal był wściekły, lecz czuł coś jeszcze — stratę tak wielką, że przytłaczała go jak brzemię jego skrzydeł, zanim uwolnił je czas i wielki wysiłek.

— Ona nie żyje... — rzekł i w duchu zapłakał.

— Jak umarła? — Trzeźwy głos Vorlunda uspokoił Faree na tyle, że mógł odpowiedzieć.

— Nie wiem. Jeśli spróbuję się tego dowiedzieć — przesunął chudymi palcami kilka cali nad szalem — poczuję tylko to, co ona czuła, a nie w jaki sposób zginęła i gdzie to się stało.

Zoror rozpostarł skórzasty kołnierz na szyi. Schylił się lekko, jakby próbował wydobyć więcej informacji z tego skrawka jedwabiu.

— Przemyt... kontrabanda? — Ostry ton pytania sprawił, że jego syk stał się niemal niesłyszalny. Nie próbował jednak dotknąć szala, który wciąż łopotał, chociaż nie było wiatru.

— Więc import tego towaru jest zakazany? Dlaczego ktoś miałby ryzykować utratą praw do podróżowania w kosmosie po to, żeby handlować czymś takim? Jakie ten przedmiot ma zalety, oprócz piękna? — Vorlund zadał pytania w imieniu ich wszystkich.

Przemyt był rzeczywiście na wszystkich planetach uważany za ciężkie przestępstwo i siły wymiaru sprawiedliwości, tak na planetach, jak i w kosmosie, nieustępliwie dążyły do znalezienia i ukarania tych, którzy się nim zajmowali.

— Nie mam pojęcia — odparł Zakatianin. — Ponieważ oficjalnie handluję ciekawymi drobiazgami z innych planet, przedmiotami mogącymi uzupełnić nasze archiwa choćby o kilka słów, jestem członkiem Gildii Importerów, nie tylko na tej planecie, ale także na pięciu innych. Ta rzecz znajduje się na liście towarów zakazanych...

— A jak ją skatalogowano? — Maelen ostrożnie odłożyła szal na stół.

— Jako pajęczego jedwab — nowego rodzaju — o którym natychmiast należy powiadomić najbliższy posterunek Patrolu.

— Nie znam tego pajęczego jedwabiu. — Faree nie mógł oderwać oczu od połyskliwej szarfy. — Ale to nie może być...

— Nie. — Krip Vorlund pokręcił głową. — To najwyraźniej coś więcej. Ten strzep wycięto ze skrzydła...

Na dźwięk jego słów Faree zadygotał i znów musiał przytrzymać się krawędzi stołu. Próbował przestać o tym myśleć. Wśród nędzy Obrzeży, gdzie tych dwoje znalazło go i ocaliło od gnicia wraz z innymi włóczęgami, którzy ugrzęźli w bagnie zła, jakim w rzeczywistości była ta rozległa osada w pobliżu kosmicznego portu, po raz pierwszy uzmysłowił sobie, że potrafi rozmawiać myślami. Dzielił się nimi ze

smaksem, także więźniem. Potem przyszło tych dwoje i zabrało Toggora, a wraz z nim i jego. Widział wiele rzeczy wzbudzających strach i grozę, lecz żadne z nich nie poruszyło go tak, jak ten przedmiot — jakby próbował odemknąć drzwi, które zaprowadziłyby go do innego czasu i miejsca, gdzie nie wolno mu jeszcze wkroczyć...

— Jeśli znajduje się na liście towarów zakazanych — powiedziała Maelen — ktoś musi wiedzieć, co to jest i skąd pochodzi — przypuszczalnie widziano to już wcześniej.

Wtedy odezwał się Zoror:

— Skrzydła, bracie. — Spojrzał na Faree i w jego oczach, częściowo przesłoniętych fałdami łuskowatej skóry, pojawiła się troska. — Potrafisz nam powiedzieć, kto to zrobił albo gdzie?

Faree poczuł ogarniającą go falę mdłości.

— Ja...

— Nie! — przerwała mu Maelen. — Jedynym miejscem, do którego on boi się zajrzeć, jest przeszłość, a stamtąd to pochodzi. — Odgarnęła z czoła Faree pasmo włosów wilgotnych od potu.

— A gdzie ty znalazłaś ten szal, Córko Księżycowej Mocy? — spytał Zoror oficjalnym tonem, jakby oczekiwał złożenia zeznań.

— Był jawnie wystawiony na sprzedaż na bazarze. Możemy przecież sami pójść na poszukiwania! — odparła. — Może Faree znajdzie tam wskazówkę i jego umysł będzie mógł ją bezpiecznie przyjąć.

— Szukajcie kosmicznego wędrowca, od którego odwróciło się szczęście — skomentował Vorlund.

— Wędrowca, który przypuszczalnie odwiedził wiele planet, znanych i nieznanymi — dodał Zoror, jakby atakował jakiś problem z całą siłą swojej wiedzy. — Musimy koniecznie znów się spotkać z tym kosmonautą, zapewne najlepiej na jego własnym terenie. Może mieć tego więcej! — Nie dotknął szala, wskazując go pazurami. — Nasz mały braciszek potrzebuje jednak ochrony. Zobaczmy...

— Ochrony? — zaciekawiał się Vorlund.

— Tak. Wszystko wyjaśnię, kiedy będziemy mieli więcej czasu. Zapada zmierzch i sądzę, że powinniśmy zająć się tym, co mamy zamiar zrobić, zanim nadejdzie noc.

Maelen wprawnie zarzuciła na Faree pelerynę z kapturem, mocując mu kaptur na czubkach skrzydeł i zostawiając szparę do patrzenia z przodu. Teraz młodzieniec dorównywał wzrostem swoim towarzyszom. Zanim wyszedł, Toggor zeskoczył ze stołu, na którym siedział skulony, sprawiając wrażenie zaledwie kłębka sterczących szkarłatnych kolców, i dał susa w szczelinę widokową w płaszczu, wczepiając się w jego koszulę wszystkimi ośmioma odnóżami.

Gdy wyszli na mały dziedziniec domu, gdzie mieszkała drużyna Zorora, Zakatianin przemówił do tarczy na nadgarstku, wzywając skuter. Vorlund pokręcił głową.

— Z całym szacunkiem, Wielki Techniku, ale w tym pojeździe będziemy rzucać się w oczy jak połówka żetonu na zamiecionym chodniku.

— Masz rację — odparł Zoror, po tym jak mały śmigacz wylądował, oczekując na rozkazy. — Dostaniemy się nim jednak do portowej bramy. Będzie tam wielki ruch — a my przez ten tłum przeciśniemy się do bramy Faxe — stamtąd już tylko krok do Ulicy Handlarzy.

Maelen przyjrzała mu się uważnie.

— Starszy bracie, mówisz jak ktoś, kto opuszcza pole przegranej bitwy i spodziewa się, że prześladowca podąży jego śladem. Twierdzisz, że Faree grozi niebezpieczeństwo. Co tu się dzieje?

— O to samo mógłbym spytać ciebie, siostrzyczko — odparł Zakatianin. — Tego

braciszka ktoś czujnie obserwuje, co do tego nie mam wątpliwości. Tak, może mu grozić ogromne niebezpieczeństwo. Dlatego staramy się zachować wszelkie środki ostrożności.

Weszli do śmigacza i Vorlund nachylił się, żeby wystukać na klawiaturze miejsce przeznaczenia.

Faree zajmował więcej przestrzeni niż powinien, ponieważ nakryte płaszczem skrzydła znów utworzyły garb, który kiedyś tak bardzo mu ciążył. Przynajmniej zostawili ten strzęp skóry ze skrzydła i uwolnił się od jego wpływu — chociaż nie pozbył się tego dokuczliwego, tępego bólu — głębokiego przekonania, że gdzieś stało się takie nieszczęście, jakiego on sam, pomimo wszystkiego, co wycierpiał na Obrzeżu, nigdy nie zaznał. Popatrzył po kolei na trójkę swoich towarzyszy. Sądząc z tego, co potrafił wyczytać z pokrytej łuskami twarzy Zorora, Zakatianin zachował niewzruszony spokój. Maelen siedziała wyprostowana, a jej oczy błyszczały jak za dawnych czasów. Faree znajomy był też grymas zaciśniętych warg Vorlunda i fakt, że kosmiczny podróżnik przesuwiał dłonią po pasku, jak gdyby szukał rękojeści długiego noża albo ogłuszacza. Kiedy tu wylądowali, zgodnie z prawem obie bronie zostały zamknięte w sejfie przez urzędników portowych.

— Gdzie jest ten kupiec? — zaciekał się Zoror.

— Na samym skraju bazaru — odparła Maelen — niedaleko domów, gdzie ubożsi mogą znaleźć nocleg. — Nakryła dłonią noszoną na nadgarstku tarczę, która wskazywała, jakim majątkiem dysponuje.

— Wylądujemy więc przy Bramie Niezarejestrowanych Przybyszów. — Zoror postukał pazurami w łuski pokrywające jego wargi. — Potem...

— Ktoś nas śledzi — przerwał mu Vorlund. — Jakiś prywatny śmigacz leci tym samym pasmem i nie zmienia kursu. Tutejsze rody kupieckie mają własne barwy, nieprawdaż?

Zoror nie odwrócił się, aby samemu spojrzeć i upewnić się, że jego towarzysz miał rację, co dowodziło zaufania, jakim obdarzał Vorlunda.

— Tak, to prawda.

— Więc, który z nich szczyli się godłem z trzema czerwonymi pasami i złotym słońcem pośrodku?

Zoror dwukrotnie zamrugał. Faree miał ogromną ochotę odwrócić się i zobaczyć, o czym mówił Vorlund, ale był zbyt ciasno otulony płaszczem, żeby próbować.

— To nie ma sensu — rzekł Zakatianin.

— Co nie ma sensu i dlaczego? — spytał kosmiczny wędrowiec.

— — Mówisz o barwach domu, zajmującego się handlem na morzu. Jego przedstawiciele nie pokazaliby swojego emblematu tak daleko w głębi kontynentu. Morskie rody należą do innej rasy; większość z nich wychodzi na ląd tylko na wezwanie Rady, a i to czyni bardzo niechętnie. Żaden nie ma tu nawet podrzędnej filii.

— Nie! — rozległ się rozkazujący głos Maelen, dość stanowczy, aby wszyscy spojrzeli na nią. Miała zawzięty wyraz twarzy, a jej dłonie, oparte na kolanach, wykonywały ruchy, które zdaniem Faree, były gestami Księżycowej Śpiewaczki.

— Nie myśl sobie — zniżyła głos prawie do szeptu — że nikt nie szuka!

Faree szedł własną starą ścieżką. Przed oczami stanęła mu wieża. Była podobna do tej strażnicy na Yiktor, gdzie otrzymał należne mu dziedzictwo, a Maelen odkryła pogrzebaną i dawno zapomnianą historię swego ludu. Nie zbudowano jej z kamienia ani żadnego znanego mu materiału budowlanego; oczami wyobraźni widział, jak szybko staje się ciemnoróżowa. Przestrzeń między piętami to powoli się rozjaśniała, to znów przechodziła w ciemną szarość przybierającą aksamitny odcień wczesnowieczornego nieba...

Tak mocno się na niej skupił, że kiedy Maelen go dotknęła, drgnął jak ktoś gwałtownie wyrwany z głębokiego snu.

Śmigacz wylądował. Tuż za ich plecami wznosiła się brama, o której wspominał Zoror, chociaż o tej porze nikt tamtędy nie przechodził. Niedaleko znajdował się rozległy port wewnątrz portu, dzielnica takiego samego brudu i bezprawia, co Obrzeża. Wielu nazywało ją swym domem: piloci zmuszeni oddać licencję czy handlujący przemyconym towarem. Tutaj z pewnością można było zaopatrzyć się w takie ogłuszacze, jakie Vorlund i Maelen oddali po wylądowaniu.

Faree miał wrażenie, że ciemniejące niebo nad dżunglą niszczących i na pół zrujnowanych budynków przesłania dym znad jakiegoś cuchnącego ogniska. Otulił się mocniej peleryną i delikatnie pogładził Toggora. Być może ten gest sprawił, że czasami nieuchwytny wzór myśli stworzenia zjednoczył się z jego umysłem na kilka chwil.

— Tam... tam...! — Przesłanie było tak naglące, że Faree mimowolnie przebiegł kilka kroków, zanim Vorlund złapał go za ramię.

— Nie tak szybko, braciszku — powiedział cicho kosmiczny przybysz. — Wciąż nas obserwują i oby tylko zainteresowanie tym, co robimy, nie sprowokowało ich do ataku, jeśli to właśnie planują.

Mimo tego ostrzeżenia Faree uniósł głowę; jego peleryna załopotiała, kiedy obracał się na boki. Ten zapach! Znowu poczuł aromat wypełniający wcześniej pokój Zorora. Ta woń była znacznie słabsza, gdyż musiała walczyć z wszystkimi smrodami ulicy. Kiedy jednak raz ją poczuł, nie mógł jej już zgubić.

— Dobrze, bracie — rzekł Vorlund. — Prowadź nas, ale bądź ostrożny.

Faree nie zwrócił większej uwagi na jego słowa. Wysunął się na czoło grupy, zostawiając pozostałych kilka kroków z tyłu.

— Niedobry... boli... niedobry... — To był znowu Tog—gor. Faree nie potrzebował ostrzeżeń smaksa, gdyż zapach, który go prowadził, zaczął się zmieniać. Strach — tak, to był niewątpliwie strach! Nie oglądając się na towarzyszy, dotarł do pierwszej smrodliwej ścieżki, pełniącej rolę ulicy w tej nowej wersji Obrzeży. Podkasał poły peleryny i otulił się nimi ciasno na widok dwóch zataczających się pijaków. Posłużył się nabytymi w minionych latach umiejętnościami, aby ich ominąć, chociaż jeden z mężczyzn wymierzył cios w miejsce, gdzie znajdowałaby się jego głowa, gdyby płaszcz rzeczywiście okrywał wysokiego człowieka, na jakiego wyglądał.

Na ulicę wylegało coraz więcej ludzi. Część z nich szybko przemykała, korzystając z osłony ciemności. Coraz więcej było pijanych i takich, którzy dopiero mieli zamiar się upić. Napoje odurzające i narkotyki, jakie można było dostać w tych zaułkach, zapewne były rozcieńczane i mieszane z innymi substancjami, aby osłabić ich działanie, lecz potrzebujący ich zdążali do miejsc, gdzie mogli się w nie zaopatrzyć.

Dwie knajpy gapiły się na siebie złośliwie z przeciwległych stron zaśmieconej ulicy. Powoli zapalały się w nich światła, a z wnętrza dobiegał ogłuszający huk muzyki.

— Wejść... — Wydawało się, że Toggor krzyknął, tak głośna była jego myśl. Faree włożył rękę pod luźną wierzchnią koszulę, żeby dotknąć szczeciny na grzbiecie smaksa. Nie potrzebował już ponaglenia Toggora — sygnał, za którym szedł, z każdą chwilą stawał się wyraźniejszy.

Ból i strach: teraz upewnił się, że oba te doznania pochodziły z przeszłości — i nie śpieszy na ratunek jakiemuś jeńcowi. Niemniej jednak tam, gdzie można było znaleźć strzępy skrzydeł, można dowiedzieć się, skąd pochodziły. Oczywiście handlarz będzie kłamał. Faree obnażył na chwilę szpiczaste zęby, uśmiechając się tajemniczo. Oprócz niego byli tu także Maelen i Vorlund, Zakatianin i oczywiście Toggor. Wszyscy mieli

dar czytania w myślach. Jego zmysł wyostrzył się przez te ostatnie miesiące, kiedy podróżował z dwojgiem kosmicznych wędrowców, i wiedział, że teraz potrafi się nim posługiwać dużo lepiej niż poprzednio.

29 Zobaczył przed sobą zbiegowisko. Zatrzymał się na chwilę i spojrzął na przeszkodę dzielącą go od celu poszukiwań. Jeśli zacznie przeciskać się przez tłum, wystarczy jeden szturchaniec pijaka, żeby zerwać z niego pelerynę i zdradzić go przed kupcem, który handlował skrzydłami.

Większość osób tłoczyła się wokół sceny wznoszącej się na wysokość ramion mężczyzny. Na niej jakiś wysoki i bardzo chudy człowiek, w stroju tak obcistym, że wyglądał w nim jak kościotrup, wymachiwał szczupłą dłonią o sześciu palcach. Z czubka każdego z nich strzelał płomień. Z przewróconej skrzynki służącej za stół, mężczyzna wyjął nieduże naczynie do połowy wypełnione jakąś cieczą i przechylił je najdalej, jak mógł bez wylewania zawartości, aby widownia, a przynajmniej osoby stojące tuż przy podwyższeniu, mogły się upewnić, że w misce rzeczywiście coś się znajduje. Kiedy przekonał już o tym część publiczności, umieścił naczynie w szczypcach tuż nad własnymi płonącymi palcami, wymawiając przy tym niezrozumiałe słowa. Teraz przyciągnął ich uwagę. Gdy przysunęli się bliżej, w tłumie przed Faree powstała niewielka luka, przez którą mógł się przecisnąć. To, czego szukał, znajdowało się bardzo blisko; zew przesycony był coraz większym bólem i Faree ustalił, że dobiegał z budki tuż za plecami magika. Wydawało się, że w środku jest pusto, chociaż tuż przed wejściem stał mężczyzna w poplamionym wytartym mundurze członka załogi jednego z dużych statków korporacyjnych, wpatrujący się w iluzjonistę.

Faree wszedł do straganu i zaczął przyglądać się wyłożonym tam towarom. Była to po części tandeta z rodzaju tej, jaką kompanie wciskały tubylcom na niedawno otworzonych dla handlu światach, których mieszkańcy nie znali prawdziwej wartości przedmiotów z innych planet. Nie tego jednak szukał. Poczł ruchy Toggora i wiedział, że smaks chce się wydostać, poradził mu jednak szybko w myślach, żeby poczekał jeszcze chwilę.

Sam trzymał rękę nad ladą, otulając się peleryną najciaśniej, jak mógł. Powoli przesuwiał dłoń, trzymając palce złożone razem i wyprostowane. Nie, nie czuł tego na kontuarze, ale blisko, bardzo blisko. Będzie musiał mimo wszystko narazić Toggora na niebezpieczeństwo. Ukradkiem obserwując plecy mężczyzny, najprawdopodobniej handlarza, zrzucił smaksa na sterty towaru. Toggor potrafił w razie potrzeby szybko się poruszać. Teraz pędził po przedmiotach wystawionych na sprzedaż, chociaż raz musiał się zatrzymać, żeby strzepnąć z łapy krzykliwy naszyjnik ze sztucznych kryształów ru. Kiedy dotarł do końca wąskiej półki, wychylił się do połowy za jej krawędź, trzymając się powierzchni tylko dwiema tylnymi nogami. Strach—cierpienie nagle przybrał na sile. Faree zaparł się nogami w ziemię, jakby stał na drodze gwałtownej burzy.

Smaks znów się pokazał, wywlekając jakiś płaski pakiet, który zagarnął ze sobą kilka bezwartościowych świecidełek. Faree cały dygotał. Strach—zgroza szybko przeradzał się w gniew. Rzucił okiem na towary, lecz nie było wśród nich broni. Żaden niezarejestrowany handlarz nie chciałby, żeby Służba Bezpieczeństwa znalazła ją u niego. Faree chwycił pakunek. Dygotał coraz mocniej i przestał trzymać pelerynę, tak że w każdej chwili płaszcz mógł zsunąć mu się z ramion.

Toggor skoczył i wylądował na piersi chłopca. Wysunął szczypce, złapał za poły płaszcz i zaciągnął je za sobą. Faree tak drżały ręce, że omal nie upuścił pakietu.

— Hej, ty! Usiłujesz to wziąć bez płacenia? Nie z Ryssem Onvetem takie numery, o nie. Zaraz wezwę strażnika miejskiego. Może dla was, pyszałków z miasta, jesteśmy śmieciami, ale mamy swoje prawa. Nie jesteśmy nigdzie notowani.

— Ależ oczywiście. — Faree zorientował się, że po jednej jego stronie staje Zakatianin, a po drugiej Maelen i kosmiczny wędrowiec. — Mój przyjaciel chce dokonać zakupu. Czekał, żebyś zwrócił na niego uwagę. Muszę przyznać, że ten magik jest świetny, rzeczywiście doskonały. A teraz, jeśli zechcesz przejść do interesów, ile mój przyjaciel jest ci winien?

Mężczyzna miał na czole grubą bliznę wykrzywającą nienaturalnie jego brwi, lecz pomimo przytłaczającego uczucia, jakie było z pakietu, Faree zauważył, że patrzy na nich zmrużonymi oczami, jakby rozglądał się za czymś lub kimś nieobecnym.

Musiał szybko podjąć decyzję, gdyż czym prędzej odparł, posługując się mową handlarzy dla podkreślenia wagi swych słów, że nie prowadzi interesów z nieznanymi...

— Czyżbyś więc handlował tylko ze swoimi sąsiadami? — spytała Maelen. — Przez to twój rynek jest bardzo mały i podejrzewam, że niewiele udaje ci się sprzedać.

— Szlachetna Fem — Kupiec powiedział to takim tonem, jak gdyby te uprzejme słowa grzęzły mu w gardle — handluję z wszystkimi, lecz sprowadzam także towary na specjalne zamówienie. Wasz przyjaciel wziął właśnie jeden z nich. Mógłbym także do skargi na niego dodać zarzut kradzieży, ponieważ rzecz, którą zabrał, w ogóle nie jest na sprzedaż.

— Nie? Spójrz na mnie, handlarzu, i na mojego przyjaciela. — Maelen nieznacznie wskazała Kripa Vorlunda. — Czyżbyś nie sprzedał nam niedawno pewnej ciekawostki, która w rzeczy samej była towarem dużo lepszej jakości niż wszystko, co tu wystawiasz?

Mężczyzna otworzył usta, jakby chciał natychmiast jej zaprzeczyć, lecz potem spojrzał za nich, jak gdyby oczekiwał stamtąd pomocy.

— Czy to prawda? — nalegała Maelen.

Kupiec kaszlnął i rozmasował gardło, jakby połknął coś, czego nie mógł wypluć.

— Tak — odparł głosem niewiele głośniejszym od szeptu.

— Sssenssowna odpowiedź — Zakatianin tak zasyczał, że Faree przez chwilę sądził, że towarzyszy jakiemuś wielkiemu gadowi. — Co to jessst? — Podszedł do młodzieńca i bez trudu wyjął pakiet z jego dłoni. — Ssskarb? Powinieneśś go więc zadeklarować... — Sycząc coraz wyraźniej, bez wysiłku podważył pazurem wierzchnią warstwę opakowania i jednym szarpnięciem odsłonił zawartość pakietu.

Faree już wiedział, co zobaczy. W środku znajdowały się dwa kolejne kawałki połyskliwego materiału ze skrzydeł. Jeden był czerwono-brązowy ze smugami w kolorach cieplej żółci i pomarańcza. Drugi zaś...

Zielony, w rozmaitych odcieniach zieleni, nie tak ciemnych, jak te, którymi pyszniły się jego skrzydła; jaśniejszych.

Nie zielony — czerwony! Cały świat poczerwieniał. Faree wydał dziwny okrzyk, jaki nigdy dotąd nie wydarł się z jego ust, i wyciągnął ręce — nie po to, aby pochwycić to, co trzymał Zakatianin — lecz żeby zacisnąć dłonie na szyi wyłaniającej się z poplamionego kołnierza zhańbionego munduru, aby wbić palce w brudne czerwone ciało handlarza i dusić, dusić, dusić!

## Rozdział 3

— Precz ode mnie...! — Kupiec uniósł rękę. Skądś wziął pasek, którym ciasno owinał palce; jego metalowe płytki najeżone były ostrymi kolcami. Przyczaił się za wypaczoną ladą z rozłożonym towarem i wymachiwał uzbrojoną ręką.

Czerwona mgła przyćmiewająca oczy Faree nie rozwiała się, lecz niespodziewanie poczuł na ramionach ciężar dłoni, a w jego umyśle pojawił się zakaz działający tak skutecznie, jak gdyby oplatała go sieć myśliwego. Mógł myśleć i patrzeć na to, czego pragnął, lecz ręce trzymające go za ramiona wlekły go do tyłu, a szybko umieszczona w umyśle bariera uczyniła go bezradnym — chociaż nie aż tak bezradnym, żeby nie zdążył pochwycić skrawka zielonego skrzydła.

Potem odwrócono go i pchnięto w głąb krętej uliczki wiodącej w stronę portu. Z czasem uścisk rozluźnił się na tyle, aby mógł sam stawiać kroki, jeśli tylko szedł przed siebie, a nie w stronę kramu handlarza. W duszy jednak czuł zamęt, wpierv podsycany przez gniew, a potem przez strzępy faktów, które z pewnością nie były jego wspomnieniami!

Wzgórza nad zieloną równiną niknące w srebrzystej mgiele; nie dojrzał słońca, a jednak skądś biła jasność. Widział tylko strzępki obrazów, znikające, zanim zdążył się na którymkolwiek skupić. W nozdrzach czuł rozliczne zapachy, zabijające smród zaułka, jakim go prowadzono.

W tej zielono-srebrnej krainie zapadła nagle ciemność. Domyślał się, że nie była to prawdziwa burza. Jeśli rzeczywiście patrzył czyimiś oczami — przeżywał czyjeś wspomnienia — w owych wspomnieniach nadleciał potężny wir zła i zdmuchnął wszystko, czego był świadkiem. Nie potrafił dostrzec źródła tego zła. Poczuł tylko... wpierv ukłucie ciekawości, tak bolesne, jakby rzeczywiście ugodził go ostry nóż. Obawiał się o swoje życie, lecz co gorsza, także o życie tej, której nie widział, lecz która była częścią jego samego nie mniej niż ręka albo serce...

Wkroczył do krainy snu, nieświadomy tego, czy ktoś mu towarzyszy, wiedząc tylko, że śmierć ruszyła na łowy, a on musi stanąć między myśliwym i jego ofiarą.

Potem... po raz ostatni przeszył go ból. Wydawało mu się, że krzyknął, cały czas próbując spojrzeć w twarz temu, co się za nim skradało. Teraz jednak panowała nieprzenikniona ciemność. Kiedy się w niej pograżył, zrozumiał, że był zbyt słaby, zbyt mały i niewyszkolony. To był mrok śmierci i kobieta się w niej rozplynęła. Zamrugał i zobaczył przed sobą Bramę Niezarejestrowanych Przybyszów w porcie. Obejrzał się za siebie. Ktoś wciąż trzymał dłonie na jego ramionach — Maelen. Obserwowała go bardzo uważnie.

— Co się stało, braciszku? — spytała. Jej głos wydawał się dochodzić z bardzo daleka.

— Śmierć... — odpowiedział prawie szeptem i wytarł dłonią oczy. Nie było łez, które mógłby ocierać; wciąż kipiała w nim wściekłość. Drugą rękę, okręconą strzępkim jedwabiu ze skrzydła, wsunął pod pognieciony płaszcz i dotknął koszuli na piersi. Toggor! Gdzie był Toggor?

Korzystając z faktu, że przyjaciele wypuścili go z uścisku, Faree odwrócił się tak szybko, że peleryna załopotowała za nim. Dopiero po kilku sekundach poczuł ostrzeżenie, chłodniejsze i bardziej nieubłagane niż jego gniew. Wtedy jednak znajdował się już o kilka kroków od nich wszystkich.

— Toggor! — wysłał myśl, tak jak wołałby na głos przyjaciela, z którym mógł się komunikować tylko mową.

— Tutaj... my... — Cokolwiek smaks chciał dodać, nie zdążył. Została tylko



pustka, a Faree ją rozpoznał. Istniały pewne urzędnicy, znane zarówno Patrolowi, jak i Gildii Złodziejskiej, potrafiące wygłuszyć każde myślowe przesłanie. Aby jednak ich użyć, ktoś musiał podejrzewać Toggora — i samego Faree.

Pragnął rzucić otulający go płaszcz i wznieść się w powietrze, żeby odnaleźć przyjaciela. Toggor, kiedy nadał to urwane wołanie o pomoc: tym właśnie bowiem był jego komunikat, znajdował się na samym skraju zasięgu.

Faree nie zauważał już swoich towarzyszy. Kontakty, jakie nawiązał myślami w przeciągu minionej godziny, najwyraźniej w jakiś sposób zerwały bliską więź, jaka łączyła go z kosmicznymi wędrowcami i Zakatianinem.

Oni jednak nie stracili kontaktu z nim. Faree zauważył, że ktoś do niego podchodzi i odsunął się, nie chcąc, by znowu unieruchomiła go przeważająca siła umysłu czy ciała. To była Maelen, lecz nie próbowała ponownie go łączyć. Nie odebrał też jej wyraźnego przesłania.

— Toggor — pomyślał szybko, pragnąc dobrze wykorzystać chwilę swobody. — Toggor jest z tym...

— Znaleźli twojego małego przyjaciela? — Myśl Zorora nadeszła gdzieś z tyłu.

— Chyba nie — odparł Faree. Zszedł z równej powierzchni drogi za bramą w kurz, a potem brud odludnej ulicy.

Popatrzył przed siebie. Handlarz i magik — zawsze jakoś myślał o nich razem, jak gdyby, podobnie jak Maelen i Vorlund, byli tak ze sobą związani, że ich myśli stapały się w jeden myślowy głos.

Nikt z jego towarzyszy nie próbował go zatrzymać. Może naradzili się i doszli do wniosku, że żal Faree jest także ich żalem.

Dopóki wąska uliczka nie zakręciła, świeciła za nimi nie—gasnąca luna portu. Później za ich plecami pojawiły się śmierdzące chałupy. Tu i tam jarzyło się słabe światło którejś z wymaganych przez prawo latarni nad drzwiami. Było jednak widać, że żadnej z nich nie pozwolono płonąć pełnym blaskiem lamp, wiszących w mieście za nieregularnym murem oddzielającym portową dzielnicę od miejsc, gdzie panowało prawo i gdzie można było bezkarnie zadawać pytania.

Po drodze Faree starał się nawiązać kontakt ze smaksem, jednak nie udało mu się. Mimo to był przekonany, że wcześniej czy później trafi na właściwy trop.

Wciąż czuł zapach, który zaprowadził go do tego labiryntu cuchnących zaułków. Teraz jednak starał się nie zwracać na niego uwagi, gdyż chciał, aby jego umysł pozostał trzeźwy, nie zmacony wybuchami wściekłości. Musiał przecież odnaleźć ślady zostawione przez Toggora.

Wszyscy troje byli przy nim, Maelen, Vorlund i Zoror, ale tym razem najwyraźniej nie mieli nic przeciwko puszczeniu go przodem. Oto i rozklekotane podwyższenie czarodzieja. Kilka desek, z jakich je zrobiono, leżało na ziemi, ale nikt nie próbował ich posprzątać.

Faree odwrócił się, żeby popatrzeć na stragan, gdzie handlarz rozłożył swój żałosny towar. Rzeczy były wymieszane, porzrucane, niektóre spadły w błoto na ulicy. Sprzedawca zniknął. Faree — doskonale pamiętającego pobyt w obskurnej dzielnicy portowej — dziwił bardzo fakt, że właściciel porzucił cały swój towar. Zapewne część tych tandetnych artykułów już rozkradziono. Jeszcze na oczach zbliżającego się młodzieńca czyjeś ręce, bardziej przypominające szponiaste łapy niż dłonie, zgarnęły błyskawicznym ruchem największą stertę przedmiotów, które zniknęły za zaimprovizowanym stołem. Rozległ się szelest, kiedy coś małego i czarnego jak zgnieciony w kłębek strzep nocy umknęło w popłochu.

Faree wyciągnął prawą rękę i powoli przesunął ją nad tym, co zostało. Nie wykrył niczego, dopóki nie dotarł do samego skraju lady za stołem. Poczł przechodzące go ciarki i rozsunął szerzej palce. Wreszcie trafił na trop Toggora. Po drugim kawałku

odciętego skrzydła nie było jednak śladu.

Bardzo ostrożnie wyciągnął dłoń nad czymś, co przypominało złamaną kość, matowobrazową i uformowaną jakimś ostrym narzędziem na kształt noża. Właśnie, Toggor! Uniósł rękę i powoli obrócił się, wskazując szerokim gestem zarówno platformę magika, jak i opuszczoną budę.

Tam! Ręka Faree zatrzymała się, wskazując odleglejsze zakamarki tej niebezpiecznej dzielnicy.

— Nie znaleźli go. — Był tego pewny. Gdyby smaksa złapano, niewątpliwie by to wyczytał. — Musiał jednak pójść za handlarzem.

— Przeszukanie takiego labiryntu zaułków i kryjówek nie wydaje się możliwe — zauważył Zakatianin. — Czy odbierasz coś jeszcze?

— Nie — odparł zniecierpliwiony Faree — ale... Ach!

— Przerwał i poprawił się. — On tam jest! Przekazuje jednak tylko emocje.

— Tak, ja też to wyczuwam — potwierdziła Maelen. — Czy zostawi jakiś ślad albo cię poprowadzi...

— Jeśli zdoła. Tędy!

— Zaczekajcie. — Vorlund odezwał się po raz pierwszy.

— W pułapkach zwykle kładzie się przynętę. Jeśli chcą cię pojmać, braciszku, czym lepiej mogliby cię zwabić? Być może wiedzą, że Toggor podąża za nimi, lecz zostawiają mu swobodę, aby cię wezwać.

— Trafna myśl — zasyczał Zoror. — Nie możemy się zwrócić o pomoc do strażników, ponieważ oni sami nie zaglądają tu po zmroku, a nawet w ciągu dnia nie zapuszczają się daleko. Jeśli ktoś tutaj ginie, odwracają głowy i nie patrzą. Dopóki mieszkańcy tej dzielnicy będą napadać na ludzi swego pokroju, nikt nie będzie ich zaczepiał. Tylko najwięksi ryzykanci odważyliby się wyjść na ulicę, żeby zabijać albo rabować. Chyba nawet Gildia nie ma tu nikogo poza symbolicznym przedstawicielem.

— Idę po Toggora — odparł po prostu Faree.

— Nie powstrzymamy go od tego! — powiedziała Maelen. — Jeśli jednak zastawili pułapkę na jedną osobę, a zjawią się cztery, i to trochę lepiej uzbrojone niż się spodziewali, czy nie skorzystamy na tym?

Zoror zachichotał.

— Córko, na samą myśl o tym robi się lekko na sercu. Proponuję tylko, żebyśmy szli ostrożnie, a nie maszerowali jak drużyna przybyszów z flagą pokojową nad głową. Nie wiemy, czego szukamy...

Tym razem wtrącił się Faree.

— Skrzydeł!

— Co masz na myśli? — spytała Maelen.

— Skrzydła — to one mnie tu sprowadziły. Sądzę, że wciąż istnieje więź pomiędzy tymi, których szukamy i ich łupem, a ja go noszę!

— Nie sprzecajmy się na środku ulicy — ponownie zwrócił im uwagę Vorlund.

— Wyjdźmy na tyły straganu. Przypuszczam, że jesteśmy nieustannie obserwowani, prawdopodobnie od chwili opuszczenia Miejsca Prastarej Wiedzy. Mimo to powinniśmy zachować wszelkie środki ostrożności.

Faree usłyszał, że Maelen wydała jakiś cichy dźwięk, brzmiący jak zduszony śmiech.

— Cóż za mądra uwaga. Miejmy tylko nadzieję, że nie wpadniemy do jakiegoś dołu ze śmieciami i nie udusimy się od smrodu.

Zanim skończyła mówić, Faree był już po drugiej stronie kontuaru. Ledwo zszedł z drogi, kiedy pozostali poszli jego śladem.

— Co możesz nam powiedzieć o tych skrzydłach — jesteś pewny, że to ich skrawki? — zaciekała się Maelen.

— Jestem — odpowiedział krótko Faree. — A ci, do których należały... — Przelknął dwukrotnie ślinę, jak gdyby walczył z uczuciem, jakie wzbudziła w nim ta myśl. — Oni nie żyją.

Zadne z nich się nie odezwało. Być może ton jego głosu sprawił, że nie odważyli się zaprzeczyć.

Byli na zapleczu, szli gęsiego ciasną alejką między dwoma rzędami odwróconych od siebie straganów. Faree skupił się wyłącznie na poszukiwaniu.

Na końcu wąskiego zaułka, w którego śmierzącym grząskim podłożu zapadał się prawie po kostki, stanął na chwilę i obrócił lekko głowę, jakby słuchał czegoś, co wszyscy mogliby usłyszeć. Potem skręcił w szerszą uliczkę, prowadzącą w kierunku środka labiryntu. Wciąż nie znalazł Toggora. Pomimo smrodu znów wyczuł jednak leciutki zapach rozdartych skrzydeł. Niespodziewanie odwrócił się do Maelen i wyciągnął ku niej rękę, podczas gdy drugą owinał się szczelniej peleryną.

— Daj mi ten drugi kawałek! Ten, który wcześniej kupiłaś.

Bez zbędnych pytań otworzyła długą kieszeń na udzie kombinezonu. Rozległ się szelest, a potem Faree dotknął kawałka jedwabistego materiału. Poczuł i zobaczył — choć nie padało tu nawet przyćmione światło latarni straganów — nikłą poświatę, otaczającą skrawek skóry. Owinał nim sobie nadgarstek. Kiedy ścisnął mocno w garści oba te kawałki, poczuł znów prowadzący go impuls, lecz tym razem nie wysłał go Toggor. Miał wrażenie, że zielony pasek materiału sam zacisnął się wokół jego ręki. Poczuł przenikliwie zimno, płynące od niego w górę wzdłuż ramienia i w dół, aż do palców. Skrawek był martwy, należał niegdyś do tych, którzy dziś już nie żyli, lecz zarazem w jakiś sposób był żywy. Wiedział tylko, że działa razem z nim, może nawet dla niego. Przebiegł przez szerszą ulicę i znów skręcił w bardzo wąski zaułek. Musiał obracać się bardzo ostrożnie, żeby zmieścić w nim skrzydła. Pasek na jego nadgarstku świecił coraz jaśniej, a może to on bardziej ufał jego wskazówkom?

— Tutaj! — Cofnął się o krok i przycisnął do ciała nadgarstek z opaską. Vorlund zbliżył się bezszelestnie.

— Tu są drzwi — oznajmił kosmiczny przybysz. — Tworzą całość ze ścianą — nie widzę klamki i nie wiem, jak je otworzyć.

— Pozwól, bracie. — Teraz nadeszła pora, aby Zoror mógł się wykazać. Faree dostrzegł większy cień, zbliżający się do Vorlunda. Na tutejszych ulicach zawsze panował gwar, zwłaszcza teraz, kiedy zapadł zmierzch i większość osób, przemykających w mroku lub paradujących bezczelnie, rozpoczynała kolejną noc przyjemności lub ciemnych interesów. Usłyszał cichy zgrzyt i domyślił się, że Zoror próbuje na własny sposób otworzyć drzwi w murze.

— Prosssste. — Zakatianin zniżył głos do syku, który wśród jego rasy uchodził za szept. — Bardzo proste... Już!

Nagle zniknął. Faree zdążył jedynie dostrzec w gasnącym blasku szarfy, jaką nosił na rękę, że najwyraźniej przeszedł przez drzwi albo ścianę, jak gdyby były złudzeniem, a nie prawdziwą przeszkodą. Sam szybko poszedł w jego ślady. Zobaczył przed sobą ciasny korytarz, lecz co najważniejsze, po lewej stronie wąskie, nadwężone schody. Światło rzucała zawieszona nad ich głowami kula. W jej wnętrzu pełzały świetliste owady, snując jasne, błyszczące nitki.

Schody były wąskie i bardzo strome. Faree zastanawiał się, czy zdoła po nich wejść, wciąż owinięty peleryną. Opuścił skrzydła i zwinął je najciaśniej jak mógł, lecz i tak zawadzały mu bardziej niż wypukłość, która je kiedyś mieściła i czyniła z niego garbusa.

Do jego głowy wdarł się nagle impuls myślowy. Toggor! Może smaks przez cały czas usiłował się z nim skontaktować, lecz wcześniej przesłanie nie mogło do niego dotrzeć.

— Tutaj... niedobry... niedobry... — Identyfikacja i ostrzeżenie. W tej samej chwili Maelen złapała Faree za poję płaszcza i zatrzymała go.

— Jeszcze nie... — szepnęła jak Zoror, chociaż posłużyła się mową myśli. — Schowajmy się tutaj!

Faree stanął. Mógł już namierzyć Toggora i wzmocnić z nim kontakt. Zakatianin już wchodził po schodach, stąpając bezgłośnie jak wszyscy przedstawiciele jego rasy; Vorlund podążał tuż za nim. Faree spróbował penetracji myśli. Napotkał tylko ciszę — przyjaciół nie słyszał w ogóle, a myśli oddalonych osób były dziwnie stłumione. Nie po raz pierwszy stykał się z aktywną barierą psychiczną, chociaż z pewnością bardzo przydałaby się mieszkańcom tego brudnego gąszczu gnijących budynków i bagnistych uliczek.

Natychmiast przestał wysyłać myśli. Czyżby ich ostrzeżono — a podejrzewał, że rzeczywiście tak się stało — więc każdy, kto ich śledził, musiał uciszyć swoje myśli? Czyżby odebrali komunikat smaksa i teraz ich czworo faktycznie wchodziło w pułapkę?

Schody zaprowadziły ich do korytarza na górze, gdzie ściany wydawały się solidniejsze i czystsze. Po jednej stronie znajdowały się dwie pary drzwi, a po przeciwnej jedne, wszystkie zamknięte. Pomimo to dobiegł ich szmer głosów. Zoror bezszelestnie zbliżył się do najdalszego pokoju i przyłożył dłoń do drzwi; wcześniej Faree dostrzegł w niej jakiś niewielki dysk. Przycisnąwszy przedmiot do drzwi, jaszczur wyciągnął do tyłu drugą rękę i mocno ścisnął dłoń Vorlunda; on z kolei chwycił za rękę Maelen, a ona Faree.

Słyszał! Do tego czasu nie powinno go już nic dziwić. Wytężył więc słuch, aby nie stracić ani jednego ze słów, padających w tym pokoju.

— Tak było. — Docierający do nich w ten sposób głos, wyprany był zupełnie z emocji. Równie dobrze mógł być nagraniem puszczanym z taśmy. — Dziś wieczór był na Ulicy Malowanej. Mówię ci, że Varis udzielił właściwej informacji.

Wciąż słyszeli tylko szept tej drugiej osoby. Mówiła głębokim wyraźniejszym głosem, lecz trudniej go było zrozumieć: wymawiała słowa, których szpiegowski dysk Zorora nie wychwytywał.

— Były z nim trzy osoby... Szept.

— Zakatianin! Nie rozkazałbyś chyba napaść na niego? Zapewniam cię, był uważnie obserwowany. To ten szal go zwabił i omal nie udało mi się go łatwo złapać. Ale nie przy Zakatianinie. O tych pozostałych też się wiele mówi, podobno mają jakieś moce.

Szept.

— Tak, najwyraźniej się domyślił, wpadł w straszny szal. Podobno oni nigdy nie opuszczają planety — cóż, ktokolwiek tak twierdził, złożyłby też przysięgę Zambutowi, a potem napluł w tłustą gębę jego bogu!

Szept.

— Czy jestem pewny? Tak, jestem. Mógł wciąż jeszcze otrzepywać z ramion dymny pył Czerwonych Wydm. Nosił pelerynę, a pod nią miał skrzydła! Mówię ci, skrzydła! Słyszałeś raport, widziałeś wirozapis. On jest jedyny w swoim rodzaju i przebywa z dala od swojej planety — tutaj nie może nam spłatać żadnego figla. Złap go, a bez trudu znajdziesz tę swoją płynącą wstecz rzekę i skarb starego Saptala. Oni wszyscy znają tę tajemnicę, jeśli ją właśnie chcesz poznać.

Szept, który przerwał wypowiedź.

— Próbowaliśmy już tego wcześniej... widziałeś meldunki. Oni wolą umrzeć niż mówić i prędzej z własnej woli popadną w obłęd niż wyjawiają prawdę. Złap go i...

Maelen odwróciła głowę w stronę schodów, po czym lekkim szarpnięciem ostrzegła Vorlunda, który z kolei w taki sam sposób zawiadomił Zorora. Zakatianin

odsunął się od drzwi, lecz nie wypuścił dłoni Vorlunda. Cofnął się w głąb korytarza i trzymając dysk między dwoma palcami, pchnął drugie drzwi. Uchylił je i wszedł do niewielkiego pokoju. W świetle kolejnej kuli z owadami zobaczyli tylko łóżko, wąskie i nie pościelone, niewielki stolik i dwa krzesła. Powietrze wydawało się stęchłe. Zoror puścił rękę Vorlunda na dość długo, żeby zamknąć drzwi za nimi i szerokim gestem pokazać większość tego, co znajdowało się po tej stronie pokoju. Potem podszedł do ściany dzielącej ich od izby, gdzie znajdowali się rozmawiający. Kiedy Maelen na moment puściła jego dłoń, Faree zawiązał drugi strzępek skrzydła na tym, który już miał na nadgarstku.

Gdy znów chwycili się za ręce, usłyszeli dalszy ciąg rozmowy.

— Mów więc! Jeśli tak trzeba, potrafisz to zrobić?

Szept.

— Spróbuj więc!

Na zewnątrz rozległy się kroki. Ktoś, kto nie miał powodu obawiać się osób w pokoju na końcu korytarza, minął właśnie ich drzwi, zdążając do sąsiedniej komnaty.

— To ja, Gulde. — Trzeci głos. Potem znów go usłyszeli, tym razem niewątpliwie z wnętrza pokoju.

Szept.

— Coś mi obiecywaliście, szlachetni panowie. Trzy sztuki za to, aby was osłaniać podczas pojmania...

Znów wtrącił się szept.

— To nie ja zawiodłem, czcigodny. Zrobiłem, co miałem zrobić. To nie moja wina, że pozostali nie potrafili wywiązać się ze swoich obowiązków. Ty, szlachetny panie... a to co jest!

— Niedobry... niedobry... — Toggor wysyłał komunikaty z szaleńczą intensywnością, jakiej młodzieniec nie słyszał w jego myślach, odkąd smaks został wypuszczony z klatki i uwolniony od tortur Russtifa, od kiedy zaczęło się lepsze życie dla niego i dla Faree.

— Złap go, ty kretynie! Po co go tu przyniosłeś? — Szept stał się normalną mową, niekodowaną przez żadne urządzenie.

— Ja przyniosłem? — To musiał być handlarz. — Nawet go nie widziałem. W tych zbutwiałych ścianach może kryć się jeszcze wiele dziwnych stworów. Kto może złożyć Wielką Przysięgę, że statki lądujące tutaj nie przywożą czasami czegoś nie wymienionego w spisie ładunku? To tylko jakies... zwierzę. Rozdepcz je...

— To klucz — powiedział głęboki głos, a potem znów zniżył się do szeptu. — Ten stwór myśli. — Tyle dało się zrozumieć z niskiego pomruku.

— Więc możemy być w ten sposób szpiegowani, czcigodny. Pozwól mi go rozdeptać... — Głos magika drżał.

Szept.

— Przynęta, czcigodny? Czy to możliwe, aby to był ich towarzysz, a nie jakiś stwór ze statku?

Szept. Potem rozległ się myślowy wrzask Toggora, tak przerażający i ohydny, jak te, jakie smaks zwykł wydawać, kiedy Rustif używał ościenia, żeby go posłać do walki.

Toggor! Faree przerwał łańcuch komunikacji i ruszył w stronę drzwi. Wściekłość, w którą już raz wpadł tego dnia, znów w nim wzbierała, tak że przestał zważać na bezpieczeństwo i myślał tylko o tym, żeby ocalić przyjaciela.

Toggor znów krzyknął. Vorlund zagroził Faree drogę do drzwi. Złapał go za obie ręce i trzymał je w bezlitosnym uścisku. Młodzieniec nie miał szans, aby się z niego wywinąć. Ale... Toggor!

Kiedy wydzierał się daremnie z rąk kosmicznego wędrowca, zadrżał i wygiął ciało

do tyłu tak, że peleryna spadła na podłogę. Jego twarz wykrzywił grymas bólu.

Zza drzwi albo ścian dobiegł przeraźliwy, świdrujący w uszach dźwięk, który rozległ się w całym domu. Faree zastygł, przepełniony nieznośnym bólem, promieniującym od głowy i rozchodzącym się po całym jego drobnym ciałku. Teraz, kiedy nie mógł zapanować nad swoim ciałem — albo umysłem — jego skrzydła drgnęły, gotowe się rozwinąć.

Słyszał i widział, lecz reszta jego zmysłów została zamknięta w jakimś strasznym pojemniku, tak jak uprzednio jego skrzydła. Zachwiał się na nogach, kiedy Vorlund na chwilę wypuścił go z uścisku. Maelen zrobiła krok w jego stronę; widział ją tylko kątem oka. Zakatianin podszedł bliżej do muru. Zerwał kontakt z pozostałymi i przyłgnał do brudnej ściany, trzymając dłoń między krążkiem a swoją głową. Machnął drugą ręką, niewątpliwie dając im znać, aby zachowywali się cicho i zostali na swoich miejscach. Faree z paniki zaschło w gardle. Nawet gdyby Zakatianin nie zasygnalizował, aby zachowali ciszę, nie mógłby się przebić przez otaczającą go teraz barierę. Vorlund objął go mocniej, nie pozwalając mu upaść.

Toggor! Faree zmroził strach, że rzeczywiście wpadli w pułapkę, lecz pomimo to najpierw pomyślał o smaksie. Tak się przestraszył, że spróbował kontaktu myślowego. Natychmiast dostrzegł w pobliżu jakiś ruch, to Maelen przycisnęła mu rękę do głowy, tuż nad uszami.

Teraz nic nie widział! Smugi jaskrawego światła tańczyły mu przed oczami jak błyskawice nad wzgórzami Yiktor. Maelen była mądrą kobietą swego ludu i wiele wiedziała, lecz żeby posłużyć się tą wiedzą przeciwko niemu... Nie, Toggor był lepszym przyjacielem od wszystkich innych na tym świecie. Na chwilę buchnął ogień — dość gorący, aby przedrzeć się przez paraliżujące go zimno. Zobaczył szarfy, które owinał sobie wcześniej wokół nadgarstka. Na krawędziach skrawków skrzydeł tańczyły iskry — białe, zielone, a na samym końcu jaskrawożółte jak słońce. Energia ich przebudzenia przeszła jego ciało.

## Rozdział 4

Przez całe życie Faree postępował rozsądnie i uciekał przed niebezpieczeństwem. Fakt, że całkiem niedawno wyrosły mu skrzydła, niewątpliwie dodał mu pewności siebie, lecz żeby stawić czoło wrogowi dużo większemu i bardziej muskularnemu, wrogowi, który walczył na swoim własnym terytorium i przypuszczalnie mógł wezwać na pomoc wszelkiego rodzaju siły... Tylko tym razem jego bezwładne ciało nie słuchało głosu rozsądku. Nie miał sił, żeby rzucić się na Vorlunda, zepchnąć z drogi tego wysokiego, zaprawionego w boju kosmicznego wędrowca i pośpieszyć z pomocą Toggorowi. Wciąż stał jak oniemiały w pętach tajemniczej siły, jakie nałożył na niego ten gwizd. Jak sparaliżowany pozwolił ustawić się między Vorlundem i Maelen, tak że znów wszyscy troje trzymali się za ręce, a Zakatianin nasłuchiwał.

— Czy to pomieszczenie jest wyciszone? — Pytanie zadał magik. Zdradziło go lekkie syczenie mowy handlarzy.

— Czy wyglądamy na bezmózgie robaki mułowe? Tak, jest wyciszone, chociaż zaczynam się zastanawiać...

Szept ucichł po raz drugi i usłyszeli zrozumiąłą mowę.

— Tak, zastanawiam się... chyba nic nas tu nie może zaskoczyć... a może to również nieprawda? Jaki podróżnik może ocenić niezwykle moce i sposoby obrony nowego świata? Milczeć!

W tym momencie Faree zaczęło gnębić coś nowego. Krępujące go więzy mocy złuszczyły się, jakby były błoną, a on mógł zedrzeć ją ze swojego ciała. Uczucie, które ogarnęło go na dźwięk gwizdka, osłabło i częściowo ustąpiło. Żółte światło szarf na jego nadgarstku biegło w dół skali barw: zielone — brązowe — czerwone, a potem zapłonęło czerwienią tak prawdziwą jak kolor świeżo przelanej krwi. W głowie słyszał dziwne dudnienie, jakby bęben albo grzechotka wystukiwały szyfr, podczas gdy szkarłatna opaska migotała.

Vorlund znów poluzował uścisk, lecz Faree i tak brakowało siły niezbędnej do tego, żeby wyrwać mu się z rąk. W połączonym świetle opaski na swoim nadgarstku i pojedynczej słabej lampy spostrzegł, że wszystko pulsuje w takt tego werbla. Z początku sądził, że kołysze się na boki w tym samym rytmie, lecz potem zobaczył, że Maelen, Zoror i nawet Vorlund zjednoczyli się z nim i tym dudnieniem. Wargi Vorlunda poruszały się; być może mężczyzna coś mówił, lecz werbel w głowie Faree zagłuszał wszystkie dźwięki z zewnątrz — pozostał tylko rytm bębna.

Pierwszy zareagował Zakatianin. Sięgnął do zawieszanej na pasku sakwy i wyciągnął nie jeden z noży zakazanych przybyszom z innych planet, lecz coś, co przypominało raczej zakrzywiony i błyszczący pazur, dwukrotnie większy od tych, które wyrastały z jego palców.

Srebrny szpon usiany był błękitnymi kropeczkami, skrzącymi się niczym klejnoty. Odsunąwszy się od ściany, Zoror posłużył się nim jak prawdziwym nożem. Wykonał kilkanaście wymachów w powietrzu, jak gdyby walczył z jakimś niewidzialnym wrogiem. Zakrzywiona broń zaczęła zmieniać kolor, kawałeczki wprawionej w nią błękitnej substancji przybrały ciemniejsze i bardziej zdecydowane odcienie, zupełnie jak wcześniej szarf. Choć wyraz łuskowatej twarzy Zakatianina był trudny do odgadnięcia dla kogokolwiek spoza jego rasy, łatwo dawało się odczytać wyraz jego oczu — błyszczały z zaciekawienia, jakby jego uwagę przyciągnął jakiś nowy fragment wiedzy i zamierzał poznać wszystkie tajemnice, jakie mógł.

Maelen wyciągnęła przed siebie ręce, obróciła je wewnętrzną stroną dłoni w dół i prostowała jeden palec po drugim, aż rozsunała je maksymalnie na kształt wachlarza.

Przyglądała się uważnie każdemu z nich po kolei, jakby się upewniała, czy wciąż ma wszystkie

Faree poczuł na nadgarstku coś mokrego. Spojrzał w dół. Na podwójnej opasce perliły się krople jakiejś cieczy, jakby przed chwilą wyjął ją ze strumienia albo stawu. Tylko że to, co z niej spływało, nie było przezrzystą wodą, raczej różową pianą, gęstniejącą i ciemniejącą. Krew! Z pewnością była to taka sama krew, jaka mogłaby się sączyć z opatrunku na ranie. Kapała, lecz rozpływała się w banieczki mgły, zanim znalazła się na poziomie kolan Faree.

Wydawało się, że wypełnia powietrze, gdyż najwyraźniej czuł jej smak i zapach.

Teraz z opaski uciekały kolory. Szarfa zmarszczyła się, kiedy wykwitły na niej szare plamy. Potem obie jej warstwy skurczyły się i złuszczyły jak płaty spalenizny. Na jego ciele został ślad, czerwony jak po oparzeniu. Znikło to, co trzymało go w niewoli, wiązka myśli Faree znów ułożyła się w sensowne komunikaty.

Toggor! Wysłał myśl, poszukując przyjaciela.

— Niedobry... — odebrał bardzo słaby i cichy impuls. To, co rozległo się później, wszyscy usłyszeli wyraźnie, tym razem nie potrzebując dysku ani złączonych dłoni. Nie był to krzyk wysłany przez umysł, lecz wydobywający się z gardła.

— Auuuu!

Toggor! Nie, to nie on wrzeszczał. Przekazał raczej kolejny impuls myślowy: wrażenie, że ktoś go mocno ściska, a potem nim rzuca...

— Kretyn! — Usłyszeli głośnie warknięcie. — Spaquet! — Przed ich oczami stanął zamazany obraz bladego zwierzęcia taplającego się w rzadkim błocie.

— Maleńki ugryzł kogoś — zasyczał cicho Zoror, chowając srebrny pazur do sakwy przy pasku. — Chyba tego, który był pajakiem w tej sieci. Jaką bronią dysponuje Toggor, braciszku?

— Ma jad na szczypcach przednich odnóży. — Musiało być go teraz dużo, ponieważ Faree nigdy nie próbował usuwać tej rzadkiej, żółtej cieczy, jaką Rustif zawsze wyciskał ze szponów smaksa, kiedy trzymał go w niewoli.

Zakatianin bezgłośnie przeszedł przez pokój i Vorlund odsunął się na bok, żeby przepuścić go do drzwi.

— Więc osoba zaatakowana umrze? — Odsunął młodzieńca od kosmicznego wędrowca i przyciągnął go bliżej do siebie.

Faree rozcierał ręce i poruszał barkami, dokładając wszelkich starań, aby zwinąć skrzydła w tobołek, który znów dałoby się nakryć peleryną.

— Czy on umrze? — powtórnie spytał Zakatianin. Młodzieniec potrząsnął głową. Czuł się tak zmęczony, jakby cały dzień maszerował przez bagno Nexusa. Nawet utrzymanie się na nogach wymagało wielkiego wysiłku woli, a co dopiero skupienie uwagi na tym, co mogło dziać się w drugim pokoju.

— Nie wiem — odparł. — Dla pewnych form życia trucizna może nie być śmiertelna. Istnieją tak wielkie różnice... — Umilkł, masując piętno na nadgarstku drugiej ręki. — To, co może przynieść śmierć jednemu gatunkowi, dla drugiego może być zaledwie ukąszeniem muchy lugk. Toggor! — Przeszedł od słów do sygnału myślowego.

Nadeszła odpowiedź, lecz nie potrafił jej zrozumieć. Oznaczała jednak, że smaks żyje.

— Zostaw go, niech leży. — Zamiast głuchego pomruku znów rozległ się wyraźny głos. Cokolwiek maskowało osoby za tymi ścianami, przestało działać. — Nigdy nie podsunął nam użytecznego pomysłu ani w niczym nie pomógł. Wracaj natychmiast do tej nory, w której się zaszły, i przyprowadź mi... — Potem rozległy się nie słowa, lecz seria trzasków.

— Oni mogą mnie szukać, czcigodny. — Głos przypominał skomlenie i z



pewnością należał do magika.

— Skoro tak, to lepiej żebyś nie dał się złapać, czyż nie taka jest prawda? Pamiętaj, że mamy sposoby, aby nie dostać się do niewoli — ciało może wpaść w ręce nieprzyjaciół, ale umysł... to już zupełnie inna sprawa. Widziałeś to już kiedyś, prawda? Pewien właściciel statku z Kręgu...

— Czcigodny, nie... pójdę. A co z tym stworem, który zrobił to Guldeowi? Nie powinniśmy go poszukać i...

— I zginąć? Najwyraźniej bardzo ci się dziś śpieszy, żeby ściągnąć na siebie nieszczęście, Ioque. Można by pomyśleć, że sam miałeś pomysł, aby bezpiecznie posłużyć się tym potworkiem.

— Nieprawda!

— Mówisz to tak, jakbyś składał Przysięgę Krwi Serdecznej, Ioque. Jeśli więc nadal trzęsiesz się ze strachu, rozejrzyj się na dole pod oknem. Tam wyskoczył ten stwór. Rozgnieć mu głowę obcasem...

— Sam przecież mówiłeś, szlachetny panie, że to stworzenie może przyprowadzić do nas tego, na kim nam zależy. Czy zwiadowca nie przysięgał, że ono należy do tego, którego śledziliśmy?

— Przynajmniej masz dobrą pamięć, Ioque. Możesz z nim zrobić, co zechcesz. Nie jest nam już potrzebny.

— Jak...

— Bardzo prosto — powiedział głośniejszą męczyzną, jakby zamierzał przemawiać do publiczności. — Tak!

Faree padł na kolana, czując, że jego kości nagle stały się zbyt miękkie, aby go utrzymać. Tak jak uprzednio, ugrzązł bezradnie w jakiejś niewidzialnej sieci, oplatającej tak z zewnątrz, jak i wewnątrz.

Maelen chwyciła go i podtrzymała, znów kładąc mu dłonie na ramionach. Od koniuszków jej palców popłynęła w głąb jego ciała nowa energia. Zesztywniał z jękiem, kurczowo trzymając się tego, co mu dała.

W głębi ducha znów toczył walkę. Musiał znaleźć źródło tej słabości — nawet gdyby miał pełzać na czworakach — tej uległości, która była mrocznym pragnieniem, i zwalczyć ją resztkami sił, jakie jeszcze miał, otrzeźwiony i uzbrojony przez Maelen, zaszczepiającą mu wiarę we własne siły.

Pokój zniknął, jakby zmieciony ręką olbrzyma. Porwał go barwny wir i samo to sprawiło, że mógł myśleć... albo czuć... albo... co to było... śnić?

Po niebie latały skrzydlate istoty. Kiedy nurkowały i wzbijały się w górę albo lądowały obok niego, ogarniało go uczucie wielkiego spokoju — albo może tylko jego cień — i miał wrażenie, że jest częścią jakiejś nieprzemijającej sprawy, nie znającej klęski, która była, jest i zawsze będzie!

Nie widział twarzy tańczących z wiatrem i na wietrze; gdy próbował przyglądać się im dokładniej, wydawali się spowici migoczącą mgłą. Nie wątpił jednak, że należy do nich i tam jest jego miejsce. Pragnął rozłożyć skrzydła, wzbic się w niebo i stać się prawdziwym współuczestnikiem ich zabawy, tańca albo ceremonii. Musiała mieć ona wielkie znaczenie i wymagała jedynie skupienia, aby zdradzić prawdę ważniejszą niż wszystko, co znał dotychczas.

Jak długo przebywał w tej krainie kolorów, życia i spokoju? Jeśli tylko kilka chwil, to miała ona moc panowania nad czasem rządzącym w znanym mu świecie.

Nagle powstało zamieszanie i skrzydlate istoty zebrały się, aby spojrzeć na niego, jakby dopiero przed chwilą uświadomiły sobie jego obecność.

Wiatr przywiewał od nich kolorowe pasma, wirujące wokół niego, lecz nie dotykające jego ciała. Zamiast tego tworzyły wzór, w którym z kolei tańczyły migoczące punkciki. Iskierki nie latały bezcelowo, lecz zawisały w powietrzu, aż jego

oczom ukazał się wyraźny rysunek. Biło od niego inne światło, zielona i biała poświata. Każdy z tych punkcików po kolei zatrzymywał się i wisiał przed nim nieruchomo, a wtedy zrozumiał, chociaż nie miał pojęcia, skąd o tym wie, że musi tego użyć...

Kolor, miejsce, tancerze... znikli! Co widział oczami albo umysłem? Nie miał pojęcia. Wiedział jednak, że to, co zobaczył, istniało naprawdę; teraz narastał w nim nowy ból, podobny do dobrze znanego głodu, towarzyszącego mu w ponurych dniach poprzedniego życia.

— Chodź... — Kto to powiedział? Jeden ze skrzydlatych? A może rzeczywisty głos docierający do jego uszu? „Chodź... tam...” Tak, z całego serca pragnął tam pójść.

Jednakże w chwili, gdy uświadomił sobie istnienie tego miejsca poza ciemnością, zdał sobie sprawę, że coś go trzyma. Tym razem nie były to psychiczne więzy, lecz raczej nacisk rąk. Zamrugał kilka razy i stwierdził, że znów znajduje się w pokoju, mając za plecami Maelen, a przed sobą Zorora, przyglądającego mu się z wyraźną, troską w wielkich zielono-żółtych oczach. Straszliwe zmęczenie, jakie przedtem odczuwał, ustąpiło. Ogarnęła go natomiast ogromna chęć, aby ruszyć w drogę — sam jeszcze nie był pewny, gdzie; wiedział tylko, że musi zaspokoić ten nowy głód.

Jego prawa dłoń drgnęła. Ręka uniosła się i palec wskazujący wymierzył w drzwi, podczas gdy z piętna zostawionego przez szarfę na jego ciele zaczęło wydobywać się ciepło, a nawet lekka poświata.

— Co... — Vorlund odezwał się pierwszy.

— Nie! — Zoror potrząsnął głową, rozwijając w pełni kryzę na karku. — Później będzie czas na pytania i odpowiedzi. Na razie poszukamy bezpiecznej drogi powrotnej. Możesz iść? — Ostatnie zdanie skierował do Faree.

Roztrzęsiony młodzieniec poruszył się w uścisku Maelen. Kobieta pomogła mu wstać.

Faree pokręcił głową, starając się odzyskać równowagę, gdyż świat wokół niego kołysał się i migotał.

— Mogę iść, ale jest jeszcze Toggor.

— Zawołaj go — odparł Zakatianin. Faree wysłał psychiczny sygnał, od tak dawna tworzący pomost między ich umysłami. Prawie nie wierzył, że nadejdzie odpowiedź. Mimo to usłyszał sygnał silniejszy od tych, którymi się poprzednio posługiwał w celu odnalezienia przyjaciela.

— Na zewnątrz... czekać... na zewnątrz. Duży... wyrzucił przez dziurę... na zewnątrz... — Nigdy jeszcze nie odebrał tak długiego komunikatu, był jednak pewny, że wysłano go w szczerzej intencji, a nie po to, aby zwabić go w pułapkę.

Vorlund podszedł do drzwi. Uchylił je i nasłuchiwał, zapewne zarówno uszami, jak i umysłem, czy nie grozi im znów jakieś niebezpieczeństwo. Obejrząwszy się przez ramię, pokiwał głową i szybko wyslizgnął się na korytarz.

Nie usłyszeli ani nie wyczuli niczyjej obecności. Mimo to Vorlund nie ruszył w stronę schodów, co Faree zauważył, kiedy poszli w jego ślady. Sunął wzdłuż ściany, podkradając się do zamkniętych drzwi drugiego pokoju. Maelen wyciągnęła rękę i klepnęła Zorora w nadgarstek, lecz Zakatianin nie zareagował. Wszyscy nosili miękkie obuwie, nie ciężkie kosmiczne buty z metalowymi podeszwami, nie robili więc najmniejszego hałasu.

Zoror znów przyłożył szpiegowski krążek do drzwi i znieruchomiał; pozostali zamarli za jego plecami. Potem szybko kiwnął głową i lekko pchnął drzwi, pozwalając im zajrzeć do wnętrza większego pokoju. Przez wąskie okno wdierał się nie tylko ostry smród śmietniska, ale i odgłosy osady, bardziej tętniącej życiem w nocy niż za dnia.

Początkowo Faree sądził, że nikogo w nim nie ma i zastanawiał się, jak przebywającym w tym osobom udało się niezauważalnie przejść obok miejsca, gdzie się chowali. Potem zrobił dwa kroki za Maelen i zauważył leżące pod przeciwległą ścianą ciało. Mężczyzna miał obrzmiałą twarz z purpurową plamą na policzku i wybałuszone oczy. Martwe oczy! Najwyraźniej na tego szczególnego wroga jad Toggora podziałał ponad dwukrotnie silniej niż we wszystkich wypadkach, jakie dotychczas widział.

Vorlund nie interesował się trupem. Szybko przeszedł przez pokój, ominął zwłoki i zatrzymał się przy ścianie, pod którą leżały. Uniósł ręce i koniuszkami palców wodził po powierzchni muru.

— Tak, ukryte przejście. — Zoror pokiwał głową. — Chociaż moim zdaniem wyszli już dawno.

— Pójdziemy ich śladem? — spytała Maelen. Zakatianin wyciągnął rękę ponad ramieniem Vorlunda i poskrobał pazurami poplamioną i łuszczącą się ścianę.

— Chyba nie.

— Toggor... — Faree nie miał zamiaru odchodzić, dopóki nie upewni się, że smaks jest bezpieczny. Zwierzątko niewątpliwie zostało wyrzucone przez tę szczelinę okienną, co jednak nie oznaczało, że tam, gdzie spadło, nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo.

Myśl zabrzmiała jak głośnie wołanie. Na parapecie pojawiła się jakaś kula, to smaks gramolił się przez okno. Dał jednego z tych susów, do jakich jego gatunek był zdolny w sytuacji zagrożenia, lądując na piersi Faree. Chwilę później siedział mu już za pazuchą, zwinięty w ochronny kłębek, z którego wystawało tylko dwoje oczu na szypułkach.

Faree szybko przełożył smaksa do bezpieczniejszego schowka w wewnętrznej kieszeni peleryny. Oczy na czułkach wystawały stamtąd tylko na tyle, żeby śledzić poczynania młodzieńca.

Ostrożnie szli korytarzem. Światło rzucane przez kule mrugało, lecz było dość jasne, żeby mogli bezpiecznie zejść po schodach. Vorlund znów wysunął się na czoło grupy i pierwszy wyglądął przez lekko uchylone drzwi. Wreszcie gestem dał znać pozostałym, aby poszli za nim. Na twarzach jego i Maelen widać było skupienie, jakby szykowali się do stoczenia walki lub odparcia podstępного ataku. Teraz Zoror położył rękę na ramieniu Faree poniżej fałd peleryny i pociągnął go za sobą.

Znów znaleźli się w błotnistym zaułku i Vorlund przywarł plecami do ściany. Nie miał broni, lecz ręce trzymał w pozycji, jaką Faree już kiedyś widział. Istniały pewne sposoby ataku i obrony, opierające się tylko na sile mięśni, równie skuteczne jak ciosy nożem. Kosmiczni wędrowcy doskonale posługiwali się tymi metodami, jak również wieloma rodzajami broni. Osoby rozważne nigdy nie poddawały w wątpliwość faktu, że potrafili odeprzeć każdy atak, który nie zacząłby się od natychmiastowego pozbawienia ich przytomności. Tak jak poprzednio Faree sprowadził tu bezgłośny, nie istniejący teraz przymus, tak teraz coś nakazywało mu stąd odejść. Walczył z uczuciem, że musi podporządkować się dziwnemu poleceniu, wydawanemu przez nieznanego głos. Czuł, że Toggor kręci się w kieszeni na jego piersi i do jego umysłu wkradła się myśl, niewątpliwie wysłana przez smaksa.

— Iść... daleko...

— Idziemy, idziemy stąd — odparł myślami, starając się nadążyć za Zakatianinem. Maelen szła teraz na czele grupy, a Vorlund z tyłu. Sprawiali wrażenie strażników eskortujących jakąś niezwykle ważną osobistość, której życiu grozi niebezpieczeństwo.

Sam Faree ledwo mógł uwierzyć, że wycofują się bez walki i miał właśnie zamiar zapytać o to, kiedy Zakatianin przycisnął go mocno do siebie, tak jak uprzednio

Maelen. Dostrzegł ruch jego szerokich ust, gdyż szybko przechodzili obok dymiącej pochodni.

— Jesteśmy śledzeni. Uważaj.

Faree wsunął rękę za pazuchę i poczuł, że Toggor delikatnie chwyta go za palec, nie jadłowitymi szponami, lecz pazurkami mniejszych łap. Poruszający się ociężałej niż zazwyczaj smaks pozwolił się wyjąć z kieszeni i posadzić na piersi. Gdyby teraz zostali zaatakowani, zwierzę będzie miało większą szansę obrony.

Okazało się jednak, że nie było takiej potrzeby. Minęli zburzony stragan handlarza. Przekrzywiona platforma iluzjonisty również została za nimi. Przyspieszyli kroku, aż wreszcie poczuli pod stopami gładką nawierzchnię w bramie portu. Wewnątrz paliły się rześiste światła; będą zmuszeni wejść w ich blask. Jeśli nadal ich śledzono, staną się doskonale widoczni.

Po raz pierwszy Faree odważył się użyć psychopolacji. Jego myślowy przekaz natychmiast przerwała potężna moc Zakatianina. Nie trzeba mu było więcej powtarzać, żeby zachował ciszę.

Weszli do głównego pomieszczenia portu, w tłum podróżnych, obsługi i strażników. Faree wiedział, co teraz robią.

Każde takie miejsce, gdzie pełno było umysłów, których właściciele zajęci byli sprawami ważnymi tylko dla nich samych, dawało im pewną osłonę, dopóki będą potrafili ukryć swą tożsamość w tłumie podróżnych, próbujących dotrzeć do jakiegoś ważnego celu. Szybko zasłonił się złudzeniem, które było wytworem jego myśli, udając służącego, śpieszącego wykonać zadanie zlecone mu przez odlatującego pana, przez resztę wieczoru zwolnionego z obowiązków. Nie miał dużego doświadczenia, ale dzięki Maelen poznał już zasady odgrywania roli i trochę się na tym znał. Jego towarzysze byli w tej dziedzinie mistrzami i wiedział, że potrafili okryć się pelerynami halucynacji, na swój sposób tak mocnymi, jak jego własny płaszcz z tkaniny. Miał jednak ogromną ochotę obejrzeć się za siebie i wypróbować umiejętność demaskowania prześladowców.

Gildia — niewątpliwie ich wrogów wynajęła Gildia. Na Yiktor zamiary tej potężnej organizacji udaremniły siły wezwane przez Maelen i Kripa — z pewną pomocą jego samego, smaksa i dwóch innych jeszcze zwierząt, które stały się kudłatym ludem Maelen, czerpiąc radość z faktu, że zostały do niego zaliczone. Niemniej jednak nawet tam Gildia miała zabezpieczenia — maszynę potrafiącą zatrzymać każdą myślową sondę i chronić użytkownika przed takimi napaściami. Wspomnienia o tym... Nie! Mogły przeszkodzić w tym, czego teraz potrzebowali. Faree odegnał wspomnienie. Znowu stał się osobą, której tożsamość przybrał wcześniej — służącym, śpieszącym przekazać wiadomość. Tak, teraz nie ulegało wątpliwości, kim jest.

Przeszli przez bardzo długie pomieszczenie i wyszli bramą, którą opuszczali port tylko osoby odwiedzające — omijając część przeznaczoną dla pasażerów. Zoror wystukał pazurami prawej dłoni sygnał wezwania na tarczy komunikatora na nadgarstku. Jeden ze śmigaczy opuścił kolumnę pojazdów i powoli zbliżył się do nich. Walcząc z chęcią rzucenia się do ucieczki, której szansę dawał mu wehikuł, Faree opanował rozpaczliwe pragnienie opuszczenia tego miejsca, aby podążyć za Maelen i Zakatianinem w odpowiednim tempie. Dopiero kiedy wszyscy wsiedli do pojazdu i Zoror wystukał kod miejsca przeznaczenia, Krip powiedział:

— Człowiek, a zarazem istota nieludzka. Ciało Terranina ósmego stopnia. Umysł zupełnie obcy.

— Pozaświatowiec o wzorcu myślowym odmiennym od wszystkich, jakie spotykaliśmy. — Maelen pokiwała głową i spojrzała na Zakatianina, jakby spodziewała się, że on wie, kim jest ścigająca ich osoba, odkryta podczas wnikliwych

badan.

— To Plantgon — stwierdził Zoror.

Krip ułożył wargi jakby miał zamiar zagwizdać, a Maelen popatrzyła z niedowierzaniem.

— Jak...

Zakatianin potrząsnął głową.

— Ma bardzo szczelną osłonę. Mógłbym trochę poszperać i dowiedzieć się więcej, ale wtedy zdałby sobie sprawę, że i my nie jesteśmy całkiem bezbronni i pozbawieni podobnych możliwości ataku. Takich jak on — nie, to błędne określenie — jak ono, rzadko tutaj widzujemy. To, że przeszedł swobodnie obok czujników w porcie, świadczy o jego potędze. Musi być telepatą dziesiątego stopnia, aby dostać się do miejsca, strzeżonego przez więcej środków ochronnych niż znały wszystkie rasy żyjące teraz albo w przeszłości. Możemy być wdzięczni badaczowi, którego rozwiane przez wiatr prochy zostawiły ten nikły ślad, choć jego rasy i czasów możemy się tylko domyślać. Istnieje jedno miejsce, do którego nawet Plantgon — a znam wszystkie opowieści, jakie na ich temat krążą — nie dostanie się ani umysłem, ani sennym ciałem.

Lecieli z największą prędkością dozwoloną na paśmie szybkiego ruchu, prosto do siedziby zespołu badaczy Zakatianina. Faree odprężył się. Słyszał co nieco o Plantgonach, ale niezbyt dobrze wiedział, kim są. Skoro jednak ta nazwa znaczyła tak wiele dla jego towarzyszy, musieli być rzeczywiście potężnymi przeciwnikami.

## Rozdział 5

— Więc co wiemy? — Zoror siedział na wygodnym fotelu, który dopasował się do kształtu jego ciała. W rękę trzymał czarny owoc z wbitą weń słomką, popijając przez nią co jakiś czas. Wszyscy towarzysze jego niedawnej przygody sączyli napoje odpowiadające ich gustom.

Faree chwycił wargami swoją rurkę. Orzeźwiający kwaskowy płyn zdawał się tłumie resztki wspomnień o nieprzyjemnych przeżyciach.

— Qun Glude p'itho. — Vorlund spojrział na mały ekran czytnika stojącego na stole. — Brak związków z Gildią. Ostatnio zatrudniony jako drugi oficer na Halfway — mam na myśli legalną pracę. Zniknął po odebraniu mu prawa do lotów. To było na Świecie Waylanda, prawie pięć planetarnych lat temu. Nie wiadomo, co robił później, ale widziano go w towarzystwie Xexepana, kapitana statku Wolnych Kupców, wobec którego Patrol żywi pewne podejrzenia. Notowany w kartotece, ponieważ dwukrotnie oskarżano go o przemyt — głównie w związku z handlem niewolnikami z Wormost. Najwyraźniej ten Xexepan — Vorlund spojrział ponad ekranem, z którego odczytywał w mowie handlarzy nieliczne dane z karty oceny — musiał być przebiegłym podróżnikiem. Co jednak handlarz niewolnikami robił tak daleko na cywilizowanych szlakach? Nie mógł przecież... Maelen pochyliła się lekko.

— Możemy mieć do czynienia z uprowadzeniem — zauważyła. — Ten Xexepan na pewno nie jest związany z Gildią?

Vorlund nacisnął guzik i znów rozbłysnęły linijki kodu.

— Nie, żadnych bezpośrednich powiązań. Świat Waylanda? — Popatrzył teraz na Zorora.

Zakatianin spojrział na własny ekran.

— Czwarty kwadrant, widoczny Ast. Ten Xexepan jest interesującą postacią. Za kogo podawał się na Waylandzie?

— Za uczciwego kupca. Miał trochę skór i ładownię pełną zbiorników z sokiem yale. W zezwoleniu na lądowanie nie ma mowy o niczym więcej.

— Jakie skóry, czy wymieniono ich rodzaj? — wtrącił się poruszony Faree, gdyż ujrzał straszny obraz.

Wszyscy troje skierowali wzrok na niego. Oczy Zakatianina nagle rozbłysły.

— Miałeś chyba dobry pomysł, mały bracie. Skóry rzeczywiście mogą być kluczem...

Vorlund znów spojrział na ekran.

— Żadnego opisu, tylko skóry. Przydałaby nam się mapa, czcigodny — zwrócił się do Zorora.

Zakatianin lekko obrócił się w fotelu w prawo, w stronę drugiego ekranu, ukazującego w tej chwili pękniętą kamienną płytę, przez którą biegła falista linia prawie zatartych przez czas kresek. Trzasnął przełącznik i obraz zniknął. Zoror włożył do czytnika inną płytkę. Tym razem na ekranie pojawiła się gwiazdna mapa, stale rosnąca i zbliżająca się do nich.

— Wayland, z lewej strony. — Nacisnął guzik i jedna z kropek na chwilę rozbłysła na zielono.

Faree zakręciło się w głowie, jakby jakaś siła przyciągała go do ekranu, a on nie mógł się jej przeciwstawić. Nie patrzył na planetę, którą wskazywał Zoror, lecz jakby na czyjś rozkaz zaczął szukać wzrokiem innej. Rozpostarł skrzydła, choć nie na skutek świadomego polecenia umysłu.

— Faree! — Głos Maelen rozproszył rzucany na niego urok. — Co ci jest?

— Mapa. Tutaj i tutaj! — Młodzieniec podszedł do stołu, ominął Zorora i wskazał palcem sektor bardzo odległy od migoczącego punktu, przedstawiającego planetę Wayland na północnym wschodzie, prawie na samej krawędzi mapy, gdzie znajdowało się tylko kilka gwiazd.

— Dlaczego? — spytał Zoror. — Wayland znajduje się blisko obrzeży — dalej są już prawie same niezbadane planety, widniejące na mapach sporządzonych przez kartopływaków, lecz brak na ich temat informacji, które mogłyby zwabić nawet takich śmiałków jak Zwiadowcy lub Wolni Kupcy.

— Nie! — Zniecierpliwiony Faree uderzył pięścią w stół. Toggor zapiszczał i wypuścił z łap jego tunikę. Upadł na grzbiet i przez chwilę wymachiwał rozsuniętymi szeroko odnóżami, ukazując groźnie wyglądające pazury. Jednym z nich drasnął lekko dłoń Faree, kiedy ten wyciągnął rękę, aby kolejny raz wskazać świecące kropki na ekranie. — Tutaj... to właśnie zobaczyłem... niebiańscy tancerze! Tę właśnie mapę widziałem za ich plecami!

— Niebiańscy tancerze? — powtórzyła jak echo Maelen. — Mały bracie, nas tam nie było.

Faree stracił cierpliwość. Poczul szarpnięcie, konieczność odpowiedzenia na coś, co nie było słowami ani myślowym przesłaniem jego towarzyszy.

— Ja... kiedy byliśmy tam... w dzielnicy portowej, zobaczyłem coś... dzięki temu. — Przesunął palcami po piętnie, które zostawiły na jego ciele szarfy. — Widziałem skrzydlate istoty, Tancerzy Mgły, a potem światła przed nimi. Mówię wam, to są te światła! — Znow wskazał na ekran. — One tu są!

Vorlund nachylił się, żeby lepiej przyjrzeć się mapie.

— Mówisz, że ten Xexepan jest Wolnym Kupcem... i handlarzem niewolnikami?

— Zapytał chłodnym tonem i z zaciętym wyrazem twarzy. Nie zwracał się do Faree, lecz do Zakatianina.

— Mój synu, istnieją nieuczciwi handlarze. Poza tym gdyby członek Gildii chciał poszukać sobie przykrywki, czy nie mógłby posłużyć się tym tytułem?

— Nie! — wybuchł Vorlund. — Nie mamy brudnych rąk, cokolwiek mówią o nas inni. Co się zaś tyczy tego Xexepana, jeśli posługuje się takim znakiem rejestracyjnym i nie należy do naszego grona, jest banitą i nikt nie może przeszkodzić kupcowi w ukaraniu go. Możemy zabrać jego statek, a jego samego... — Zacerpnął głęboko powietrza. — Była kiedyś sprawa Angol... chyba jeszcze się o tym pamięta? Ci, którzy tak ją potraktowali, nie polecili już w kosmos, chyba że za lot można uznać wyjście w próżnię za służę powietrzną. Wolni Kupcy dbają o reputację, a ci, którzy chcieliby ich jej pozbawić, będą mieli przeciwko sobie wszystkie statki. Moim zdaniem ten twój Xexepan jest albo kłamcą, albo największym z głupców, skoro przybrał takie miano!

— Zgoda. — Spokojny ton Maelen w porównaniu ze wzburzonym głosem Vorlunda zabrzmiał bardzo chłodno. — Przyjrzyjmy się Waylandowi.

Teraz ona wpatrzyła się w mapę. Zakatianin ustąpił jej miejsca.

— Podróżuję w kosmosie od niedawna, ale... — Postukała palcem w ekran. — Popatrzcie, jeśli statek leci stąd... — była to gromada gwiazd wskazana przez Faree — to gdzie znajduje się pierwsza planeta, na której można wylądować w celach handlowych albo żeby nawiązać kontakt z przedstawicielem Gildii? Jeżeli ktoś znajdzie przypadkiem skarb zbyt wielki, żeby go unieść w pojedynkę, może zrobić dwie rzeczy — wziąć jego część i poszukać współnika lub zostawić wszystko i bardzo tego potem żałować. Nie przypuszczam, aby Xexepan należał do osób, które czegokolwiek żałują. Tak więc z symbolicznym ładunkiem poszukał prawdopodobnie najbliższej planety sprzyjającej jego zamysłom. Być może już wtedy pełnił funkcję oczu i rąk Gildii, wynajdując wszystko, co miałoby dla nich jakieś znaczenie. Nie

sądę, żeby był handlarzem niewolników. Przestrzeni na obrzeżach pilnuje Patrol. Handel żywym towarem wiązałby się ze zbyt wielkim ryzykiem. Przypuszczalnie poleciał na Waylanda poszukać czegoś, czego potrzebował, mianowicie kontaktu z Gildią.

— On przyleciał stamtąd! — Faree wrócił do tego, co go interesowało. — Ten Glude — wymówił imię z obrzydzeniem — miał skrzydła... ich części! Mówicie, że wioził skóry — a jeśli te skóry były skrzydłami?

Vorlund wciągnął gwałtownie powietrze. Maelen spytała jednak spokojnie:

— Co widziałaś, braciszku? Powiedz nam.

Faree zmarszczył brwi, starając się przypomnieć sobie wszystkie szczegóły.

— Otwartą przestrzeń, bardzo piękną... — Na chwilę urzekło go wspomnienie tej krainy, tak zupełnie niepodobnej do wszystkich planet, które widział dotychczas. — Były tam góry... i istoty tańczące w powietrzu. Nie widziałem ich twarzy we mgle. Miały jednak skrzydła — dotknął zewnętrznego ożebrowania własnych — podobne do moich. Tańczyły, a potem z mgły wyłoniły się światelka i utworzyły ten wzór! — Kolejny raz pokazał róg mapy.

— Psychometria. — Maelen przyglądała mu się badawczo. — To możliwe. Spróbuj tego. — Nachyliła się nad stołem i podniosła leżącą przed ekranem grudę ziemi, a w każdym razie coś, co tak wyglądało w oczach Faree, i wcisnęła mu ją w dłoń. Wziął bryłkę do ręki, a jego palce zacisnęły się na niej mimowolnie. Spojrzał na Maelen pytająco.

— Co ci przychodzi na myśl, braciszku?

Czemu to robiła, kiedy powinni myśleć o innych sprawach? Mimo to, pod jej nieugiętym spojrzeniem, popatrzył na trzymaną w rękę ziemię. W tej części jego umysłu, którą potrafił rozmawiać z Toggorem i pozostałymi, coś drgnęło.

Odruchowo zamknął oczy.

Zobaczył przed sobą ciemność, a potem z tej nocy wyłoniło się...

Jakieś stworzenie. Miało smukły, nieco zaokrąglony tułów i małą głowę. Poruszało się na czterech szczudłowatych kończynach. W dwóch pozostałych, wyrastających z korpusu, ścisnęło czarną różdżkę albo patyk. Emanowało od niego poczucie celowości — a ten cel stanowiło zabijanie. Nie było pochodną wściekłości ani strachu, raczej neutralnym stanem rzeczy. Rosło, gdyż w jego wnętrzu krył się instynkt wzrostu, taki jak w nasieniu. Stwór uniósł broń, jeśli rzeczywiście była to broń, aby zadać cios, w który najwyraźniej włożył wszystkie siły.

To go jednak nie ocaliło. Cofnął się o krok, gdy ostra lanca płomieni przeszła jego tułów. Kończyny zwinęły się w kłębek, kiedy upadł, podrygując. Faree wiedział jednak, że już nie żył.

Otworzył oczy i spojrzał na Zorora. Kiedy zastanawiał się nad doborem słów, Zakatianin wyjaśnił mu:

— Śmierć... i istota, która była dość rozgarnięta, żeby się uzbroić i walczyć w swojej obronie. — Zwrócił się do Maelen i Vorlunda. — Widzieliście to?

Oboje pokiwali głowami. Zoror wziął grudkę ziemi od Faree. Ostrożnie postukał nią w blat stołu, a następnie wydobyl podobne do pazura narzędzie, którym tak skutecznie posłużył się w portowej dzielnicy. Twarda prawie jak żelazo wierzchnia warstwa odpadła, ukazując zdeformowany zlepek cienkich, żółtych kości, z których żadna nie była większa od palca.

— To pochodzi z mojej planety — wyjaśnił Zakatianin. — Zatan zorganizował ekspedycję, kiedy byłem jeszcze małą jaszczurką. Zszedł do Kanionu Podwójnej Ciemności i tam to znalazł. — Znów wsunął taśmę w krawędź ekranu i pojawił się nowy obraz — pękaty cylinder, leżący na stole, a przy nim kawałek ręki Zakatianina, aby pokazać, jak rzeczywiście był niewielki. — To wrak statku. Jest stary nawet



według naszej rachuby czasu, niemniej jednak to prawdziwy gwiazdny statek. Załoga musiała być niewielka zarówno pod względem rozmiarów, jak i liczebności. Prześwietliliśmy go wiązką promieni, aby go zbadać i sklasyfikować. Nigdy nie widzieliśmy niczego podobnego. To — wskazał kostki tkwiące w twardej jak kamień grudce — znaleziono w pobliżu śluzy wyjściowej. Być może to, co pokazał nam nasz mały brat, stanowi część załogi tego statku. Ta grudka była przyklejona do wraku, który przywiozła nasza ekspedycja. Zatrzymałem ją sobie, aby przypominała mi o tym, że nawet na własnej starej planecie można się natknąć na niezwykle rzeczy — zagadki nie mające rozwiązania. Rozmawialiśmy z Faree o legendach i opowieściach zamkniętych w „historii”, tak jak te kości w skamieniałej glebie, lecz być może wciąż żyją w przekazach ustnych pewnych ras. Wśród Terran krążą baśnie, które zabrali ze sobą w gwiazdy. Występuje w nich rasa skrzydlatych istot, zamieszkująca niegdyś tę samą planetę, z której oni się wywodzili. Rasa ta wzbudzała strach zarówno z powodu swojej niezwyklej wiedzy, jak i wrogości do dominującego gatunku ich ojczystej planety. Legenda ta odżyła na wielu światach, kiedy ludzie terrańskiego pochodzenia rozprzestrzenili się wśród gwiazd: Mały Ludek czasami był przyjazny, lecz przeważnie budził strach, gdyż władał niezrównaną mocą, której nie umiał zrozumieć nikt spoza ich rasy. Być może nie jest to czysty przypadek, że taką baśń mogli znać ludzie na Waylandzie. Prawdę mówiąc, tak nazwał tę planetę zwiadowca, który zasłynął jako zbieracz legend. Zasłużył się również mojemu ludowi, przywożąc niezwykle opowieści i przedmioty. Na starość osiadł na planecie Zorp, gdzie przyjęto go z honorami, a jego wykłady cieszyły się dużą popularnością. Ja sam poszedłem na wykład poświęcony Waylandowi, planecie, której nadał imię legendarnego boga albo bohatera opowieści. Zacytował nam wtedy fragment pewnej piosenki i odtąd na stałe utkwiał mi on w pamięci, gdyż zawiera interesującą wzmiankę. Dla jego rasy miała to być przestroga, dla mojej zaś wyzwanie na drodze ku wiedzy. Ten skrawek starej mądrości brzmiał następująco:

*Ani na wysoką górę,  
Ani dolinami,  
Na łów nie pójdziemy,  
Ze strachu przed ludkami.*

Vorlund poruszał wargami razem z Zakatianinem, powtarzając wierszyk. Zoror pokiwał głową.

— Więc ty też go znasz, podróżniku do odległych krain?

— Kiedyś słyszałem jego fragment z ust bazarza na Dawn. Była to jednak część innej opowieści, kończąca się słowami: „ze strachu przed grindami”. Grind był miejscowym potworem z bajek, pożeraczem dzieci.

— Przed ludkami — powtórzyła Maelen. — Więc wieść o nich rozeszła się, choć żadnego w rzeczywistości nie widziano?

Zoror wskazał głową Faree.

— Może teraz właśnie ich widzimy. Co się zaś tyczy zdolności, które wydają się dziwne i nawet groźne tym, którzy ich nie posiadają — nasz braciszek potrafi posługiwać się mową umysłu, a także po części odczytywać przeszłość. — Postukał w pękniętą grudkę.

Tylko Faree myślał o czymś innym.

— Skrzydła. — Uniósł rękę i musnął skraj jednego z własnych. — Skrzydła... „skóry”?

Wracała wściekłość, którą czuł uprzednio. Jego ręce znów się zetknęły, tak że mógł palcami pocierać piętno wypalone na jego ciele. Zaglądnął Zororowi przez

ramię na ekran, na którym nie było już widać miniaturowego statku kosmicznego, lecz mapę gwiazd. Najwyraźniej on i Zakatianin myśleli o tym samym, chociaż tym razem Faree nie poczuł wtargnięcia obcego umysłu.

— Wygląda na to, że są pewne kłopoty.

— Patrol? — spytał Vorlund. Zakatianin powoli pokręcił głową.

— Jakie mamy dowody? Przeczytałeś dane, jakie istnieją na temat człowieka, z którym się kontaktowaliśmy. Xexepan jest podejrzany, ale dopóki nie zdobędziemy więcej faktów, Patrol nie zacznie działać. Gildia? Po nich można się wszystkiego spodziewać. Z tego, co podsłuchaliśmy, wynika, że Faree był śledzony. Bez wątpienia wy również. Mimo to sądzę, że ich głównym celem jest nasz młodszy brat. Nie ma on jednak żadnej wiedzy, która mogłaby im się przydać. Szukają go więc z powodu tego, kim jest.

— A kim ja jestem? — wykrzyknął Faree. Czasami miał wrażenie, że płacze się w słowach, kiedy tylko pragnąłby swobody, aby... No właśnie, co zrobić? Na to nie umiał odpowiedzieć.

— Dlatego przybyłeś tutaj, żeby się uczyć — odparł Zoror. — Rasa, o której dotychczas słyszeliśmy tylko w starych legendach...

— Rasa — powtórzył Faree — która niegdyś wzbudzała strach i przypuszczałnie ma na pieńku z Gildią... — Jego myśli pomknęły od tego, w co wierzył, ku temu, w co można było uwierzyć. Istniały rozmaite strzępki i skrawki, z których można było utkać prawdziwy obraz rzeczy!

— Zachodni kwadrant. — Vorlund wciąż wpatrywał się w mapę, lecz było jasne, że myślami jest już gdzie indziej. — Niewątpliwie istnieją taśmy do podróży na Waylanda, ale czy są takie, które zaprowadziłyby statek jeszcze dalej?

— Oficjalnie? — Zoror znów wziął do ręki owoc i zaczął pić. — Jest krótki zapis skanera. Być może istnieje inna... możliwe, że mają Xexepan.

— Taśma ze skanera — rzekł zamyślony Krip. — Używaliśmy kiedyś takich. Bez wątpienia to ryzykowna metoda podróżowania, ale moi rodacy wielokrotnie udowodnili, że można tego dokonać.

— To prawda — zgodził się Zakatianin.

— Nie możecie tam polecieć — powiedział Faree wbrew sobie. — Tyle dla mnie zrobiliście. — Wyciągnął ręce, jedną do Maelen, drugą do Wolnego Kupca. — Dwukrotnie zwróciliście mi wolność. Uwolniliście mnie od smrodu Obrzeży i wypuściliście z kryjówek, którą nosiłem w samym sobie.

Jego skrzydła zafalowały, kiedy przypomniał sobie, jak chodził przygnieciony ich ciasno zwiniętym ciężarem, sądząc, że jest garbusem i śmieciem. Mieszkańcy Obrzeży przezywali go „Śmierdzielem”, a on uwierzył, że nie ma dla niego innej przyszłości niż dnie i noce grzebania w odpadkach. Dopiero kiedy wraz z tym dwojgiem stanął w obliczu niebezpieczeństwa, jego skrzydła rozwinęły się, a wtedy zrobił dla nich to samo, co oni dla niego — wyświadczył im przysługę, czyniąc coś, do czego oni sami fizycznie nie byli zdolni.

Nie patrzyli na niego. Krip najwyraźniej rozważał w myślach jakiś problem, spoglądając na niego — jak często to robił — wpraw z jednej, potem z drugiej strony. Maelen znów poruszała palcami i wydawało się, że kreśli w powietrzu jakiś obraz, który tylko ona i jej lud potrafiliby zrozumieć.

Zoror usiadł głębiej w fotelu i odstawił wyspany owoc.

— Tak. — Nie odpowiadał Faree, lecz najwyraźniej myślał na głos. —

Organizowano już ekspedycje na podstawie tak nikłych śladów. Niezbędne będą jednak dwie rzeczy — zezwolenie Patrolu i dość pieniędzy, aby wyposażyć statek na prawdopodobnie wieloletnie badania.

— A my nie mamy ani jednego, ani drugiego — rzekł Krip, krzywiąc się.

Faree znów spojrzał na wzór gwiazd. Nie miał żadnych znajomości ani pieniędzy, oprócz swojej części nagrody za udaremnienie spisku Gildii na Yktor. Jego skrzydła nie mogłyby go nieść gwiezdnyimi szlakami. Narastał w nim jednak coraz większy głód, przeświadczenie, że nie zazna spokoju, dopóki się nie dowie...

— Faktycznie, nie macie — przyznał Zoror. — Ale...

Wtedy wtrąciła się Maelen.

— Wyprawa, której celem jest zbadanie nowej rasy albo pozostałych ruin: czy może istnieć jakiś lepszy powód? Poświęciłeś badaniom całe swoje życie, i gdyby udało ci się uzupełnić ten olbrzymi zasób wiedzy, jaki twój lud posiada...

Zakatianin parsknął gardłowym śmiechem.

— Siostrze, nie musisz mnie kusić. Jak każdy z moich pobratymców, jestem przekonany do tej wyprawy. Masz rację, nie dbamy o żadne korzyści, z wyjątkiem wiedzy. Słyszeliśmy, jak te kosmiczne wyrzutki mówiły o skarbie. Z pewnością tego argumentu użyli, aby zainteresować Gildię. Możemy jednak dopasować tę plotkę do własnych potrzeb. Wiele razy skarby znajdowano w ruinach wymarłej i zapomnianej rasy, a nawet gatunku. Zaczekajcie...

Wstał z wygodnego fotela i podszedł do drugiego ekranu. Przed naciśnięciem guzika dał znak pozostałym. Zrozumieli i odsunęli się poza pole widzenia, aby ten, kto odbierze sygnał, nie zorientował się, że Zoror nie jest sam.

W odpowiedzi na wezwanie Zorora na ekranie pojawiła się twarz Tryistanki. Czub jej lśniących piór leżał płasko, wielkie oczy były półprzymknięte. Naszywka na jej kurtce wskazywała, że była archiwistką i Patrolowcem, aczkolwiek należała do Zwiadowców. Zoror zaczął pierwszy:

— Służebne Skrzydło, czy istnieje możliwość obejrzenia taśmy obserwacyjnej dotyczącej obszaru... — Tu wymienił serię liczb niezrozumiałych dla Faree.

— W jakim celu, Czcigodny?

— Potrzebuję nowych informacji. Przypuszczalnie można tam dokonać ważnego odkrycia. Zanim złożę sprawozdanie, muszę to sprawdzić.

— Taśma obserwacyjna, Czcigodny, zawiera niewiele danych. Jeśli jednak zapisano na niej cokolwiek, co mogłoby cię zainteresować, masz do niej dostęp. Wejdź do plików wewnętrznych...

— Dziękuję, Służebne Skrzydło. — Twarz Tryistanki znikła z ekranu. Zastąpił ją diagram złożony z liczb i symboli, zupełnie obcych dla Faree, który ledwo mógł opanować narastające zniecierpliwienie. Niemniej jednak Krip i Maelen podeszli do Zakatianina i zaglądając mu przez ramię, obserwowali przetwarzanie danych.

Faree niecierpliwił się coraz bardziej. Miał wrażenie, że szeregi wzorów nigdy nie przestaną się przesuwać. Krip dwukrotnie gwałtownym ruchem zatrzymał na chwilę kolumny. Wyjął z wewnętrznej kieszeni niewielkie przenośne urządzenie nagrywające i przyłożył je do maszyny nadającej, najwyraźniej zapisując ważne fragmenty. Potem dane znikły z ekranu, zostawiając po sobie tylko mrugające światełko. Zoror wystukał na klawiaturze odpowiedź, przekazując podziękowania za informacje i zapisując je na konto zakatiańskich badań naukowych,

— Dwa układy słoneczne — rzekł Krip. — W sumie dwanaście planet. Obawiam się, że nawet Zakatianie poważnie się zastanowią, zanim wyślą ekspedycję na tak długą misję.

— Niektóre z tych planet — zauważyła Maelen — nie nadają się do zamieszkania przez podobne do nas organizmy żywe.

Krip pokiwał głową w milczeniu. Zaabsorbowany był własnymi notatkami.

— Są trzy planety typu Arth-A, sześć z pogranicza, a reszta... — Wzruszył ramionami.

— Masz więc teraz już trzy, nie dwanaście — oznajmiła Maelen.

— Dwie w jednym układzie, jedna w innym — zgodził się Zakatianin. — Gdybyś był kupcem — a kiedyś nim byłeś, bracie — na którą poleciałbyś najpierw?

— Rzyzyk–fizyk, na tę. — Wskazał jedną z nich. — W raporcie nie było jednak mowy o śladach życia. Czy nie powinni tego szukać?

— Niektórzy szukają, inni nie — odparł Zoror. — Sonda, z której pochodzi meldunek, znajdowała się daleko od rodzimej bazy albo statku, skąd została wystrzelona. Jej banki danych były prawie pełne. Te urządzenia są wystarczająco czułe, aby przewidzieć możliwość wyłączenia i wziąć ją pod uwagę, kiedy przekażą całą swoją zawartość, gdy nadchodzi czas, aby wracać do domu. Tę sondę wysłano w 7546G, a wróciła w 7869G.

— W czasie wojny Pan–Wen! — wtrącił Krip.

— Właśnie. W tym czasie Patrol miał pełne ręce roboty. Raport mógł zostać dołączony do pozostałych i leżeć niezauważony przez sto albo więcej planetarnych lat. Ciekawe. — Zoror pazurem palca wskazującego postukał się w kły. — Być może nie jesteśmy pierwszymi, którzy się nim zainteresowali.

— Kto mógł dotrzeć do takich informacji bez pozwolenia? — spytała Maelen.

Zoror znów roześmiał się gardłowo.

— Bardzo wielu, siostrzo. Istnieje wiele tajemnic, o których wie tylko Gildia. Wieść niesie, i nie są to plotki, że nową broń i urządzenia informacyjne często zdobywają przez przekupstwo, morderstwa i kradzieże. Bez względu na to, jaką broń przemycają i sprzedają walczącym podczas wojen na planetach, najskuteczniejsze jej rodzaje zatrzymują dla siebie, na potrzeby własnych napadów i tajnych ataków. Wiadomo, że mają dostęp do utajnionych danych. Jeśli więc wykorzystują informacje z archiwum taśm eksploracyjnych, z jakiego my właśnie korzystaliśmy, niewątpliwie umieją czerpać z tego korzyści. Kto wie, może urządzają licytacje praw do własnych niedawno odkrytych światów, przestępcy biorą w nich udział, a w regularnych odstępach czasu Gildia otrzymuje duże udziały. W podobny sposób twój lud, młodszy bracie — wskazał głową Kripa — kupuje prawa kupieckie od Zwiadu.

— Czyżbyśmy więc próbowali wyjaśnić tajemnicę, która być może nie jest tajemnicą? — zapytał Krip.

— Sama obecność Faree jest tego dowodem — rzekła Maelen. — Jak znalazł się na Obrzeżach? W jego umyśle umieszczono blokadę o takiej mocy, że nawet Starsi Thassów nie potrafiliby przeszukać jego pamięci. Być może to dzieło jednej z waszych skradzionych maszyn Gildii. On jest tutaj, a my... co my wiemy?

— Znamy tylko strzępki krążących legend — powiedział Zakatianin.

— Skrzydła! — wybuchnął Faree. A jeśli Gildia miała tyle maszyn, ile gwiazd rozsypanych po nocnym niebie? Były jeszcze te precudne szarfy, które trzymał w rękach. Również ten sen albo wizja — tancerze na wietrze, przypominający jego samego.

— Skrzydła — powtórzył Zoror. — I to, co podsłuchaliśmy tej nocy. Więc... — Kiedy mówił gwałtowniej, dawało się słyszeć syczenie. — Mamy mapę i tajemnicę, w której Gildia może odgrywać rolę wspólnego wroga wszystkich osób zainteresowanych. Mamy statek. — Teraz wskazał palcem zakończonym pazurem Kripa. — Mamy Księżycową Śpiewaczkę, której zdolności nie pojmuje chyba nawet wścibska, wszędobylska Gildia. Mamy istotę z nieznanego świata i jego dzielnego towarzysza. — Przesunął palec w stronę Faree, a potem Toggora. — Mamy starca, który pragnie dowiedzieć się czegoś na własną rękę i przez jakiś czas zaprzestać zgłębiania cudzych raportów. — Teraz wskazał palcem własną pierś. — Może wymieszalibyśmy to wszystko i sprawdzili, co uzyskamy w rezultacie?

Maelen roześmiała się.

— Zdaję się na ciebie, czcigodny, na mojego towarzysza przygód i na naszego

młodszego brata. A na twoje pytanie jest tylko jedna odpowiedź. Chodźmy sprawdzić!

## Rozdział 6

Faree wisiał w sieci, która chroniła go podczas startu i przejścia w nadprzestrzeń. Ze względu na skrzydła nie mógł leżeć na koi. Jak za każdym razem kręciło mu się w głowie i mdliło go. Nie miał najmniejszej ochoty ruszać się z miejsca. Wokół niego ściany tętniły siłą, która była życiem statku. Pojazd należał do Kripa i Maelen. Zamierzali oni wędrować nim po gwiazdnych szlakach z wszystkimi futrzanymi i opierzonymi stworzeniami, aby udowodnić ludziom z innych światów, że pomiędzy żywymi istotami istnieje więź, o której nie wolno zapominać. Zaczęli na świecie Obrzeży od barda i Yazza. Każde z nich odegrało swoją rolę, kiedy Gildia zagroziła im na planecie Yiktor, i nie zgodziło się zostać w domu, chociaż Maelen skomunikowała się z nimi myślami, wyjaśniając im, co trzeba zrobić.

Tym razem nie musieli polegać na obcym pilocie, który — jak stało się to poprzednio — mógł okazać się zdrajcą. Statek pilotował Zoror. Wcześniej z danych sondy skompilował z Kripem taśmę i przestudiował ją starannie. Odlecieli, podając jako miejsce przeznaczenia planetę wystarczająco oddaloną od poszukiwanej, aby prawdziwy cel podróży pozostał tajemnicą.

Zoror był przekonany, że żaden szpieg Gildii nie zdoła się wdrzeć do jego biblioteki połączonej z laboratorium. Budynek obsługiwały głównie roboty, skonstruowane tak starannie, aby słuchały tylko jego głosu. Wprawdzie Zakatianie posługiwali się mową handlową, ale ich ojczysty język wymagał skali głosu niedostępnej żadnemu innemu gatunkowi.

Mimo to Maelen odkryła, że podczas tych dwudziestu dni, jakie zajęły im przygotowania, ktoś kilka razy bezskutecznie próbował przeniknąć umysłem do wnętrza ich twierdzy. Nie napotkali żadnych przeszkód ze strony władz. Komendant Patrołu na sektor przybił własną pieczęć na zezwoleniu. Kiedy Zakatianin wyruszał w podróż, jemu lub jej nigdy nie zadawano pytań.

Posługując się udoskonalonym sprzętem Zorora, zbadali — Faree mógł się przyłączyć, dotykając wszystkiego — każdą dostawę sprzętu i prowiantu przed wniesieniem jej na pokład. Tym razem nie będzie żadnych ukrytych w ładunku niespodzianek mogących ich zaatakować.

Faree od czasu do czasu pogrążał się w medytacji. Ku swemu rozczarowaniu nie miał więcej wizji. Równie dobrze mógł myśleć o ojczystej planecie Zorora. Ostatniego wieczoru, jaki spędzili na planecie, odważył się o tym wspomnieć, gdyż obawiał się, że jego widzenie mogło nie być prawdziwe, a ich działanie wynikać z wpływu długodystansowej motywacji wpojonej przez Gildię.

Stanął między nimi, zwinąwszy skrzydła najciaśniej jak mógł, i opowiedział o swoich obawach.

Maelen potrząsnęła głową.

— To niemożliwe, braciszku! Gdyby twoja wizja była podstępem, szybko wyszłoby to na jaw. My, nie widząc tego, co ty, moglibyśmy zamiast niej ujrzeć zarzuconą sieć, w której znajdowała się przynęta.

Zoror przyznał jej rację.

— Zważ jeszcze na to: przedmiot, przekazujący wiadomość, może zrobić to tylko raz. Zetknąwszy się z tobą, zużył swój ładunek. Ten rzeczywiście odcisnął na tobie swój ślad. — Delikatnie dotknął piętna na nadgarstku Faree. — Ale tylko my o tym wiemy.

Wprawdzie młodzieniec czuł spory respekt przed Księżycową Śpiewaczką i Zakatianinem, a także ich zbliżonymi — choć odmiennymi — zasięgami myślowych

przekazów i zdolnościami badania umysłu, nie był przekonany. Niemniej nie wspomniał więcej o swoich obawach. Przynajmniej nosił na nadgarstku dowód tego, że znalezione szczątki miały ogromną moc.

Ku jego rozpaczy wspomnienie o tancerzach i mapie nieba zacierało się, mimo iż starał się zachować każdy szczegół. Opowieść Zorora o nieznanym maszynie, którymi mogła posługiwać się Gildia, przygnębiła go jeszcze bardziej. Kiedy urządzili wypad do miasta na skraju Pola, przez jakiś czas był bezsilnym więźniem jednej z nich. Czy mógł wtedy również zostaćznaczony — nawet przez tę bliźnię na nadgarstku — aby nieświadomie służyć innym za przewodnika?

Bez trudu weszli w nadprzestrzeń. Faree — ze względu na wąskie przejścia — chodził po statku ostrożnie i z ciasno zwiniętymi skrzydłami. Niewygoda dokuczwała mu także podczas snu, gdy musiał przebywać w ciasnym pomieszczeniu. Część czasu spędzał na dolnym pokładzie z Bojorem i Yazz. Wielki, kudłaty bartel, który pochodził ze świata Obrzeży, bez trudu zapadł w sen, spędzając większość podróży w stanie swoistej hibernacji. Yazz jednak szukała kontaktu myślowego i zadawała Faree pytania.

Tak, czekała na nich planeta, po której otwartych przestrzeniach fisual mogła biegać do woli. Wprawdzie niewiele zapamiętał ze świata swojej wizji, ale jaskrawa zieleń łąk u stóp spowitych mgłą gór nadal tkwiła w jego pamięci. Był pewny, że taka planeta gdzieś istniała — mógł tylko żywić nadzieję, że taśma zmontowana przez Kripa tam ich zaprowadzi.

Ponieważ statkiem sterowała zabezpieczona taśma podróży, a w razie nieprzewidzianego wypadku włączyłby się alarm, Zoror nie zajmował fotela pilota dłużej, niż było to konieczne. Raz na jakiś czas sprawdzał, czy wszystko jest w porządku. Kiedy znów sadził się na dużej kanapie na końcu mostka, włączał niewielki czytnik i wyświetlał ciąg obrazów, przerywany kolejnymi linijkami zawilego pisma swej rasy. Maelen siadała z nim na jednej kanapie i dzieliła jego zainteresowanie raportami o odkryciach, jakich dokonano — o dawno zaginionych dziełach Pionierów. Miała prawo ich szukać, gdyż ciało, jakie teraz nosiła, należało do Pionierki — jakiejś królowej albo bogini, o której nikt nie pamiętał, dopóki nie odnaleziono jej kryjówki pełnej skarbów i uśpionych istot w tajnej górskiej twierdzy, gdzie Gildia wtrąciła się do czegoś, nad czym przypuszczalnie nie mogłaby już dłużej panować, gdyby posunęła się w odkryciach trochę dalej.

Konająca Maelen zajęła ciało kobiety, od dawna przebywającej w zamkniętej komnacie, oczekującej na przebudzenie, które nie nastąpiło w ciągu tysiącleci, jakie upłynęły między czasem, kiedy wzniesiono ostatnią barierę, a godziną, gdy do środka wdarli się rabusie. Tam stoczyła bitwę z pozostałością złej woli, wciąż tkwiącej w tym ciele, wypędzając ją po zacieklej walce. Teraz spytała Zorora, czy w kronikach Zakatian są jakieś wzmianki o istotach podobnych do niej, lecz w odpowiedzi usłyszała tylko, że ta, która odeszła, mogła pochodzić z jednej z połowy setki ras, jakie wyruszyły do gwiazd tak wiele lat temu, że nie sposób ich zliczyć.

— Widzicie — rzekł Zoror, kiedy zebrali się razem, a Vorlund odwrócił się w fotelu drugiego pilota do trójki pozostałych — dla nas jest to kwestia powiązania wielu na pozór nie mających ze sobą nic wspólnego odkryć, jakbyśmy próbowali złożyć okruszki trysuańskiego szklanego obrazu, który strzaskano. Bywa, że znajdujemy wrak statku zakonserwowany w przestrzeni kosmicznej, gdzie unosił się od niepamiętnych czasów, albo jedną ze smaganych wiatrem ruin z pustyni Uavan na Tav, której pierwotnego kształtu można się tylko domyślać. Analizujemy stare opowieści, historie opowiadane przez doświadczonych podróżników. Jedna z nich mówi o Numerodzie...

— Znaleźliśmy kapitana Famble! — wtrącił się Vorlund.

— Właśnie. Famble mógłby być moim rodakiem, tak zawzięcie szukał czegoś, o czym dowiedział się dzięki kilku zdaniom wyszeptanym przez konającego kosmicznego wędrowca znalezionej w kapsule ratunkowej. Skarb na Pogorzelsku był prawie tak cenny, jak ten odkryty przez was na Sechmet. Tylko o rasie, która stworzyła te dzieła sztuki, te przepiękne przedmioty, nadal nic nie wiemy. Z żadnego ze skarbów nie można było nawet wywnioskować, jaki gatunek go stworzył. Istoty te posługiwały się licznymi motywami kwiatów i dziwnych ptaków — a przynajmniej skrzydlatych zwierząt — i innych stworzeń biegających na sześciu nogach. Wszystkie wysadzono drogocennymi kamieniami, aby przetrwały wieki. Pomimo to nie znaleźliśmy niczego, co przypominałoby wizerunek istoty, którą można byłoby uznać za jednego z twórców. Pogorzelsko, jak wiecie, było spaloną planetą, w połowie pokrytą zastygłym żużlem, tak promieniotwórczym, że uniemożliwiał prowadzenie poszukiwań, nawet w szczelnym skafandrze. Drugą jej część porastał gąszcz dzikiej roślinności. Z tego, co tam zobaczyliśmy i znaleźliśmy, wywnioskowaliśmy, że ci, którzy zostawili swoje mienie w jaskiniach, uczynili to w pośpiechu, jakby sądzili, że jeszcze wrócą. Nie wrócili jednak...

— Jest też czaszka Orsuisa — powiedziała Maelen. — Nawet twoi rodacy, Czciogodny, nie widzieli jeszcze czegoś takiego.

— Okazała się zagadką, którą wielu z nas próbowało rozwiązać podczas młodzieńczych studiów. — Zoror pokiwał głową. — Sprawia wrażenie czaszki współczesnego kosmicznego wędrowca ze starej Terrańskiej rasy, lecz wykonano ją z pojedynczej bryły cris–kryształu, a zdaniem dzisiejszych ekspertów nie można jej obrobić żadnymi znanymi metodami. Mimo to istnieje i nie ulega wątpliwości, że służyła kiedyś do porozumiewania się. Tu i ówdzie można znaleźć jeszcze wiele zagadek.

Faree kiwnął głową, trąc zamię na nadgarstku. Podczas pobytu w kwaterze Zakatianina widział wiele dziwnych rzeczy. Wysłuchał licznych legend tak ważnych dla Zorora, opowieści o skrzydlatych ludziach i Małym Ludku, którego podobno znali Terranie, nie tylko na swoim własnym świecie, lecz również wśród gwiazd.

Lot w najlepszym przypadku był nużący, zwłaszcza jeśli statek pilotowała taśma. Niemniej jednak Zakatianin wykorzystał ten czas, aby utrzymać ich umysły w napięciu i zainteresować ich czymś więcej niż tylko przetrwaniem do końca podróży. Podczas arbitralnie ustalonych godzin pracy na statku Faree i pozostali słuchali licznych opowieści Zorora o znaleziskach i tajemniczych światach spustoszonych na skutek jakiejś wojny albo katastrofy, gdzie prastare bronie wciąż toczyły walki i każdy, kto próbował wylądować, padał ofiarą ataku. Faree początkowo przysłuchiwał im się z wielką uwagą. W świecie jego dzieciństwa — na śmierzdzących Obrzeżach — nie było niczego, co mogłoby rozbudzić jego wyobraźnię albo wyszkolić umysł, a te historie zapierały dech w piersi.

Dopiero kiedy wracał do swojej kabiny, gdzie Toggor zajmował łóżko, z którego on nie mógł korzystać z powodu skrzydeł, tarł przegub aż do zaczerwienienia skóry, żałując, że nie ma reszty jedwabistych skrawków, które miał właściciel straganu. Natęzał umysł aż do bólu, próbując znaleźć odpowiedź, lecz nie potrafił jej uzyskać.

Co jakiś czas drżał, kiedy najwyraźniej w odpowiedzi przeszywał go ból tak ostry i ulotny, jakby trafiał go promień laserowy. Po każdym takim przejściu czuł mdłości i był obolały.

Siedział na krawędzi posłania, odwrócony plecami do drzwi, kiedy nadeszła kolejna z takich sesji. Okazała się tak bolesna i wyczerpująca, że zaczął kołysać się w przód i w tył. Toggor zaklekotał szczypcami, wyraźnie dając do zrozumienia, że odebrał silny impuls bólu Faree. Nie tylko on jeden, gdyż od strony drzwi dobiegł czyjś głos.



— Faree! To śmierć!

Owinał się ramionami, jakby musiał przytrzymać się jakiejś części własnego ciała, żeby nie poddać się paraliżującemu strachowi. Niemal udało mu się przedrzeć przez kurtynę lęku i dotrzeć do kogoś lub czegoś, co było po drugiej stronie. Twarz miał mokrą od potu, który zbierały się na jego czole i spływał mu po policzkach.

Strach... tak, strach, lecz zmieszany z gniewem... Najwyraźniej oba te uczucia odcisnęły swe piętno w jego umyśle, tak jak opaska na jego nadgarstku zostawiła ślad na jego ciele.

— Faree. — Maelen szła wzdłuż ściany, aż mogła mu spojrzeć prosto w twarz. — Nie wolno ci tego robić...

Potrząsnął głową. Potem rzekł półgłosem:

— Muszę się dowiedzieć!

— Cóż ci przyjdzie z tej wiedzy, młodszy bracie, jeśli zrani cię ona tak głęboko, że nie będziesz już mógł funkcjonować? Widzisz? — Wyciągnęła rękę i pogładziła palcami jego mokry policzek. — Wkładasz w to tyle wysiłku, a to, co do siebie przyciągasz, to... śmierć. My również mamy wewnętrzny wzrok, ale nie wolno nam iść dalej — dalsza droga oznacza zakłócenie równowagi Szal. Molaster obdarzył nas tym wzrokiem a my przysięgliśmy nie używać go w złym celu.

Po raz pierwszy Faree spojrział na nią.

— Muszę się dowiedzieć — powtórzył, lecz jego głos zabrzmiał głucho, a bolesne wyczulenie zmysłów ustąpiło.

— Być może... ale nie w taki sposób... nigdy nie w taki sposób, Faree. Nikt nie może zobaczyć, co jest dalej, kiedy wstępuje na Białą Drogę, tak jak nikt nie może stamtąd wrócić. — Znow wyciągnęła rękę i położyła ją na jego nadgarstku. — Nawet ja potrafię wyczuć, co się w nim kryje, mały bracie. Nie używa się beztrudnie tego, co przesyczone jest smutkiem i śmiercią. Dla twojego własnego dobra, nie próbuj tego więcej.

Do jego umysłu płynęło coś więcej niż słowa — było to kojące, przynoszące ulgę uczucie, jakby czyjeś dłonie opatrywały bolącą ranę. Jak przez mgłę uświadomił sobie, że Maelen przekazywała mu myślami to samo zapewnienie, jakiego wiele razy używała w stosunku do tych, których nazywała swoimi maleństwami, choć inni mogliby określić ich mianem bestii. Westchnął i przycisnął nadgarstek do piersi, gdyż pod wpływem jej kojącej myśli zdał sobie sprawę, że mówiła prawdę. Nie powinien marnować sił na te poszukiwania, kiedy czekały ich trudniejsze zadania. Nie miał wątpliwości, że nadciągało niebezpieczeństwo.

— Doskonale — powiedziała. — Obiecuję ci, młodszy bracie, że twoja chwila nadejdzie, a kiedy to się stanie, odegrasz wielką rolę.

Spojrział na nią zaskoczony. Zawsze sugerowano, że osoby obdarzone zdolnością porozumiewania się myślami potrafią więcej — on sam udowodnił, że umie czytać dotykiem. Jednakże jasnowidzenie nie było powszechnie znane, a on sam słyszał o nim tylko pogłoski.

— To nie jasnowidzenie. — Szybko wychwyciła jego myśl. — Raczej rozumowanie, Faree. Nasza podróż nie będzie łatwa. Jeśli odnajdziemy planetę twojego ludu, musimy być przygotowani na kłopoty...

Pokiwał głową. Tak, nie trzeba było żadnego zmysłu oprócz zwykłego myślenia, żeby to zrozumieć. Miała rację, nie powinien marnować posiadanych darów na bezcelowe próby wymuszenia odpowiedzi. Każda zdolność telepatyczna przychodziła i odchodziła falami. Nie można było jej zmusić do niczego.

Nie próbował już więcej przywołać obrazu, który przez krótką chwilę ujrzał w swojej wizji. Spełniła ona swoją rolę, kiedy przypomniał ją sobie i odczytał mapę, co skłoniło ich do wyruszenia w podróż. Zaczął natomiast w inny sposób przygotowywać

się na to, co mogło ich czekać. Nie tylko nakłaniał Zorora do coraz częstszego wspomnienia, lecz także odwiedzał Bojora w jego kabinie, specjalnie przerobionej, aby pomieściła wielkie kosmate cielsko tego niegdyś dzikiego łowcy, zwierzęcia siejącego postrach na swojej rodzinnej planecie, że nawet opowieści o jego krwawych spotkaniach z osadnikami budziły grozę.

Faree czerpał teraz wiedzę z żyjącego i oddychającego źródła, z dala od taśm i zwojów, tak pilnie strzeżonych przez Zakatianina. Przez całe swoje krótkie życie — a przynajmniej od tak dawna, jak sięgał pamięcią — mieszkał w zaśmieconych rynsztokach Obrzeży, dużo gorszych nawet od portowej dzielnicy na planecie, którą opuścili. Otwartą przestrzeń zobaczył po raz pierwszy, gdy wylądowali na Yiktor. Tam wydarzenia potoczyły się tak szybko, że nie miał czasu myśleć o tym, co widzieli, lecz tylko o tym, co trzeba zrobić, i to jak najszybciej. Jego postępowaniem kierował przeważnie instynkt, nie wiedza.

Teraz zjednoczył się myślami z bardem i żył życiem tego ogromnego kudłatego myśliwego. Człapał po górskich ścieżkach, zadzierając łeb, aby rozkoszować się wiatrem i wieściami, jakie on przynosił. Ostrzył pazury na ulubionym głazie, który jednocześnie zaznaczał terytorium łowieckie Bojora. Łaził od jednego skalnego wzniesienia do drugiego, obserwując niewielkie stadko grushów pasących się w wysokiej trawie. Czatował na brzegu strumienia, gotów zanurzyć w nim łapę ruchem z pozoru zbyt delikatnym jak na bartla i wyłowić szybko pływające stworzenie o gibkim ciele płaza. Tym, co łączyło Faree z Bojorem podczas tych sesji, nie była wyłącznie jednostronna wymiana myśli. Bartel bowiem ocknął się z zimowego snu, żeby przejawić ciekawość i zażądał, aby jego kompan rewanżował się przygodą za przygodę. Życie na Obrzeżach było czymś, o czym Faree opowiadał bardzo rzadko, a od czego Bojor odwrócił się z obrzydzeniem. Jedynymi wspomnieniami jakie mógł mu zaproponować, były godziny spędzone na Yiktor.

Wciąż potrafił przywołać w pamięci tę cudowną chwilę, kiedy wstrętny garb, przez całe życie czyniący z niego obrzydliwego kalekę, pękł, odsłaniając jego skrzydła. Dobrze pamiętał pierwsze chwile lotu, kiedy niepewnym, niezgrabnym ruchem usiłował wznieść się w powietrze, i szansę, aby wyświadczyć Maelen i jej ludowi przysługę, którą mógł oddać tylko ktoś tak obdarzony przez naturę jak on.

To wspomnienie zdawało się najbardziej ciekawie Bojora. Jego doświadczenia z istotami latającymi ograniczały się dotychczas do ptaków, w tym jednego gatunku podążającego za nim śmiało i pożywającego się resztkami jego upolowanej zdobyczy. Dla stworzeń takich jak on i pozostali na pokładzie tego statku (Faree od razu odkrył, że Bojor uważał ich wszystkich za zwierzęta, wyraźnie odmienne od myśliwych, którzy go złapali, chociaż tamci ludzie nosili takie same ciała, jakie mieli jego obecni kompani) latanie było czymś bardzo dziwnym. Zasypywał Faree myślowymi pytaniami na temat tego, co się czuje, kiedy mknie się w przestworzach, zamiast po ziemi.

Mógł czerpać nie tylko ze wspomnień Bojora, lecz i Yazz. Smukłonogie, pokryte piękną sierścią zwierzę dostarczyło mu nowych informacji, które on łapczywie chłonał. Takie i takie jest uczucie, kiedy natrafia się na nieznaną trop na błotnistym brzegu wodopoju. W takich sytuacjach pomagał lepiej niż wzrok ustalić czy był to nieprzyjaciel.

Faree z zalem wtedy pocierał nos. Wprawdzie udało mu się dojść śladem skrawków skrzydeł do statku, mimo to jego węch nie był aż tak wrażliwy i wybiórczy. Tak więc Yazz wzbogacała jego zasób wiadomości o tym, czego można szukać w nowej okolicy.

Zoror, Bojor i Yazz, każde z nich mogło dodać coś od siebie do wiedzy, jaką zdobywał z myślą o przyszłości. Jednakże to od Maelen i Vorlunda nauczył się rzeczy

mogącej okazać się najważniejszą, gdyby po przylocie z gwiazd okazało się, że na ich wybranym świecie grozi im inne niebezpieczeństwo — być może ze strony tych, których uwagę już przyciągnęli.

— Mieli ten kawałek skrzydła. — Vorlund wskazał ślad na nadgarstku Faree. — To prawda, że towar może wędrować od planety do planety i przebyć prawie całą długość kosmicznych szlaków, lecz te skrawki, chociaż są osobliwością, same w sobie mogą mieć niewielką wartość. Być może przywieziono je na poparcie czyichś słów, jako zachętę do udzielenia wsparcia, albo znak rozpoznawczy dla jakichś ważniaków. Może miały posłużyć nie tylko jako przynęta na ciebie, lecz na nas wszystkich, mały bracie. Gildia zna nas dobrze — czyż nie popsuliśmy jej szyków na Yiktor? A oni nie zapominają łatwo o porażkach. Postępowaliby nieroztropnie, gdyby ponosili klęski i pozwalali winowajcom ujsć bezkarnie — mają wielu wrogów, których mogłoby to zachęcić do stawiania oporu. Tak, jeśli to przynęta — to być może zdążamy wprost do pułapki. Musimy być na to przygotowani.

Tak oto Vorlund zaczął go uczyć innych umiejętności, między innymi posługiwania się wąskim nożem, który kosmiczny wędrowiec chował w cholewce swego buta. Choć przestrzeń do ćwiczeń była bardzo ograniczona, Faree nauczył się rzucać tą bronią. Słuchał Vorlunda równie pilnie, jak wszystkich swych innych nauczycieli, i zdobywał użyteczne informacje, jakich mógł mu dostarczyć tylko Wolny Kupiec znający wiele światów. Wiele z nich dotyczyło Gildii. Vorlund zgromadził je przez lata, nadstawiając ucha w portach i słuchając swoich towarzyszy.

Faree sądził, że życie na Obrzeżach jest niewiele warte, gdyż nawet strażnicy chodzili tam tylko parami i z opłatywaczami gotowymi do strzału. Niemniej jednak, im więcej słuchał, tym bardziej przekonywał się, że istnieją zagrożenia, o których nawet mu się nie śniło, kiedy przemykał ukradkiem w mroku tego siedliska szumowin i wyrzutków. Dawniej wydawało mu się, że życie w lepszej dzielnicy miasta jest łatwiejsze, teraz był jednak pewny, że niebezpieczeństwo czyhało również tam.

Sen... Pewnej nocy, kiedy ułożył się w hamaku w swojej kabinie, zaczął śnić.

Unosił się wysoko nad soczystozieloną łąką, na której jakieś punkciki mieniły się w słońcu kolorami, tak jak planety migocą na gwiazdnej mapie. W pobliżu pluskał strumyk, tak przejrzysty, że można było dostrzec kamienie rozsiane na piaszczystym dnie i wyśledzić smukłe kształty mieszkańców jego toni.

Brzeg strumyka porastały wysokie rośliny, a pomiędzy nimi fruwały owady o cienkich jak mgiełka skrzydłach i opancerzonych ciałach skrzących się niczym drogie kamienie. Pejzaż przesycony był ciepłem i światłem — nie tylko słońca, lecz także bijącym od gór wznoszących się wysoko, aby osłonić tę zaciszną dolinę. Była tu też ta snująca się srebrzysta mgła, co jakiś czas przesłaniająca jedno lub drugie wzgórze. Tylko tym razem nikt wśród niej nie latał — kraina sprawiała wrażenie opustoszałej. Znienacka Faree owładnęło uczucie wielkiej samotności, w którym kryła się rozpacz.

Nie był świadomy własnego ciała — jedynie tego, co widział — i co czuł: miał wrażenie, że musi dokądś pójść. Błysnęło światło i znalazł się przed wejściem do czegoś, co przypominało górską jaskinię. Z jej wnętrza wypływała spiralna smużka roziskrzanej mgły.

Jeśli była to naturalna szczelina w skale, ktoś zadał sobie trud, by ją ociosać, a potem osadzić w niej kryształy, jakich Faree nigdy jeszcze nie widział. Czystobiałe jak sople zamrożonej wody, w miarę zniżania się do progu lub wznoszenia się ku ociosanej powierzchni stawały się coraz ciemniejsze. Kryształy sterczące u podnóża były ciemne i zażółcone, jak gdyby przeniknęła do nich gleba, zanim zastygły w bezruchu, a wysoko w górze przezroczyste niczym woda, bladofioletowe przechodzące w ciemną purpurę.

Wrota przyciągnęły go ku sobie i poszybował (ponieważ nie czuł we śnie, by latał)

w stronę ich otworu — lecz coś go tak gwałtownie i niespodziewanie odepchnęło, że w tej samej chwili wyrwał się zarówno z marzenia sennego, jak i ze snu. Leżał zaspany, a serce waliło mu tak szybko, iż miał wrażenie, że wstrząsa całym jego ciałem. Przez krótki czas, który można było tylko mierzyć jego przyspieszonymi oddechami, uświadomił sobie, że znajduje się w kabinie, a nie przed tą lśniąca, wysadzaną klej notami, otwartą bramą.

W głębi jego umysłu coś drgnęło, jakby szarpnięto drzwiami, od dawna mocno zamkniętymi. Leżał nieruchomo i próbował dotrzeć do tych drzwi, lecz wtedy doznał takich zawrotów głowy, że zrobiło mu się niedobrze.

Kiedy zasłonił usta dłońmi, żeby opanować narastające mdłości, rozległ się sygnał. Wychodzili z nadprzestrzeni — jeśli wysiłki Kripa zakończyły się sukcesem, poszukiwany przez nich układ znajdował się przed nimi.

Faree ostrożnie wstał z hamaka. Nadal mdliło go, lecz wciąż doskonale pamiętał ten wyrazisty sen — tak prawdziwy, jakby rzeczywiście znalazł kryształowe wrota.

## Rozdział 7

— To tutaj! — Krip nachylił się w fotelu drugiego pilota, żeby spojrzeć na ekran widokowy.

Ich oczom ukazał się zielononiebieski glob. Faree miał wrażenie, że to raczej planeta zbliża się szybko do nich, a nie oni szukają na niej miejsca do lądowania.

— Ach... — Ręce Zorora zajęte były przyrządami. Bijące od Zakatianina napięcie udzielało się pozostałym. Tak jak we śnie coś w kryształowych wrotach ostrzegło Faree — tak i teraz ogarnęło go uczucie, że czyha na nich niebezpieczeństwo...

Zoror pochłonięty był obsługiwaniem rzędów guzików i dźwigni, lecz odezwał się do Vorlunda:

— Przygotuj się do lądowania... czy również używasz przyrządów... — Zgarbił się, jakby naciskał z siłą coś więcej niż tylko guziki.

Vorlund chwycił za stery drugiego pilota i zachmurzył się nagle.

Czy ten świecący punkcik na ekranie rzeczywiście zamrugał przez chwilę? Faree gotów był przysiąc, że tak. Być może przez ten ułamek sekundy ich statek powstrzymywano, nie pozwalano mu wejść w wewnętrzne niebo tego nieznanego świata. Potem, jeśli rzeczywiście istniała jakaś bariera, przeszkoda znikła. Wylądowali tak lekko, jakby Zakatianin trzymał statek w dłoni i postawił go zgrabnie na twardej powierzchni. Vorlund nachylił się, żeby dotknąć ekranu widokowego. Obraz powoli obracał się, pozwalając im obejrzeć miejsce, w którym wylądowali.

Pole widzenia przesłaniały pasma dymu; najwyraźniej coś zapaliło się od rakiet hamujących. Maelen odczytywała symbole jarzące się na małym ekranie po prawej jej stronie. Faree wiedział, że każdy z takich zielonych rozbłysków oznacza, że mogą wyjść na zewnątrz, nie dźwigając niewygodnego sprzętu, niezbędnego w niesprzyjającej atmosferze.

Powietrze i światło nie stanowiły problemu; drugiego ostrzeżenia może nie być. Faree zastanawiał się, czy ktokolwiek poza nim poczuł to pierwsze. Niemniej jednak, kiedy szykowali się do zejścia po trapie, aby obejrzeć nowy świat, zauważył, że Vorlund zakłada pas z ogłuszaczem. Maelen gimnastykowała palce, jakby jej ciało również było orężem. Zaskoczył go fakt, że Zakatianin także sięgnął po ogłuszacz. Zakatianie cieszyli się takim szacunkiem na gwiazdnych szlakach, iż nawet członek Gildii zastanowiłby się poważnie, zanim wszedłby w drogę któremuś z nich. Wieść niosła, że prowadzone od dawna przez Hist-Techników badania nad przeszłością obejmowały też eksperymenty nad dziwną bronią Pionierów, więc lepiej było im się nie narażać. Faree miał w cholewce buta nóż, jednak mimo starannych nauk, jakich udzielił mu Vorlund, wątpił, czy potrafi sprawnie posługiwać się tą bronią.

Wyszli na trap przerzucony nad pasem spalonej roślinności. Maelen stanęła i wyciągnęła przed siebie rękę. Powoli wykonała półobrót, szerokim gestem wskazując całą okolicę, a Vorlund i Zoror odsunęli się trochę, aby zrobić jej miejsce. Faree użył umysłu bez połączenia z jakimkolwiek przyrządem.

Niespodziewanie wzbil się w powietrze, wlatując nad statek i oddalając się od kręgu zniszczeń, jakie podczas lądowania spowodowały płomienie ich wstecznych rakiet.

Zmierzał w stronę wzniesienia pośrodku doliny, w której wylądowali — porośniętego trawą wzgórze na północ od statku. Zauważył, że był to pierwszy z szeregu kopców stojących w prostej linii. Różniły się rozmiarami; jedne były wyższe nawet od Zorora, inne tak małe, że można było je przegapić, jeśli nie szukało się uważnie jakiegoś wybrzuszenia terenu wśród roślinności.

Staranne rozmieszczenie kopców skłoniło Faree do przypuszczeń, że nie były dziełem przyrody. Kurhany? Ruiny zamaskowane przez upływ lat? Użył psychopolacji, lecz kiedy wylądował na pierwszym z łańcucha pagórków nie wyczuł niczego.

Gęsta roślinność owijała się wokół jego stóp, sięgając mu prawie do kolan. Wśród licznych trójdzielnych liści kryły się drobne, szarobiałe kwiatki. Były tak blade, jakby ciepłe słońce, które czuł na skrzydłach, nigdy do nich nie docierało. Ruchy jego stóp uwolniły słodko-korzenny zapach, a w pobliżu miejsca, gdzie wylądował, strzeliły w powietrze jakieś kuleczki. Niektóre spadły na niego, przyczepiając się do ubrania. Miały ten sam szarobiały kolor, co kwiaty. Oderwał jedną od koszuli i stwierdził, że przykleiła mu się do palców. W chwili, gdy wziął ją do ręki, w tej wewnętrznej części jego umysłu, która zawsze była niedostępna, zanim wyruszył w podróż, błysnęła kolejna, zabarwiona bólem myśl. On... on to znał!

Salenge! Wszechlek! Odpędza choroby i podnosi na duchu — tylko skąd o tym wiedział?

— Salenge — powtórzył na głos. Mimowolnie ścisnął w palcach jagodę. Owoc pękł i rozszedł się ostrzejszy zapach, od którego zakręciło mu się w nosie, a do ust napłynęła ślina. Znów nieświadomie podniósł wysmarowaną sokiem dłoń do ust i zlizął z niej resztki rozgniecionej jagody. Miała orzeźwiający, piekący smak.

Faree uniósł głowę, aby spojrzeć w niebo ponad łukiem swoich skrzydeł. Nie tylko znał nazwę tej rośliny, ale i jej zastosowanie. Tylko że nigdy przedtem jej nie widział — a może jednak? Niecierpliwie zaatakował barierę w swojej pamięci, a potem zachwiał się, powtórnie przeszyty bólem. Nie, nie naciskaj — mówiła Maelen i miała rację. Gdy szukał, natrafiał jedynie na pustkę. Kiedy jednak jego myśli skupiały się na czymś innym, znajdował takie wskazówki, jak ta.

Schylił się i delikatnie potrząsnął roślinami. Zebrał na drugiej dłoni i ramieniu tyle kuleczek, ile mógł. Potem wzbił się w niebo i zataczając coraz szersze kręgi wokół statku, spoglądał z góry na okolicę.

Ich statek wylądował nie w dolinie, lecz raczej dziwnym zagłębieniu w gruncie — idealnie okrągłej niecce, okolonej stromymi ścianami wzgórz, bez żadnych wyłomów, którymi można byłoby ją opuścić bez wspinaczki. Chociaż dół zboczy porastały gęstsze roślinności, w tym splecionych pnączy, ich wyższe partie stanowiły szary, srebrzysty kamień. Pokrywała go sieć czystobiałych żyłek, miejscami błyszczących w słońcu i migoczących, jakby tkwiły w nich drogocenne kamienie.

Nie rosły tu drzewa ani duże krzewy, tylko falujące połacie salenge, najgęściej porastające okolicę tego szeregu łagodnych pagórków, dalej rzadsze. Po drugiej stronie statku, za czarnymi śladami, które wypaliły jego rakiety lądownicze, szarobrazową glebę pokrywała płatanina czegoś, co przypominało bezlistne pnącza, prawie niewidoczne na tle podłoża.

Faree wznosił się silnymi wymachami skrzydeł, aż znalazł się na wysokości roziskrzonych skał. Powietrze było czyste, przesycone zapachem młodej roślinności. Po regenerowanej atmosferze statku chłonał je z rozkoszą, wręcz się nim upajał. Radosne uniesienie towarzyszące swobodnemu lataniu, uderzyło mu do głowy niczym mocny trunek. Niemal zapomniał o wszystkim innym, kiedy przeleciał nad miejscem, gdzie grunt pokrywały dziwne pręgi bezlistnych pnączy.

Po raz pierwszy przyjrzał się im uważnie. Kontrast między tą siatką a bujną roślinnością po drugiej stronie statku kosmicznego, stawał się coraz widoczniejszy. Zniżył lot i podleciał bliżej. Było w nich coś...

Znów miecz pamięci zadał mu głęboką ranę.

Hagger — szlak haggera. W oczach stało mu napęczniałe brunatne ciało. Stwór biegał na sześciu krótkich nogach z brzuchem przy ziemi, lecz kształt jego głowy...

Hagger!

Ta część jego jaźni, która kontrolowała lot, nie czekała, aż wspomnienie stanie się wyraźniejsze. Nakazała mu wzbić się i, gwałtownie wymachując skrzydłami, lecieć w stronę usianych klejnotami skał. Potem Faree przewyciężył ten strach i zawrócił. Powtórnie siadł na pagórku, na którym wylądował po raz pierwszy. Znow doleciał go zapach zgniecionego salenge, niosąc spokój i ukojenie...

Hagger i salenge — gdzie, na księżyc Trzech, jedno i drugie występowało razem? Księżyc Trzech! Wypuścił rozgniecione jagody i chwycił się za głowę rękami. Znow przebłysk pamięci... dlaczego tak go dręczyły?

— Faree! — Myślowe wezwanie Maelen wyrwało go z tego bolesnego zamroczenia. — Co ci jest?

Nie odpowiedział. Zamiast tego wzbił się w powietrze, poleciał do trapu spuszczonego ze statku i stanął przed trójką swoich przyjaciół. Odczepiwszy jagodę salenge od skraju rękawa, pokazał ją wszystkim.

— To jest salenge, nazywana również wszechlekiem, gdyż leczy wszystkie choroby i rany, jeśli zostanie użyta w odpowiednim czasie. A za nim — wskazał na statek — znajdują się łowieckie sieci haggera. Nie pytajcie, skąd o tym wiem. Nie potrafię odpowiedzieć. — Powoli pokręcił głową. Chociaż ból zelżał, Faree wiedział, że przyczał się w pobliżu... czekał...

— Gdzie wylądowaliśmy? — Ku jego zaskoczeniu, Zoror nie zapytał o to, co on rzeczywiście wie.

— Tutaj... — Młodzieniec szybko odpowiedział im obrazem niecki, w której stał ich statek.

Kiedy skończył, Vorlund zapytał:

— Zatem nie można stąd wyjść?

— Bez wspinaczki, nie. Nie miałem jednak czasu, żeby dokładnie zbadać okolicę. Maelen opuściła ręce.

— Ani śladu życia, nie licząc nas.

— Te kopce. — Zakatianin wskazał głową pagórki, które Faree zauważył na samym początku. — Kurhany, ruiny... — mówił, jakby do siebie. Potem zadał pytanie, na które młodzieniec czekał. — Salenge... hagger? — powtórzył pytająco.

Faree wzruszył ramionami.

— Nie potrafię powiedzieć, skąd — powtórzył — ale ja to wiem.

Vorlund zamknął wąż hasłem, które wszyscy powtórzyli za nim, a następnie ruszyli w drogę. Zoror skierował się wprost do najbliższego wzgórka. Vorlund przyglądał się pobliskiej ścianie, przykrytej gęstym dywanem roślinności, a Maelen uniosła wysoko głowę i patrzyła prosto na północ, jakby wzmagający się właśnie wiatr przyniósł jej jakąś wiadomość.

Spojrzenie Faree powędrowało w tym samym kierunku. Zachwiał się na nogach, kiedy przeszył go okropny ból płynący z ukrytej części jego pamięci.

— CaerVul-li-Wan...

Nie był częścią tej bariery, która teraz ich otaczała... raczej górskim szczytem wznoszącym się w górę jak cienka wieżyczka na szczycie twierdzy. Jego biel odcinała się od tła zielononiebieskiego nieba... Faree wydawało się, że nawet z takiej odległości dostrzega błyski na jego zboczach — być może takie same refleksy, jakie rzucały klejnoty na wyższych partiach otaczających ich gór.

Najwyraźniej jego przebłysk pamięci wysłał jakiś nieznany komunikat do czujnych wartowników, gdyż szczyt spowiła mgła. Spłynęła być może z chmur zbyt wysokich, aby je zauważyć, i przesłoniła wierzchołek góry.

Myśl Zorora wtargnęła do umysłu Faree niemal z taką samą siłą, jak uprzednio strzep wspomnień.

— Caer Siedmiu Władców? Chyba rzeczywiście porwał nas nurt legendy, młodszy bracie. Ale czyjej? Czy przybyłeś na wezwanie Małego Ludku?

Faree nie zwracał na niego uwagi, wpatrując się w smukłą skalną wieżyczkę na tle nieba. Nie, nigdy jej przedtem nie widział... Skąd więc znał tę nazwę i wiedział, że jest prawdziwa? Mgła, która zasnuła szczyt — Oddech Merl–Math — wzniosła się, aby zmylić wszystkich obcej krwi. Jednak nie po to, by zmylić jego.

Istniał inny powód pojawienia się wichrowego welonu! Inne powody...!

Znów był w powietrzu, prawie nieświadomy faktu, że wzbił się gwałtownie w niebo. Nie miało znaczenia, że Caer — to, co go wołało — znajdowało się gdzie indziej. Faree zatoczył na niebie krąg, patrząc nie na północ, w stronę ukrytego szczytu, lecz na zachód. W tym momencie statek, jego załoga i wszystko, co składało się na tajemnicę tego nowego świata, zniknęło z jego świadomości. Odbierał nagłące wezwanie, na które tylko on mógł odpowiedzieć.

Minął już krawędź ściany otaczającej nieckę. Zieleń w dole znikła. Zniżył trochę lot, przelatując nad przestrzenią pełną skalnych słupów i klinów, skąd biły czerwone, zielone, niebieskie, żółte płomienie i różnobarwne tęcze, tak jasne, że musiał patrzeć przez zmrużone oczy.

— Faree!

Zagłuszył ten myślowy głos. W porównaniu z przymusem, jaki go gnał, stanowił zaledwie cichnący szept. Faree był potrzebny — tylko on, nie ci innej krwi — ci, którzy kradli i rabowali, zabijali i brali w niewolę...

— Nadchodzę! — pomyślał z całych sił, z całą mocą, jakiej nauczył się. od Maelen i Zorora. Wydawało mu się, że jego myśli pękły, tak jak pękła niegdyś szorstka skóra pokrywająca jego skrzydła, uwalniając go w inny sposób.

Kiedyś strzep czyjś skrzydła prowadził go krętymi zaułkami portowego miasteczka, teraz ten coraz głośniejszy zew wabił jego umysł. Obszar, gdzie płonęły ognie klejnotów, został z tyłu. Przed sobą ujrzał zbocze kolejnej doliny, znacznie obszerniejszej i mniej nieregularnej. Połyskiwała w niej woda i rosły kępy czegoś, co mogło być drzewami. Nie widać było nagiej ziemi z płataniną ścieżek haggerów. Coś tam jednak żyło. Po drugiej stronie doliny kilkanaście ciemnych zwierząt najwyraźniej pasło się na krótkiej trawie. Jedno podniosło głowę i spojrzało w stronę Faree. W myślowym paśmie tak niskim, że omal niewyczuwalnym, młodzieniec wychwycił część impulsu, mogącego być pytaniem. Nie miał ochoty zatrzymywać się i odpowiadać na nie. Stworzenie stanęło dęba i gwałtownie wierzgnęło przednimi nogami, przypuszczalnie rzucając mu wyzwanie, podczas gdy pozostałe szybko zbiły się w stado i rzuciły do ucieczki, w pierw kłusem, później szybkim galopem.

Z zarośli w pobliżu rzeki wyfrunęło hałaśliwie stado ptaków, wzbijając się w niebo z szybkością wojowników, których wezwał głos rogu wodza. Kiedy podleciały do Faree, zobaczył, że choć z daleka przypominały ptaki, nie miały piór. Ich jaskrawo ubarwione skrzydła przypominały bardziej jego własne, ciała pokrywały łuski, które w tym świetle wydawały się usiane klejnotami jak ściana urwiska, nad jaką przeleciał kilka chwil temu. Uzębione szczęki w długich i wąskich łbach, osadzonych na gibkiej szyi, były szeroko rozwarte.

Faree obrzucił zwierzęta nieufnym spojrzeniem i wznosił się wyżej. Wiał teraz zimny wiatr, w którym wyczuwało się chłód śniegu. Być może ciągnął od wysokich gór na północy. Z jakiegoś powodu ptakopodobne stworzenia nie próbowały lecieć za młodzieńcem. Zawróciły, jakby na rozkaz, i odleciały na północ. Niebo opustoszało.

Widok obcych stworzeń w dziwny sposób osłabił moc wzywającego go sygnału. Teraz impuls odezwał się z nową siłą. Nagle Faree spojrzał w dół na zrytą darninę i glebę. Zobaczył doły i bruzdy. Ślady świadczyły o tym, że nie pozostawiło ich zwierzę, jakie mógł wytropić myśliwy. Co dziwniejsze, brały początek z jednego



miejsca pośrodku skrawka nagiej ziemi, jakby to, co wyłobiło te bruzdy, wypełzło spod jej powierzchni.

Faree pofrunął dalej. Teraz uświadomił sobie, że zew dobiegał z miejsca, do którego prowadził ten szlak. Dotarł wreszcie do pasma niewysokich wzgórz zagradzających pieszym wędrowcom drogę do krainy po drugiej ich stronie. Jednakże ten, kto zostawił te ślady, znalazł przejście, klucząc między przeszkodami. W tym miejscu dolina rozszerzała się, chociaż nawet z powietrza Faree nie mógł nic dokładnie zobaczyć. Mgła otulająca Caer Vul-li-Wan spowijała teraz dolinę tak szczelnie, jakby z niebios spuszczoneo kurtynę, a jej fałdy skryły ziemię.

Po raz pierwszy Faree zawahał się. Błagalny impuls, który przyprowadził go aż tutaj, ucichł. Stało się to tak raptownie, jakby śmierć dotknęła tego, kto go wysłał. Również w samej zasłonie z mgły kryło się coś, co przejęło go chłodem dotkliwszym niż mroźny wiatr.

Zawrócił i skierował się na południe, lecz tam również natknął się na spuszczone kurtynę. Nie słyszał nawet najcichszego zewu. Opar nie wisiał na północy ani na wschodnim niebie, skąd przyleciał. Poruszając się wciąż w dość dużej odległości od skraju bariery, Faree próbował poszukać myślami wezwania, na które musiał odpowiedzieć. Natychmiast jednak odskoczył, gdyż doznał takiego uczucia, jakby uderzyła go jego własna myśl, odbita i mocno zniekształcona. Nie znalazł też w swojej zdradzieckiej pamięci niczego, co odpowiadałoby opisowi takiego zjawiska.

Lot w górę nie rozwiązał problemu, gdyż mgła wzniosła się do jego poziomu, jakby istotnie była wymierzona w niego bronią. To od niej biła ta martwota. Czuł się chory, wycieńczony, ledwo mógł utrzymać się w powietrzu. Zmęczenie zmusiło go do wylądowania. Kiedy poczuł twardy grunt pod stopami, o mało co nie upadł, z trudem łapiąc oddech.

Mgła mogła go pokonać w pierwszym starciu, lecz zawziętość pozwalająca mu przeżyć na Obrzeżach jako bezdomnemu kalekiemu stworzeniu, dodawała mu siłę. Otulił się zwiniętymi skrzydłami jak płaszczem i podszedł do głazu, gdzie widniały głębokie rysy. Wyglądały jakby wydrapało je stworzenie, które wydeptało drogę. Usiadł na kamieniu i podparł się dłońmi, starając się przeciwstawić potwornej słabości napływającej falami. Pod wpływem jego ruchów rozszedł się zapach salenge. Najwyraźniej miał wciąż kilka kulek z nasionami przyklejonych do ubrania. Przechylił głowę, żeby wciągnąć do płuc tę ożywczą woń. Obudziło się w nim wtedy nowe, niespokojne wspomnienie... Ubrudzoną dłonią dotknął koszuli na piersi. Nie znalazł tam znajomego wybrzuszenia.

Toggor! Po raz pierwszy, odkąd poznał smaksa, zupełnie o nim zapomniał. Kiedy stwierdził jego nieobecność, poczuł się tak, jakby stracił część skrzydła — albo ręki. Odkrycie tego faktu ostatecznie rozwiązało urok, który zmuszał go do lotu na zachód. Przyjrzał się wnikliwie mgłę, najwyraźniej płynącej w jego kierunku. Jedno pasemko zbliżało się do miejsca, gdzie siedział. Sam nie wiedząc czemu, wyciągnął do niej rękę — i poczuł realny opór!

Natychmiast się cofnął. Ściana Trupiego Wiatru! Od dłoni, którą dotknął niewidzialnej bariery, bił lekki smród rozkładu. Zamknął oczy i zobaczył ciemność przeszywaną snopami oślepiającego światła, tak prostymi jak promienie lasera. Pomiędzy tymi smugami znajdowały się cienie. Jedne rzucały się naprzód niczym drapieżniki powalające ofiarę, inne znikwały, gdy dotknął ich morderczy promień. Pośrodku tego wiru światła i ciemności ktoś stał. Początkowo Faree sądził, że to Maelen albo nawet Zoror.

Potem zrozumiał, że nie było to żadne z nich, lecz ten, który władał Trupim Wiatrem i tworzył z niego barierę, o którą żywi mogą tłuc nadaremnie. Nie widział go jednak.

Piętno na jego nadgarstku odezwało się bólem prawie tak silnym, jak w chwili, gdy pojawiło się na skórze. Faree otworzył oczy. Może nawet jęknął głośno, gdy cierpienie zwiększało się. Spojrzał na rękę, którą zasłaniał się przed naporem mgły. Ze znamienia biło barwne światło przyćmiewające piętno swym olśniewającym blaskiem.

Przycisnął drugą dłoń do obolałego miejsca i wstał z wysiłkiem. Miał wrażenie, że pali go ogień. Krzyknął głośno.

— Utsor vit—S’Lang. — Wydawało mu się, że jego głos mknie po ukosie w górę — niemal widział, jak jego słowa nabierają kształtu i atakują mgłę.

Opar ściał się; tak jakby zamieszano go jakąś wielką chochłą. Bariera zaczęła topnieć, tworząc w pierw coś w rodzaju okna, pozwalając mu dojrzeć to, co uprzednio było niewidoczne, a później przyjmując kształt otwartych drzwi. Faree zamrugał i zamknął oczy. Nie widział już ruchomych światel.

Trupi Wiatr: jego wargi znów wyszeptaly tę nazwę. Smród snujących się pasemek oparu był dość silny, aby zabić resztki ożywczej woni salenge.

Nie wleciał w niebo. Otuliwszy się fałdami skrzydeł niczym peleryną, ruszył pieszo. Szedł ostrożnie, uważając na głębokie koleiny i dziury w nawierzchni dziwnej drogi. Znów usłyszał ten wewnętrzny wzywający go głos, lecz brzmiał on teraz bardzo cicho i załamywał się, jak gdyby wołający znajdował się u kresu sił.

Faree potknął się iomal nie upadł. Zawadził nogą o jakiś przedmiot wystający ze zrytej ziemi. Nachylił się, wydobył go i stanął z głupią miną, wlepiając weń oczy. Znał to — pochodziło z przeszłości, którą doskonale pamiętał — z przeklętych Obrzeży. Bicz impulsowy! Przesunął palcem po wgłębieniach na jego rękojeści. Nie wyczuł wzorów energii. Broń była wypalona. Co tu jednak robiło ulubione urządzenie łowców niewolników? Odruchowo chciał wyrzucić tą złowrogą rzecz, lecz później zmienił zdanie. Zoror... Zakatianin znał się na takich przedmiotach? Może nawet zdołałby wywnioskować z tego narzędzia tortur, kto ostatni raz go używał. Dałoby im to jakieś wyobrażenie o tym, z jakim nieprzyjacielem mogą mieć do czynienia.

Opar niemal całkiem się rozproszył. Faree był ciekaw, co znajdowało się za drzwiami, które otworzyły jego słowa.

Zobaczył jednak tylko szlak zrytej ziemi, kończący się przy pobliskim wzgórzu.

Wołający go głos znów osłabł i ucichł. Faree nadal czuł ból w nadgarstku, lecz nic nie wzywało go, aby leciał przed siebie. Wsunąwszy bicz za pasek, wzbił się w powietrze i skierował w stronę statku.

Obawiał się, że mgła znów się wzniesie, tym razem na wschodzie, i odetnie go od towarzyszy. Niebo jednak nie zachmurzyło się więcej. Słońce oddaliło się, a ciałem Faree targał zimny wicher. Młodzieniec spojrział na północ, spodziewając się ujrzeć tam iglicę Caer Vu—li—Wan. Wydawało się jednak, że wymazano ją z nieboskłonu. Inne szczyty były widoczne, lecz najważniejszy zniknął.

Faree zmarszczył czoło. Nie mógł już wierzyć własnym oczom. Czyżby owo zaślepienie było skutkiem wezwania, jakie słyszał? Istniało zbyt wiele pytań, na które sam nie umiał udzielić odpowiedzi. Jakie słowa wykrzyczał? Już ich nie pamiętał. Maelen i Vorlund znali się na takich rzeczach. Zakatianie nigdy nie rezygnowali z szansy, aby się czegoś dowiedzieć, nawet jeśli mieli tylko nikłą nadzieję. Co mu zostało? Zaledwie strzępki bolesnych wspomnień.

Przestał uzalać się nad sobą i rozejrzał się dookoła. Przed nim wznosiły się szczyty wzgórz, w zachodzącym słońcu nie mieniące się już tak roziskrzonymi kolorami. Wszystko teraz wydawało mu się jednakowe i nie widział Caer Vu—li—Wan, na który mógłby się kierować. Zaskoczył go ochrypli krzyk; usłyszał go uszami, nie umysłem.

Nie był sam na niebie. Za nim łopotała druga para skrzydeł. Pod względem szerokości i rozpiętości mogą mierzyć się z jego własnymi. Leciało jednak na nich

stworzenie, którego w żadnym wypadku nie mógłby uznać za swojego pobratymca.

Czarne, wydłużone ciało wiło się w powietrzu z taką swobodą, z jaką wąż pełźnie po ziemi. Stwór odwrócił głowę ku niemu i Faree zobaczył na pół otwartą paszczę. Przypominała pyski tych mniejszych zwierząt, które wcześniej przeleciały obok niego.

Stworzenie znów wrzasnęło. Faree nie potrzebował kolejnego ostrzeżenia, aby pomknąć co sił w skrzydłach. Bestia miała wielkie szponiaste łapy. Rozprostowywała zakończone pazurami palce, jakby szykowała się do chwycenia zdobyczy. Szybko doganiała Faree, a jej trzeci okrzyk zabrzmiał tuż przy jego uchu.

## Rozdział 8

Był już po drugiej stronie urwiska, mknąc z całą prędkością, na jaką było go stać, aby uciec przed latającym potworem. Stwór wił się i wyginał zwinnie jak wąż, dotrzymując mu tempa. Leciał jednak trochę wyżej, równoległe do niego, a z jego otwartej paszczy strzelały języki płomieni. Mimo to, chociaż znajdował się nad Faree, pokazując, że gdyby tylko chciał, mógłby zaatakować, trzymał się w pewnej odległości z tyłu. Fakt, dlaczego ociągał się z atakiem, stanowił coraz bardziej intrygującą zagadkę.

W odpowiedzi na docierający do niego impuls, młodzieniec podniósł gwałtownie głowę i kosmyk włosów opadł mu na czoło.

Odbierał wiązkę myśli wijącą się jak stwór, który ją wysyłał. Komunikat raz brzmiał wyraźnie, innym razem ledwo słyszalnie.

— Darthor, Darthor! — z ust Faree wyrwał się okrzyk. Ukłucie wspomnienia tym razem nie było tak dotkliwe.

Nie musiał już jednocześnie uciekać i obserwować tego, co nie stanowiło zagrożenia. Nie stanowiło... ? Bez wątplenia nie.

— Darthor, varge! — Załopotał mocno skrzydłami i wzniósł się wyżej, zataczając na niebie łuk, aby stawić czoło potworowi.

Bestia zwolniła. Skręciła na północ, chociaż wciąż śledziła Faree wielkimi pomarańczowymi oczami.

— Darthor, varge! — krzyknął jak ktoś, kto ujarzmił pojmane zwierzę z nieznanego świata i narzucił mu swoją wolę.

Potwór zaskrzeczał i machnął długim ogonem. Z jego pyska znów buchnęła struga czegoś, co przypominało ogień. Stwór nie oddalił się, a jedynie zmienił kierunek, lecąc teraz obok Faree z tą samą, co on szybkością.

Młodzieniec przeszedł z komunikacji głosem na przekaz myślowy.

— Darthorze, sługo, nie szukaj zwierzyny w moim cieniu. — Słowa przychodzące mu do głowy układały się w dziwnie oficjalny komunikat. Wysyłał go powoli i z naciskiem, jak ktoś, kto domaga się posłuszeństwa. Za tą bezgłośną przemową krył się zamazany obraz: Darthor ścigający coś, co uciekało w popłochu, podczas gdy z tyłu leciała jakaś skrzydlata istota z błyszczącą różdżką w dłoni. To on! Nie, to niemożliwe... Nie on, lecz ktoś podobny, przed kim Darthor leciał jako myśliwy. Faree jednak nie całkiem pozbył się obaw. Nie był panem tego stworzenia. Skąd jednak je znał i dlaczego obawiał się jego nadejścia?

Tymczasem nic nie mógł zrobić. Darthor leciał dziwnymi zrywami, jak biegnące po ziemi zwierzę dające niespodziewane susy, i ani na chwilę nie spuszczał Faree z oczu. Kryła się w tym spojrzeniu jakaś posępna przebiegłość, jak gdyby władza, jaką miał nad nim młodzieniec i mocą której powstrzymywał go od morderczego skoku, była bardzo słaba i lada chwila mogła się skończyć.

Krawędź doliny o kształcie niecki znajdowała się już w zasięgu ich wzroku. Cienie od wzgórz kładły się na ziemię i sięgały do statku. Faree zmierzał w stronę pagórka, gdzie po raz pierwszy postawił stopę na ziemi tego świata.

Powietrze przeszył przeraźliwy krzyk. Faree przestraszył się i kiedy tylko stanął na kopcu, podniósł wzrok. Stwór, który mu towarzyszył, machał ogonem i skręcał smukłe ciało, wijąc się w powietrzu. Usiłował lecieć za nim, lecz za każdym razem coś go odrzucało w tył. Łopotał skrzydłami jak oszalały, wydając kolejne wrzaski.

Z wściekłością atakował krawędź urwiska. Rozczapierał szpony przednich łap, jakby chciał rozedrzyć powietrze na strzępy. Faree zauważył, że ktoś podbiega do

niego. Vorlund zatrzymał się, trzymając w dłoni gotowy do strzału ogłuszacz.

— Nie! — krzyknął Faree, podbijając rękę celującego mężczyzny.

— Darthor... strażnik... — Złożył razem drobne strzępki posiadanej wiedzy. — On obawia się... ciebie!

Kiedy wypowiadał te słowa, wiedział, że mówi prawdę. Latający stwór wbijał żółte oczy w Vorlunda, a z jego pyska strzelały języki swego rodzaju płomieni. Wściekłość zwierzęcia była równie potężna co broń, jaką kosmiczny przybysz trzymał w dłoni.

— On nie może tu wejść. — Faree wiedział, że to również prawda. Nie było kłębow mgły, tworzącej ścianę, lecz mimo to istniała jakaś niewidzialna bariera, której on nie poczuł w locie, gdyż broniła dostępu tylko innym istotom. W tym momencie wijący się, trzepoczący potwór zaatakował w inny sposób.

Vorlund krzyknął. Chociaż ręka mu zadrżała, nie wypuścił ogłuszacza, nawet wtedy, gdy osunął się na kolana. Młodzieniec znajdował się na skraju tego psychicznego ciosu. Jego źródłem nie był jednak Darthor — stwór jedynie przekazał energię, jaką go zasilono.

— Fragonie, dowódco Cieni, nazywam cię po imieniu. — Faree omal nie upadł na ziemię obok Vorlunda z bólu przeszywającego zamkniętą część jego umysłu. — Nazywam cię po imieniu — znów wysłał impuls myślowy. Kolory wirowały mu w głowie jak szalone, jednak wciąż opierał się temu, co zaćmiewało lub próbowało zaćmić jego umysł, tak jak opaska zasłania oczy. — Fragon, Fragon... — Skandował te śpiewne słowa na głos, nie przestając jednocześnie wysyłać impulsów ku latającej bestii. — Fragon — powtórzył. Potem wymówił zaklęcie: — Na przestrzenie otwarte, na tron, na zieleni i srebro wytarte, wymawiam imię — twoje imię!

Potwór na szczycie urwiska skręcał się, jakby jakieś olbrzymie paluchy ścisnęły go i wyżywały jak szmatę. Znów wrzasnął, lecz narastający ból zagłuszył wysyłany przez niego komunikat. Vorlund drżał i krzywił się z bólu. Wstawał, chociaż jego broń leżała w gęstej roślinności u ich stóp.

W młodzieńca wstąpiły nowe siły. Poczul taki przyptyw energii, jakiego jeszcze nigdy nie doznał. Rozpostarł szeroko skrzydła i wznosił zaciśnięte pięści nad głowę.

— Zabierz swój Cień, Fragonie! — Jego myśl brzmiała teraz głośniejsze i bardziej władczym. — Zabierz Darthora, Fragonie. Nie ma tu dla niego mięsa do rozszarpywania!

Słabnący jazgot stworzenia raptownie się urwał. Potwór ze spuszczoneym łbem wciąż unosił się w powietrzu. Faree wiedział, choć z tej odległości niczego nie mógł zobaczyć, że bestia uważnie ich obserwuje, wciąż będąc narzędziem w rękach kogoś, kto był ostrożny, rozgniewany, lecz jeszcze nie gotów przystąpić do walki. Potem stwór zawrócił w powietrzu i z miarowym łopotem skrzydeł odleciał na północ, gdzie gęstniejąca mgła spowijała jeden szczyt za drugim, przesłaniając szczerlnie to, co mogło tam ich oczekiwać.

Faree chwycił Vorlunda za ramię i podtrzymał wysokiego kosmonautę. Mężczyzna nachylił się, żeby podnieść ogłuszacz, jednakże wsunął go tylko do kabury. Potem spojrział młodzieńcowi prosto w twarz.

— Co to było? Mogło zabić...

Faree powoli pokręcił głową, pocierając dłonią czoło. Znów nękał go tępy ból głowy i miał zamęt w głowie. Wiedział... co wiedział, i skąd? Nie potrafił tego zrozumieć. Przedtem czuł więź, a teraz pustkę, całkowity brak kontaktu.

— Sam... nie wiem... — wybąkał. Kręciło mu się w głowie i mdliło go. Szarpnął nim ostry atak bólu, który przypuszczalnie nękał go wcześniej, lecz go nie zauważał.

— Nazwałś go — odparł Vorlund. — Wymieniłeś też drugie imię: Fragon...

Faree zadrżał, a później usłyszał jeszcze jeden głos.

— Wielką psychiczną moc ma ten Fragon. — Stojący za nimi Zoror, podeszedł do

nich. Patrzył teraz na Faree. — Jak tam, braciszku, ta bariera wciąż tkwi w twoim umyśle? — Wyciągnął rękę i delikatnie odsunął jego palce od zmarszczonego z bólu czoła, sam przykładając mu dłoń do głowy. ‘

Leciutkie muśnięcie było jak łyk wody, który koi spieczoną usta i gardło; od palców Zorora płynął chłód.

— Nigdy tu przedtem nie byłem — odpowiedział młodzieniec słowami — a mimo to wiem!

Stojący obok niego Vorlund drgnął, ale to Zoror spytał:

— Co wiesz, mały bracie?

— Znam tę krainę — albo jej część! — Faree machnął rękami, nie tylko w stronę doliny, lecz także tego, co leżało dalej. Potem obejrzał się przez ramię i zauważył, że Zoror wciąż mu się przygląda. Trudno było cokolwiek wyczytać z jego pokrytej łuskami twarzy, tak odmiennej od ludzkiej, wydawało mu się jednak, że zainteresowanie Zakatianina skupiło się w promień wąski jak ognisty język Darthora i usiłowało dotrzeć do niego z taką samą natarczywością, z jaką atakował go ten latający stwór.

Zamknął na chwilę oczy w nadziei, że ochroni się przed tą bezgłosną sondą. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że Zoror siłą próbuje wydobyć z niego odpowiedź.

— Gdzie byłeś, bracie? — Faree zbyt wnikliwie przyglądał się Zororowi, żeby zauważyć, że Maelen też już przyszła. Kobieta wskazała go palcami.

— W górze — odpowiedział tępo, pokazując urwiska z pasmami klejnotów. Zbyt wiele przeżył. Pragnął chwili spokoju, aby pozbyć się zamętu, jaki panował w jego głowie. — Tam leży bardzo wielka dolina, Pokazał na zachód.. — Zwierzęta... sędzę, że to zwierzęta. Coś, co przypominało drogę wyjeżdżoną przez ciężkie wozy... a potem... — uniósł bezradnie obie ręce — była mgła... ściana...

Usiłował opisać im tę ścianę, lecz ledwo skończył, Zoror zadał mu kolejne pytanie:

— Dlaczego nas opuściłeś, mały bracie?

— Usłyszałem... wezwanie. Musiałem na nie odpowiedzieć — odrzekł zgodnie z prawdą.

— No i...

— Wraz z pojawieniem się ściany zew ucichł.

— Ucichł, aby Darthor mógł zająć jego miejsce? Może — zasugerował Vorlund — nie odpowiedziałeś dość szybko. Impuls, który cię pobudził, nie był silny...

— Nieprawda! — przerwał mu gwałtownie Faree. Odwrócił się lekko twarzą do północy, do tego wyniosłego szczytu, teraz całkiem zasłoniętego. — Oni nie są tacy sami!

— Kim oni są? — zapytała Maelen cichym miękkiem głosem, nie próbując nawiązać z nim kontaktu myślowego, za co był jej bardzo wdzięczny.

— Istnieje... — Spojrzał na swoje ręce. Uświadomił sobie wtedy, że coś go mocno szarpie za but. Wszechlek rósł gęsto, lecz w tym miejscu zdeптano go, więc bez problemu dostrzegł Toggora. Faree nachylił się i podniósł smaksa, obejmując go mocno. W tym labiryncie bolesnych wspomnień Toggor pozostał prawdziwy, żywy i był opoką, na której mógł się oprzeć.

Tulił go, czerpiąc przyjemność z bliskości zwierzątka.

— Widzę tylko strzępki obrazów. Boli, kiedy myślę — powiedział powoli. — Sądzę jednak, że istnieją tu dwie siły nie działające razem. Fragon — i nie każcie mi powiedzieć, kto albo co tak jest nazywane — włada tym oparem i ma szpiegów w całej krainie. Darthor przesyła obrazy tego, co dzieje się na ziemi, kursując wzdłuż mgły. Wydaje mi się... — zasepił się i smaks drgnął lekko, jakby ściśnięto go zbyt mocno, aby mogła to znieść nawet jego gruba skóra. — Wydaje mi się, że coś jest za tą mgłą — ten ktoś, kto mnie wzywał. Jest w wielkim niebezpieczeństwie i potrzebuje

pomocy.

— Której ten Fragon nie pozwala udzielić? — dopytywał się Vorlund.

Młodzieniec pokiwał głową.

— Nie mogłem przejść przez mgłę, natrafiłem na ścianę. Przypuszczalnie druga bariera istnieje tutaj, gdyż Darthor nie mógł się do nas zbliżyć. Dwie... dwie siły... — Jego głos ucichł.

Faree poznał wyraz skupienia, jaki malował się na twarzy Maelen. Tak wyglądała, kiedy komunikowała się z jednym ze zwierząt lub ptaków, od zawsze będących odbiciem jej jaźni.

Zoror i Vorlund również przyglądali się Księżycowej Śpiewaczce. Cienie wydłużały się, a słońce zniżało ku zachodowi, bez trudu sięgając szczytu urwiska, na które oni nie mogli się wspiąć. Dłonie Maelen poróżwiały. Faree domyślił się, że wycięła ze wszystkich sił jeden z zmysłów obronnych, jakie zachował jej lud, kiedy zniszczył swą groźną i zawiłą przeszłość, aby stać się plemieniem wędrowców na planecie, gdzie niegdyś władał.

Mruczała pod nosem i Faree odczuł wibracje tego cichego dźwięku. Rumieniec rozlał się po jej ciele i pociemniał.

Kobieta otworzyła oczy.

— Tu rzeczywiście coś jest. Nie daje się jednak wyczuć w żaden ze sposobów, jakie zna mój lud. Ono wie o naszej obecności. Jest... — Nie dokończyła tego, co zamierzała powiedzieć, gdyż jej ręce, wyciągnięte do tej pory do przodu, skierowały się w dół ku pagórkowi, na którym stali.

Faree zapało oddech w piersi. W tej samej chwili usłyszał cichy syk Zorora. Wtem spod ich nóg...! Najwyraźniej coś ociężale wypelzało spod ziemi, wprawiając grunt w ostrzegawcze drżenie.

Gwałtownym ruchem podbił rękę Maelen. Wiedział, że budząca się i poruszająca istota nie jest przyjaźnie nastawiona do nich.

Odważył się potrząsnąć mocno Maelen, jakby mógł ją w ten sposób skłonić, aby rzuciła więzy przymusu. Potem kobieta spytała go wprost:

— Co przybywa na moje wezwanie?

Odpowiedzi dostarczyło źródło poza jego świadomością i kiedy jej udzielił, był całkowicie przekonany ojej prawdziwości.

— Szósty Obrońca Har-le-don. Ten, który zjawi się w ostatnich dniach Odległego zgromadzenia, dłużej nie związany już przysięgą z żadnym władcą, lecz żyjący w cieniu więzi... — W tym momencie krzyknął i zadarł głowę, aby spojrzeć w wieczorne niebo. Nie usłyszał jednak łopotu skrzydeł ani podnoszącej na duchu pieśni wojennej. — Nie nadchodź, ciemności, albowiem nasz dzień jeszcze nie świta! — Choć rozumiał wykrzykiwane przez siebie słowa, nie mówił w powszechnym języku handlarzy.

Zoror zareagował pierwszy. Objął łuskowatą ręką ramiona Maelen i ciągnął ją ze szczytu kopca. Vorlund sam odskoczył na bezpieczną odległość od pagórka.

— Faree! — krzyknęli jednocześnie. Młodzieniec jednak miał wrażenie, że rosnące gęsto zioła oplatały mu stopy i nie chcą go wypuścić. Wciąż wyczuwał to, co ruszało się pod ziemią. Potem poczuł coś jeszcze, jakiś cios — aczkolwiek słaby — wymierzony w jego umysł. Tym razem nie sprawił mu bólu, był raczej chłodny i niezdecydowany. Ten, kto go zadał, sprawiał wrażenie lekko rozbudzonego... nie wrócił jeszcze do...

Faree z całych sił odparł atak, przeszedł do obrony. Jego skrzydła rozpostarły się, aby unieść go w powietrze, lecz nie w stronę statku, gdzie zamierzał polecieć, a raczej pod wpływem rozkazu, któremu nie mógł się sprzeciwić. Wylądował na następnym kopcu, a po kilku chwilach odpoczynku ponownie wzbił się w niebo. Znów jakaś

nieodparta siła kazała mu przebyć otwartą przestrzeń i leciał od jednego pagórka do drugiego, aż dotarł do północnej ściany urwiska. Tam przymus ustąpił. Odkąd wylądowali, nigdy nie czuł się tak swobodny, jak wtedy, gdy stanął na ziemi.

Nie miał pojęcia, co go zmusiło do tego lotu. Zwinął ciasno skrzydła i po raz pierwszy nie mając do nich zaufania, wrócił pieszo do statku, podążając śladem pozostałych.

Nie miał ochoty oglądać się przez ramię, aby sprawdzić, czy na Wielkim Kopcu widać ślady wstrząsów, jakie targały nim od spodu.

Zastał wszystkich w kabinie pilota. Zoror trzymał czytnik, wpatrując się wielkimi oczami w ekran mniejszy od jego wąskiej dłoni.

— Lud Wzgórz. — Jego głos brzmiał sykliwie, jak zawsze, gdy Zakatianin był podniecony. — Tak brzmi ich prastare miano: Lud Wzgórz. Często też powiadano, że ich królestwa, ich kryjówki, znajdowały się wewnątrz kopców!

— To był baśniowy czar.

Wszyscy troje unieśli głowy, aby spojrzeć na Faree. Maelen i Vorlund patrzyli z wyczekiwaniem, ale Zororowi zaiskrzyły się oczy.

— Ach, baśniowy czar... — powtórzył.

— Nie zadawaj mi pytań! — krzyknął młodzieniec. Znów ścisnął obolałą głowę. — Nie wiem, skąd biorą się te słowa, ani dlaczego...

— To nie pytanie — dokończył Zoror. — Raczej część legendy o Małym Ludku. W wielu opowieściach zebranych z planet, na których osiedliła się stara terrańska rasa, można odnaleźć takie skrawki wiedzy. Jedna z tych bezustannie powtarzanych historii składa się z dwóch głównych elementów. Po pierwsze, Lud Wzgórz (trafiłeś w samo sedno, młodszy bracie, nadając im takie miano) posługiwał się inną rachubą czasu. Śmiertelny mężczyzna lub kobieta przebywający w ich towarzystwie, powiedzmy, przez noc, w rzeczywistości tracili rok ze znanego sobie życia, a pobyt pod wzgórzem przez rok oznaczał dla więźnia albo gościa z zewnątrz upływ kilku stuleci. Drugą dziwną umiejętnością, jaką posiadali, był dar rzucania baśniowego czaru. Dzięki niemu mieszkańcy świata na zewnątrz i na górze dawali się łatwo zmylić i byli przekonani, że widzą zupełnie coś innego niż to, co istniało w rzeczywistości. Ktoś z Małego Ludku mógł zapłacić za usługę złotymi monetami, lecz tak obdarowany znajdował później w kieszeni jedynie zeschnięte liście albo pęczek trawy. Ludek potrafił wznieść ogromny pałac godny wielkiego pana, lecz ten, kto tam ucztował z nimi, budził się następnego dnia w zrujnowanej i opuszczonej zagrodzie dla bydła. Powiadają również, że istota ludzka, której wzrok przebił stworzoną przez nich zasłonę iluzji, mogła oślepnąć, kiedy ta wiedza wyszła na jaw.

— Zawsze więc byli zaciekłymi wrogami innych ras? — spytał Vorlund.

Zoror podrapał się zrogowaciałymi palcami po brodzie. Obrócił się lekko, tak że patrzył teraz na północ.

— Według starych baśni Ludek był bardzo zmienny. Jednym istotom spoza swojej rasy chętnie pomagał, sprzymierzając się z nimi w obliczu zagrożenia. Inni służyli im do zabawy lub padali ofiarami ich bezmyślnego okrucieństwa...

— Innymi słowy — stwierdził Vorlund, kiedy Zakatianin umilkł — bardzo nas przypominali. Używali tylko broni, którą my nie potrafilibyśmy władać.

— To prawda — przyznał Zoror. — A co teraz zechcą z nami zrobić... musimy zaczekać, a wtedy zobaczymy.

— Zobaczymy! — Maelen nie powtarzała słów Zorora, lecz raczej podkreślała ich wagę.

Zapadał zmierzch. Słońce zniknęło za krawędzią gór, a jego obecność zdradzało tylko blednące pasmo różu na niebie. Mimo to w niecce doliny pojawiły się inne światła. Na szczycie każdego kopca zapłonęły świetliste punkciki. Różniły się między



sobą odcieniami i kolorami — jedno rozbłysło różowo, przechodząc prawie w karmazyn, a drugie w pierw błękitnie, a potem zielono; inne były żółte, szkarłatne, nawet ciemnofioletowe. Tylko największy kopiec wyglądał inaczej.

Światło, które się na nim pojawiło, nie przypominało płomyka świecy. Wyrosło raczej na kształt kręgu, a z jego obwodu strzeliły snopy — w kształcie włóczni — olśniewającej jasności. Miało kolor lodowatego srebra, jakie można ujrzeć zimą na śnieżnej zaspie, kiedy poświata księżycy w pełni ścieli się na lodowych kryształkach. Groty tych włóczni również iskrzyły się na niebiesko i zielono.

— Korona — rzekła cicho Maelen.

Faree mocno przygryzł dolną wargę i starał się opanować. Tak jak poprzednio, kiedy coś nakazało mu wzbić się w powietrze i polecieć nad nieznaną krainą, tak teraz znów opanowała go jakaś siła. Mimowolnie wyciągnął rękę — choć kopiec znajdował się poza jej zasięgiem — i poruszał palcami, próbując chwycić koronę. Potem potrząsnął głową, jakby rozpedzał wewnętrzną mgłę, i zacisnął pięść.

— Zguba Stavera... — rzekł półgłosem. — Weź ją, a świat padnie ci do stóp! — Wtem zaczął krzyżeć, a echo jego głosu poszybowało ponad fontanną roziskrzonych płomieni. — Nie zakłócam twojego spokoju, Pradawny! Nie chcę od ciebie mocy! Śpij, Havermut, twój czas nie nadszedł! — Drżał, jedną ręką tuląc Toggora, który był dla niego opoką w tym wirze zwalczających się wzajemnie sił.

Wychylił się za barierkę trapu i z jego wykrzywionych ust popłynął stek najgorszych wyzwisk, jakie można było usłyszeć na Obrzeżach. Przeklinał świetlistą koronę i nocne płomyki wokół niej, a w tych przekleństwach strach mieszał się z gniewem.

Słowa lecące w przestrzeń najwyraźniej miały jakąś moc, gdyż płomyki zamrugwały. Jednakże to, co Faree nazwał Zgubą Stavera, wciąż rozrastało się i obejmowało coraz większą część pagórka. Srebrzysta poświata spływała po zaokrąglonych zboczach kopca. Nie przypominała już korony — była raczej wirującym kołem. Światła snopów przybrały postać zlewających się kół.

Faree, zachrypnięty od krzyku, złapał za poręcz trapu. Wystarczyło tylko żeby... „Nie!” — krzyknęła w jego głowie inna część jego jaźni, zagłuszając tę pierwszą — pierścien rzeczywiście przyniosłby zgubę każdemu, kto by go dotknął. Nie była to bowiem korona z błękitnego księżycy, lecz podstęp, pułapka i przynęta na głupców! Tego był pewny.

Krąg zniżył się do poziomu gruntu, tworząc ścianę wokół kopca. Znad niego wznosił się opar mgły...

Faree wzdrygnął się. Jedną ręką wciąż ściskając Toggora, dzięki któremu był bezpiecznie zakotwiczony w tym czasie i rzeczywistości, drugą machał w powietrzu, poruszając palcami, jakby mógł zmazać to, co widział.

Z nieba nad ścianą doliny, gdzie szybko zapadała noc, trysnął snop światła o mocy promienia laserowego. Przeleciał przez wciąż płonące świece i uderzył z całym impetem w stojących na szczycie trapu. Zoror krzyknął i upadł. Z palców Maelen strzeliła tęcza iskier. Vorlund złapał ją, kiedy zatoczyła się do tyłu, i przycisnął do siebie. W tym momencie kosmiczny przybysz wydawał się najsilniejszy. Faree zamarł, jakby świetlna igła przybiła go do miejsca, w którym stał.

Nadeszła z północy i chociaż patrzył w sam środek jasności, nie mogąc odwrócić oczu, nie widział oślepiającego światła, lecz to, co znajdowało się za nim. Zobaczył balkon na murze, a na nim postacie — nie dojrzał wyraźnie ich twarzy ani sylwetek, lecz mimo to odgadł, kim byli — władcami tego świata. A dla nich wszyscy, przybywający statkami, byli śmiertelnymi wrogami.

## Rozdział 9

Rozległ się jęk. Faree przetarł oczy, które go szczypały, i odwrócił głowę. Po lewej stronie zobaczył Vorlunda opierającego się o właz statku. W ramionach kosmicznego przybysza leżała bezwładnie Maelen. Oczy miała zamknięte, lecz cicho jęczała i próbowała unieść rękę.

Zoror pierwszy dotarł do wnętrza statku mogącego stać się ich tymczasową kryjówką. Siedział na podłodze, trzymając się za głowę. Otworzył zębatą paszczę i dyszał ciężko, jakby się dusił. Kiedy Faree wyjrzał na zewnątrz, zobaczył, że światło wcale nie zgasło, tylko zatrzymało się w drzwiach, jak gdyby drogę zagrodziła mu jakaś namacalna siła. Zoror ukląkł. Mimo że wciąż oddychał z trudem, jego stan najwyraźniej nie przeszkadzał mu w poszukiwaniu wiedzy, co stanowiło odwieczne zajęcie jego gatunku.

Wyjął zza paska nóż w kształcie pazura, będący zarówno honorową odznaką jego ludu, jak i najczęściej jedyną jego bronią. Chwycił koniec sztyletu dwoma palcami i rzucił go na zewnątrz. Broń zsunęła się z hałasem po trapie i spadła na ziemię.

To, co nastąpiło później, można było porównać do znalezienia się w pobliżu rufy startującego statku. Buchnęło oślepiające światło, od którego Faree znów stracił wzrok. Potem... Coś, co wyczuł wcześniej... jakiś przymus, sroga wola... wszystko znikło. Jedną ręką otarł oczy; wciąż łzawiły. Natomiast włócznia światła z północy zgasła. Ognista broń przypuszczalnie odmówiła posłuszeństwa; był przekonany, że nie wyłączono jej dobrowolnie. Pozostały jeszcze, niczym szept w jego głowie — niepokój — strach — zdumienie. Później także to znikło i nie było już niczego, oprócz mroku i ciszy.

Płomyki na kopcach zgasły tak szybko jak świetlna broń. Na zewnątrz panowała nieprzenikniona ciemność. Nasilający się wiatr chłostał lodowatym biczem Faree, który z trudem przeszedł kilka kroków w przód, żeby popatrzeć na dolinę. Z początku przeraził się, że ostatni błysk płomieni oślepił go. Później, kiedy rozpaczliwie pokręcił głową na boki, stwierdził, że każdy z kopców wciąż wysyła w chłód nocnego nieba cienkie smużki bladej poświaty. Wyglądały jak oddech niewidzialnych potworów, który stał się widoczny za sprawą lodowatego powietrza.

Nie widział korony ani płomieni świec. Oparł się o framugę drzwi i spojrzał dalek, na północ, skąd nadleciała włócznia. Mocno przygryzł dolną wargę — tu... i tam... i tam!

Paliły się tam słabe światełka. Nie tak jasne jak świece na kopcach, prawdę mówiąc dość wątle, aby uchodzić za duchy płomyków. Kiedy jego oczy przyzwyczyły się do ciemności, mógł je policzyć — było ich dziewięć. Były zbyt blade, aby je uznać za ogniska i z każdego z nich wypływała wstążka szarej nienaturalnej mgły. Smużki sunęły na południe i rozpościerały się nad doliną, łopocząc niczym proporce. Pierwsza z nich opadła jakby chciała wyciągnąć ich z kryjówki, lecz dotarła jedynie do podnóża trapu. Tam stanęła, kłębiąc się i snując w tę i z powrotem. Przyłączały się do niej inne pasma oparu, zasilając ją i czyniąc bardziej widoczną.

Mgła usilnie starała się przedrzeć do nich, ale coś zagradzało jej drogę. Za plecami Faree ktoś krzyknął. Trzasnął ogłuszacz wymierzony w wijący się język mgły. Opar nie zniknął, wręcz przeciwnie, najwyraźniej czerpał siły ze skierowanej przeciwko niemu energii. Język mgły rozszerzył się, a jego ruchy stały się bardziej energiczne. Wydawał się teraz groźniejszy, chociaż wciąż sięgał jedynie do podnóża trapu.

— Nie! — Faree usłyszał głos Zorora. — Zimne żelazo — twój nóż w cholewce

buta — niech mgła poczuje żelazo!

Polecenie mogło być przeznaczone dla Vorlunda, lecz Faree zareagował pierwszy. Wsunął dłoń do buta i chwycił rękojeść noża. Vorlund nauczył go, jak nim władać, chociaż dotychczas używał broni jedynie podczas ćwiczeń. Rękojeść była ciepła, a kiedy ją uniósł, stała się naprawdę gorąca. Faree rzucił nóż, mierząc w język mgły, jak wcześniej zrobił to Zakatianin. Zobaczył czarny punkcik lecącego noża, a później gwałtowną reakcję mgły. Opar rozdarł się na strzępy, które łopotały szaleńczo w powietrzu. Chwilę później Faree zdał sobie sprawę, że Vorlund poszedł w jego ślady i również rzucił nożem kosmicznych wędrowców.

Mgła zadrżała, zmieniła się w zlepek poszarpanych rozplywających się pasemek. Cofnęła się do kopca, który uprzednio wieńczyła korona, lecz nie popłynęła dalej. Zmieniła natomiast kierunek i mierzyła teraz w ziemię, a nie w statek. Znow odzyskiwała kształt i siłę.

— Zimne żelazo! Więc to prawda! — Dłoń Zorora spoczęła na prawym ramieniu Faree. Wprawdzie Zakatianin uległ mocy pierwszego promienia, lecz teraz jego głos odzyskał pełną siłę i głębię. Wszystko wskazywało, że jaszczur wrócił do siebie. Stał obok Faree i wyjrzał za drzwi, mrużąc oczy i starając się dostrzec coś w ciemnościach.

— Zimne żelazo? — zainteresował się Vorlund. — Co chcesz przez to powiedzieć?

— Powiedzieć? — W głosie Zorora słychać było entuzjazm osoby, która przypadkiem natknęła się na od dawna poszukiwany skarb. — Tylko to, że znow znaleźliśmy w legendzie ukryte głęboko ziarno prawdy, bracie. Wieść niesie, że jedyny oręż, wobec którego Mały Ludek jest bezbronny, to żelazo — ono uczyniło człowieka panem światów, na których oni kolejno sprzeciwiali się jego władzy.

Rozległ się cichy jęk, bardziej podobny do westchnienia. Faree szybko odwrócił się. Vorlund klęczał, podtrzymując Maelen. Jej twarz w świetle statku wydawała się biała i mizerna. Kobieta wyglądała tak, jakby od dawna leżała złożona jakąś chorobą. Potem otworzyła oczy i podniosła wzrok na Zakatianina.

— Oni mają moc, jakiej nie może wezwać nawet Śpiewaczka...

Zoror pokiwał głową.

— Zawsze powiadano, że niełatwo ich pokonać. Czegoś jednak nie wiemy — dlaczego mieliby atakować bez ostrzeżenia, skoro nie mamy wobec nich złych zamiarów?

— Z mojego powodu! — powiedział z goryczą Faree. — Ja również nie posiadam wystarczającej wiedzy, aby odkryć powód ich napaści. — Ból głowy znow się nasilił. Było coś... coś, co trzeba było zrobić... ta potrzeba nie dawała mu spokoju. Nie wiedział jednak, na czym to polegało ani dlaczego musi tego dokonać.

— Jesteśmy tu bezpieczni. — Zoror popatrzył na towarzyszy, na chwilę zatrzymując spojrzenie na każdym z nich, jakby oceniał ich siłę i umiejętności. — Odpocznijmy tej nocy w bezpiecznym królestwie żelaza i zobaczymy, co przyniesie nam rano.

Faree, znow na pół oślepiiony bólem głowy, posłusznie wyszedł na korytarz za drzwiami. W jakiś sposób dotarł do swojej kabiny i padł na hamak, wiedząc tylko, że jego ciało wypoczywa i być może jego umysł zrobi to samo. Poruszył niespokojnie ręką. Poczł coś lepkiego w dłoni. Nie wiedząc, co robi, ani też nie dbając o to, uniósł rękę i oblizał ją, zbierając językiem resztki zgniecionych liści i jagód wszechleku. Przeżuł i połknął tę masę. Ból, który ścisnął jego głowę niczym ciasna opaska, zelżał. Faree osunął się w ciemność, jakby potknął się na trapie i ześlizgnął na dół.

Ujrzał wielką salę, okna w jej ścianach migotały światłem — zimnym światłem, mimo iż niektóre kolory były jaskrawoczerwone i jaskrawożółte. Srebrną posadzkę

być może ułożono z prawdziwych cegiełek tego metalu. Faree nie tyle stapał po niej, co leciał nad nią, a mimo to nie czuł, aby miał rozpostarte skrzydła.

Pomiędzy roziskrzonymi szybami znajdowały się płyty z takiego samego srebra jak pod jego stopami. Widniały na nich płaskorzeźby. Część przedstawiała stworzenia tak dziwaczne, jak ten ziejący ogniem wąż, który ścigał go do doliny. Inne miały ludzkie kształty, lecz różniły się od siebie.

Były tam istoty podobne do niego, skrzydlate i najwyraźniej podróżujące w przestworzach, jak i stwory groteskowe, czasami potworne, lecz najczęściej tylko dziwaczne i nie budzące takiej grozy, jak kilka innych.

W sali pozbawionej pochodni lamp światło zdawało się bić z posadzki. Wtedy Faree zauważył opar kłębiącą się i snującą, gęstą jak mleko mgły, za każdym razem coraz bardziej zbliżającą się do środka komnaty. Skądś dobiegł pojedynczy wibrujący dźwięk. Dwa pokryte wizerunkami bloki wsunęły się w sąsiednią ścianę i weszły dwie osoby. Spowite były skrzydłami podobnymi do kolorowych peleryn, tak jak Faree, kiedy chodził po ziemi.

Wyższa z tych istot miała skrzydła ciemnokarmazynowe w srebrne smugi błyszczące jak posadzka, wyrastały z jej ramion, zasłaniały prawie całe ciało. Mężczyzna ten (rysy tej spokojnej i nieomal beznamietnej twarzy były ostre i męskie, a policzek przecinała blizna) nosił głowę wysoko i wydawało się, że w jego wielkich oczach skrzyły się ogniki.

Jego towarzyszka w równie oczywisty sposób była kobietą. Skrzydła, którymi się otulała, miały delikatny, bladokremowy kolor kwiatów wszechleku, lecz i je pokrywały srebrzyste cętki, które migotały niczym klejnoty przy każdym jej ruchu. Długie włosy splecione w warkocz okalały jej głowę, a w ich bladożółte pasma wpleciono sznury klejnotów. Po wejściu do komnaty kobieta rozpostarła ciasno zwinięte skrzydła, aby pokazać, że nosi krótką, obcisłą, srebrzystą suknię, ściągniętą w talii szerokim pasem ze złota i brązowych drogich kamieni. Na pierwszy rzut oka mogła wydawać się zaledwie dziewczynką u progu dojrzałości, lecz kiedy spojrzano się na nią z bliska, zwłaszcza na jej oczy, można było dostrzec w nich oznaki wieku i mądrości.

Mężczyzna wyszedł na środek sali, również rozkładając skrzydła. Całe jego ciało, nawet ręce i nogi, okrywała lśniąca czerwona siateczka, a wąską talię opasywał szeroki pas ze srebrnych łusek, na którym wisiał jakiś oręż. Faree poznał go z obrazków w kolekcji Zorora: taką broń nazywano mieczem. Mężczyzna bawił się klamrą pasa i patrzył pośepnym wzrokiem. Jego zmarszczone brwi prawie spotykały się pośrodku czoła. Wbijał oczy w posadzkę, jakby na jej powierzchni mógł znaleźć odpowiedź na dręczący go problem.

Jego towarzyszka nie weszła tak daleko do pokoju. Uniosła głowę, jak ktoś, kto rozgląda się po niebie, i widać było, że jej uwagę absorbuje coś w górze. Zanim ktokolwiek zrobił następny krok albo przemówił, jeśli mówili na głos, rozległ się drugi sygnał, tym razem podwójny i dochodzący jakby spod ziemi. Odsunęły się dwie następne płyty, lecz ci, którzy weszli, bardzo się różnili od pierwszych przybyszów.

Były to niskie, pozbawione skrzydeł istoty. Garbiły się lekko, jakby przywykły do chodzenia w miejscach, gdzie sklepienie znajdowało się bliżej podłoża.

Ręce i nogi do kolan miały obnażone. Ich szorstka, brązowa, pomarszczona skóra upstrzona była ciemnymi plamkami, a ubrania charakteryzowały się prawie takim samym kolorem, co ich ciała. Gęszcz kędzierzawych, żółtosiwych włosów pokrywał twarze obydwu od policzków w dół. Takie same czupryny najwyraźniej rosły też na ich głowach, gdyż spod przybrudzonych rdzawoczerwonych czapek sterczały bure kosmyki. Twarze o wielkich, zakrzywionych nosach i głęboko osadzonych oczach były prawie całkiem zasłonięte. Postacie zbliżyły się do siebie i zrobiły kilka kroków

naprzód. Biła jednak od nich atmosfera podejrzliwości, jakby nie czuły się swobodnie w tym miejscu albo w takim towarzystwie.

Skrzydlaty mężczyzna obejrzał się i kiwnął głową, na co obie sękaty istoty odpowiedziały mu takim samym kiwnięciem. Kobieta jednak wciąż spoglądała w górę, odwracając teraz głowę, aby objąć wzrokiem całą komnatę. Nie zwracała uwagi na przybyszów.

Trzeci dźwięk rozległ się tuż po tych, które sprowadziły brodaczy. Otworzyły się ostatnie drzwi i weszła zamaskowana postać, z powodu okrywających ją luźnych szat nie mogąca być jednoznacznie nazwana ani mężczyzną, ani kobietą. Maską, zasłaniającą całą głowę, po obu stronach szyi przymocowana była do ramion matowymi brązowymi broszami. Miała kształt łba jakiegoś zwierza, nie zapomniano nawet o ostrych igłach szczeciny na wielkich, spiczastych uszach i tyle głowy, jak również obwisłych policzkach, które pomagały tworzyć twarz (jeśli zasługiwała na takie miano). Po obu stronach ryja — znajdującego się nad nieodmknętą paszczą — ziały czarne jamy małych oczek. W szczękach osadzono pełen komplet zielonkawożółtych zębów, a po obu stronach pyska sterczały na zewnątrz zakrzywione kły.

Szata, którą nosił przybysz, również odgrywała maskującą rolę i układała się w liczne fałdy. Była czerwona, a na jej powierzchni widniały czarne kreski zdające poruszać się przy każdym kroku. Czasami tworzyły wzory, lecz już przy następnym ruchu nie zostawało po nich śladu.

Kiedy zamaskowany osobnik ruszył ociężałe, jakby pod szatą kryło się potężne cielsko, dwaj mężczyźni w czapkach cofnęli się pośpiesznie i odsunęli na bok, tak że skrzydlaty człowiek znalazł się między nimi a Zwierzęcą Maską. Kobieta nie zwracała uwagi na przybysza, który dołączył do ich grona. Nadal z podniesioną głową szukała czegoś wzrokiem. Zwierzęca Maską pierwszy przerwał ciszę. Miał gardłowy głos, jakby mowa była wyzwaniem dla jego warg i języka. Jego słowa zlewały się w monotony bełkot.

— Po co to wezwanie?

Odpowiedział mężczyzna, chociaż z jakiegoś powodu Faree poczuł się zaskoczony, że użył słyszalnej mowy:

— Przybyli w większej sile. Mają też kolejną przynętę — osobę, którą nakłonili do tego, aby im służyła...

— Gdzie? — spytał Zwierzęca Maską.

— Postawili swoją łowiecką klatkę w Dolinie Vore — odparła kobieta, ani na chwilę nie odrywając oczu od tego, czego szukała.

Jeden z małych ludzi roześmiał się. Dźwięk przypominał zgrzyt zardzewiałego rygla w dawno nieużywanym zamku.

— A ci, którzy śpią, zaczęli się budzić!

Przez chwilę panowała cisza. Faree odniósł wrażenie, że spośród wszystkich obecnych największe zdziwienie okazał Zwierzęca Maską.

— Nie może być odpowiedzi. — Ten głos zabrzmiał jeszcze chrapliwiej. — Umarli dawno temu oddali swą materię ziemi. To, co było ich istotą, uleciało wraz z ciosami, które pozbawiły ich życia...

Karzeł znów się roześmiał.

— To dobra nauka. Dzięki temu możemy spać spokojnie i nie myśleć o dawno wyrządzonych krzywdach i zadośćuczynieniu za nie. Ziemia kryje wiele, lecz jej wrota są dla nas otwarte! — Uniósł głowę najwyżej jak mógł nad garbate ramiona. — Możecie poskromić umarłych różdżką, a nawet żelazem... — Faree zauważył, że na dźwięk tego słowa skrzydlaty mężczyzna zadrżał — lecz nadejdzie taki dzień, kiedy okowy pękną, gdyż nawet żelazo przeżera rdza. Nie myślcie sobie, że pozbyliście się

Łowców i Tarczowników, tylko dlatego, że pochowano ich z waszymi najlepszymi czarami. One też mogą się z czasem rozproszyć...

Przerwała mu kobieta. Spuściła głowę i Faree odniósł wrażenie, że patrzy prosto na niego: otworzyła szeroko oczy ze zdumienia i wyciągnęła do niego rękę. Domyślił się, że jej skrzyżowane palce układały się w znak ostrzegawczy.

— Tu ktoś jest! — Jej słowa zabrzmiały ostro niczym dźgnięcie nożem.

Pozostali spojrzeli teraz w jego kierunku. Mężczyzna wyciągnął miecz. Klinga wyglądała tak, jakby zrobiono ją z usztywnionego i lekko zakrzywionego płomienia. Gdyby Faree mógł uciec, zrobiłby to w tym momencie. Niemniej jednak siła, która go tu sprowadziła, nie wypuściła go ze swojej mocy.

— Kto? — Mężczyzna zapytał kobietę. Zwierzęca Maska stanął obok. Wydawało się, że nozdrza maski rozděły się, jakby nosząca ją osoba naprawdę mogła wywęszyć obcą woń.

— Atra... — Gruby głos spod maski wymówił to słowo z takim obrzydzeniem, jakby było jakimś wstrętnym przekleństwem.

Kobieta zaprzeczyła stanowczym ruchem głowy.

— Nie, to nie ona. Mogli uczynić z niej swoje narzędzie, lecz wtedy przyniosłaby ze sobą ich smród. On nie przyszedł w materialnym ciele...

Zwierzęca Maska wyciągnął spod fałdzistej szaty rękę, która w porównaniu z resztą ciała wydawała się długa i chuda. Uniósł ją i zwrócił wewnętrzną stroną dłoni ku górze. Faree zauważył błysk krążka zdającego się tkwić we wgłębieniu otoczki z ciała i kości.

Barwny, a raczej wielobarwny palec, gdyż mienił się kolorami tęczy, zaczął się wić w powietrzu i zmierzać w kierunku Faree. Kobieta rzekła jedno słowo i ręka zadrżała, a Zwierzęca Maska krzyknął, jakby z bólu. Mężczyzna jednym krokiem znalazł się u boku kobiety. Rozłożył skrzydła tak gwałtownie, że końcem jednego z nich omal nie przewrócił Zwierzęcej Maski.

— Głupiec!

— To ty jesteś głupcem, i to potrójnym! — odwarknęła zamaskowana istota. — Skąd mamy wiedzieć, jaką broń stworzyli Łowcy przez te stulecia? Czyż nie mogli wysłać fałszywego obrazu, aby ukryć nadejście szpiega? A co my zrobiliśmy? Ukryliśmy się za naszymi ścianami chmur, uciekliśmy od świata, odcinając się od niego. Powiadam wam, w ten sposób nigdy nie pozbedziemy się tego robactwa idącego naszym śladem w kosmosie od ponad pięciu żywotów Gwiazdy!

Ruch zamaskowanej głowy, która uniosła się ku górze, przyciągnął uwagę Faree, chociaż młodzieniec miał wrażenie, że nie może się ruszyć z miejsca, stoi jak zwierzę przeznaczone na rzeź. Sufit wielkiej sali również był srebrny, jednak stanowił oprawę dla czegoś innego. Na pojedynczym łańcuchu zwisał z niego olbrzymi kryształ. Jego miniaturowe wersje stanowiły amulety, jakie Faree widział u osób wierzących w moc szczęścia. Ten rozdzielał się na trzy części — dwa kryształy po bokach wyrastały z środkowej bryły jak konary z pnia wielkiego drzewa.

Powierzchnia kryształu mieniła się tęczami światła podobnymi do tkwiących w palcach Maelen. Ostre zakończenia trzech rozgałęzień rzucały błyski światła. Faree poczuł nagle, że ogarnia go potężna fala jakiegoś uczucia. To, co czuł na pagórkach w dolinie — to wrażenie, że jest częścią czegoś, czego nie rozumie, że nieświadomie może uwolnić coś, nad czym nikt nie potrafi zapanować, wróciło ze stukrotną siłą.

— Atra! — Z całą pewnością tego nie powiedział. Jakaś myśl skłoniła go do próby błagalnego wzniesienia rąk do potrójnego kryształu.

— Tutaj! — kobieta krzyknęła cicho. — Tu jest ktoś z naszego rodu! — Ruszyła biegiem, zanim Faree zdążył się odsunąć, i machnęła ręką, jakby próbowała go pochwycić. Zobaczył jej palce tuż przed swymi oczami, ale nic nie poczuł. Wszystko

wydawało mu się tak prawdziwe, że przez chwilę nie mógł uwierzyć, iż go tam nie ma.

— Nie Atra... — Mężczyzna znów podszedł do niej. Odwrócił miecz i dźgał powietrze jego rękojeścią, przechodząc przez miejsce, w którym znajdował się Faree.

— Nie. — Kobieta opuściła rękę. — Jeśli to nie jest Atra, kto zatem nas szpieguje? Ci zabójcy żywcem nie pojмали nikogo innego.

— I żaden z nich nie ma takiej wewnętrznej mocy, żeby tu wejść! — dodała kobieta. — Kto inny... — Wyraz zaskoczenia i ciekawości na jej twarzy zastąpiła gładka maska, w której tylko oczy wydawały się żywe. Były żółte, jak te, które Faree widział, patrząc w lustro. — A może ktoś zrobił coś jeszcze głupszego — spróbował sprowadzić Atrę? Ktoś z Icarinów mógł złamać przysięgę. Drugi raz pojmana...

— Zatem was, skrzydlatych, przysięgi nie obowiązują — warknął jeden z małych ludzi. — Jesteście krzywoprzysięzcami?

— Właśnie — powtórzył jego kompan. — Czyż Atra nie jest Szlachetnej Krwi? Wy zawsze trzymacie się razem, skrzydlaki! Czyż nie zastawiono pułapki z nią jako przynętą, natychmiast po tym, jak wpadła w ich ręce? Ci chciwi „ludzie” nie są głupi. Gdyby znów złapali kogoś podobnego do Atry i kazali jemu albo jej obserwować... Czyż Sorwin nie powiedział, że mogą użyć przeciwko nam nowej broni? Ty! — Odwrócił głowę w stronę Faree albo miejsca, w którym młodzieniec znajdowałby się, gdyby dostał się do tej bardzo strzeżonej twierdzy. — Na skałę i trzask, i gromu blask, na miecz i trzos, i sam tylko głos...

— Na serce i oko — zaintonował jego towarzysz — ziemię i niebo wysoko.

— Ukaż się! — Gniewne warknięcie Zwierzęcej Maski zakończyło zaklęcie.

Faree poczuł się tak, jakby był jednym z płomieni na szczytach wzgórz w dolinie. Coś go ciągnęło, raz w jedną, raz w drugą stronę. Miał wrażenie, że tkwi w uścisku olbrzymich rąk, które nim potrzęsają...

Potrzęsają. Nie było już sali ze srebra i kryształu — nie było skrzydlatych istot, karłowatych czarodziejów ani potwora o głowie bestii. Zrobiło się tak ciemno, jakby zarzucono na niego pelerynę. Potem otworzył oczy.

Leżał w swoim hamaku na statku i mrugał, patrząc w oczy Maelen nachylającej się nad nim z troską. Za nią stał Vorlund. Wysoki Zakatianin został na progu kabiny. Coś poruszyło się pod dłonią Faree i młodzieniec poczuł znajomy kształt kolczastego ciała Toggora. Miał sen — bez wątpienia to wszystko mu się przyśniło! Mimo to doskonale pamiętał wszystko, co zobaczył i usłyszał.

— Byłeś gdzieś indziej — powiedziała Maelen i nie było to pytanie, lecz stwierdzenie.

Faree oblizwał spierzchnięte wargi. Częściowo wciąż był wyrzutkiem z Obrzeży, któremu dano nowe życie i nadzieję, lecz jednocześnie budziła się do życia jakaś inna część jego jaźni, świadomość zrodzona w znajomym bólu wewnątrz czaszki.

— Pod kryształem... — Ten fragment wspomnień nagle wydał mu się najważniejszy. — Oni... oni boją się nas. Nie, nie nas — poprawił się. — Ludzi. — Po raz pierwszy zaświtała mu pewna myśl i jednocześnie poczuł podniecenie. — Czcigodny — zwrócił się wprost do Zakatianina — czy my jesteście ludźmi?

Zoror zamrugął.

— Każdy z nas jakoś nazywa istoty swojego pokroju, aby odróżnić je od innych. „Mężczyźni”, „kobiety”... w oczach istoty mojego gatunku ja jestem mężczyzną. Dla innego Thassy — wskazał teraz na Maelen — ona jest kobietą. Dla Thassy i być może Terranina, gdyż Krip niegdyś był Terraninem, który przez przypadek i z wyroku losu przybrał postać Thassy, nasz przyjaciel jest mężczyzną dla obu tych gatunków. Tak, my sami uważamy siebie za mężczyzn, kobiety — ludzi. Kim możemy być dla innych... — Podrapał się pazurem po szczęce. — Dla obcych możemy być kimś

całkiem innym. Jednym z używanych słów jest „nieziemiec”. Łączy nas inteligencja i być może jeszcze jakaś cecha umysłu lub ciała, lecz dla nich nie jesteśmy ludźmi w takim sensie tego słowa, jakiego używają między sobą.

Faree wiedział, że Zoror ma rację. Oto Zakatianin, dwoje Thassów i on, nie wiedzący, kim jest. Dążyli do wspólnego celu, ale nie należeli do tego samego gatunku — nie byli „ludźmi” według miary, jakiej używali ci, którzy pierwsi wyruszyli w kosmos.

— Myślę, że oni boją się kogoś takiego, jak mieszkańcy Obrzeży — powiedział powoli. — Może jednak uda nam się dojść z nimi do porozumienia...

— Z kim? — zaciekała się Maelen. — Mały bracie, gdzie podróżowałeś tej nocy?



## Rozdział 10

Dokładając wszelkich starań, aby słowami oddać to, co ujrzał, Faree streścił cały swój sen. W rzeczywistości nie był to sen, lecz nie wiedział, jak go inaczej nazwać.

— Aha. — Zoror pierwszy przerwał milczenie, kiedy młodzieniec skończył. — Mamy więc do czynienia z kilkoma różnymi rasami. Skrzydlate istoty, mali ludzie bez skrzydeł i ten, który nosi łeb zwierzęcia. Opowiedz mi jeszcze raz, mały bracie, jak wyglądała jego maska.

Faree powtórnie opisał tę postać. Maelen i Vorlund przyglądali mu się tak wnikliwie, jakby mieli nadzieję, że zdołają wniknąć do jego pamięci i zobaczyć tę scenę na własne oczy. Zoror jednak kiwał głową, jakby niespodziewanie wpadł mu w ręce jakiś strzępek wiedzy.

— Świnia... — stwierdził, kiedy Faree skończył. — Kolejna legenda ożyła na naszych oczach. Lud, którego szukamy, znał wspomniane przez ciebie zwierzę. Hodowanie go uważał za przejaw materialnego bogactwa. Może ten zamaskowany był... — Potem zmarszczył brwi. — Zargo twierdził jednak w swoich badaniach nad bliźniaczymi światami, że to sprawa związana z religią kobiet, a kapłanka odgrywa rolę pasterki, aczkolwiek opierał się na nielicznych i bardzo niepewnych źródłach.

Faree znów przyszła na myśl zamaskowana postać. Czyżby to była kobieta — a w każdym razie istota rodzaju żeńskiego? Głos miała szorstki i niski. Mimo to nie ulegało również wątpliwości, że nie należała do tej samej rasy, co on i jego krewniacy — ona, on albo ono nie miało skrzydeł.

— Możemy przyjąć, że gdzieś w pobliżu wylądował jeszcze jeden statek — rzekł surowym tonem Vorlund, kiedy Zoror umilkł. — Jak również to, że jego załoga albo właściciel pojмали kobietę ze skrzydlatego ludu i używają jej jako przynęty.

— A jej pobratymcy — wtrącił Faree — nie starają się przyjść jej z pomocą... — Teraz on zamilkł. Potem z jego ust popłynął potok słów. — To ona... z pewnością to ona wołała! — Gdy to powiedział, znów odczuł lekki wpływ tej nieodpartej siły, która kazała mu opuścić miejsce lądowania i lecieć nad górami, dopóki nie zatrzymał go opar mgły.

Mgła! Czy to ona była barierą służąca skrzydlatym ludziom do zatrzymywania pobratymców próbujących odpowiedzieć na wezwanie więźnia? Faree taka możliwość natychmiast wydała się prawdopodobna.

Maelen odebrała jego myśl. Podeszła do przeciwległego końca hamaka, gdzie jeszcze tak niedawno spoczywała głowa Faree. Z tkaniny biło słabe zielone światło. Kobieta ścisnęła ją mocno w rękę, znów wpatrując się uważnie w młodzieńca, jakby chciała go zmusić do działania. Niemniej jednak to Vorlund zadał pytanie.

— Nie pamiętasz niczego więcej o tych skrzydlatych ludziach? O tym, jak dostałeś się stąd na Obrzeża?

— Jeśli on pochodzi stąd... — poprawił go Zoror. — Może istnieje więcej planet, gdzie żyją podobne istoty. Jeśli prawdą jest, że potrzebują świata podobnego do tego, jaki odpowiadał osadnikom ze starej Terry... Cóż, nie ma zbyt wielu planet o takich cechach i nie wszystkie są zaludnione, a jeśli już, to bardzo słabo. Z naszych zapisów wynika, że Ludek zamieszkiwał w wielu miejscach razem z tymi, których dobrze znamy. Zawsze jednak nadchodził taki czas, kiedy Lud Pagórków zmuszony był odejść, znów uciec i poszukać sobie własnego miejsca, gdyż nigdy nie żył długo w pokoju z ludzką rasą. Takim również może być inna planeta...

Faree potarł dłonią czoło. Znów poczuł pulsujący, tępy ból z tyłu głowy.

— Domysły. — Vorlund wzruszył ramionami. — Jedyne, co mamy, to fakt, iż

Faree odnalazł istoty podobne do siebie. Gdyby tylko udało nam się przełamać tę psychiczną blokadę, tak uciążliwą dla ciebie, mały bracie!

Maelen nachyliła się lekko i koniuszkami palców dotknęła czoła Faree dokładnie między jego wielkimi oczami. Kontakt ten sprawił, że młodzieniec poczuł się tak, jak gdyby łykiem wody ugasił od dawna dręczące go pragnienie. Zobaczył, że miała zamknięte oczy, i odebrał jej myśl.

— Rozluźnij się... rozpleć myśli, mały bracie. Nie próbuj stawiać oporu...

Usilnie starał się wykonać jej polecenie; fakt, że sam chciał znaleźć odpowiedź, dodawał mu zapału.

Chwilę później odwrócił się i zatoczył do tyłu, omal nie padając na hamak, z którego przed chwilą wstał. Zobaczył wokół siebie barwne smugi i kolory te sprawiały mu ból nie do opanowania. Trzymał się mocno brzegów hamaka, odnosząc wrażenie, że potop kolorów chce go porwać. Potem fala znikła i znów pograżył się w ciemności, słaby i rozdygotany.

— Nie potrafię pojąć tej blokady. — Usłyszał głos Maelen, lecz wydawało mu się, że dochodzi z bardzo daleka.

— Pani, to blokada śmierci! — Powiedział stanowczo Zoror. — Nie wolno ci więcej próbować. Nie znamy tej bariery, nie ma o niej wzmianki nawet w naszych kronikach...

— Może jednak zna ją Gildia — wtrącił szorstko Vorlund. — Czyż nie wiadomo powszechnie, że posiada tajemnice, z którymi nie może się równać większość tego, co my mamy? Może Faree uciekł z niewoli Gildii, a ona odnalazła go dopiero wtedy, gdy walczyliśmy na Yktor, kiedy on uzyskał zdolność latania?

— Być może... — mówił Zoror. Faree otworzył oczy, chociaż policzki miał mokre od łez. Miał wrażenie, że ból za oczami za chwilę go oślepi.

— Braciszku... — Maelen dotknęła jego policzka, a potem przygładziła zmierzwiłone, wilgotne od potu włosy. — Więcej już nie będę, obiecuję.

Wciąż rozdygotany i słaby poszedł z pozostałymi na mostek statku. Dzięki ekranom widokowym mogli oglądać świat dookoła, jedząc suchy prowiant i obserwując obroty zewnętrznych lusterek. Sam statek był zabezpieczony przed intruzami, mimo to dla zwiększenia bezpieczeństwa Maelen wysłała na czaty Bojora i Yazz, różniących się umysłami od tych, którzy chcieliby ich szpiegować.

Z pagórków otaczających duży kopiec znikły płomyki, lecz za każdym razem, gdy zwierciadło przekazywało jego obraz, widać było, że wciąż otacza go pulsująca obwódka — już nie w kształcie cudownej korony, lecz bladego pierścienia.

Na chwilę znów spuszczone trap, aby Bojor mógł poczłapać na dół. Dzięki gęstym kłakom — porósł nimi na zimną porę roku na Yktor — sprawiał wrażenie zwierzęcia dwukrotnie większego niż był w rzeczywistości. Bartle nigdy nie uchodziły uwadze odwiedzających ich ojczyście góry. Wprawdzie Bojor został złapany jako roczne szczenię, zachował jednak wrodzoną siłę i przebiegłość, a rozjuszony stawał się groźnym wojownikiem. Jak wszystkie zwierzęta, które Maelen nazywała swoimi maleństwami (co w przypadku Bojora było nieporozumieniem, gdyż przedstawiciele jego gatunku służyli z rozprawiania się z niedoszłymi traperami, a on sam, kiedy stawał na krępych tylnych łapach w pełnej pozycji bojowej, przewyższał wzrostem Vorlunda), potężna bestia potrafiła w zdumiewającym stopniu komunikować się myślami z Księżycową Śpiewaczką i z radością przyłączyła się do działań załogi statku.

Próbowali śledzić Bojora za pomocą sprzętu wizyjnego statku, ale rozplynął się w ciemności. Otrzymał jednak polecenie, aby trzymać się z daleka od pagórków, skierować się prosto w stronę urwiska i powęszyć u jego podnóża. Niespodziewanie, kiedy załoga starała się go odszukać wzrokiem, spod ziemi wyskoczyło kilkanaście

świecących punkcików. One również zachowywały się, jak gdyby otrzymały rozkaz, i skupiły się wokół Bojora, tworząc świetlisty zarys jego ciała. Zwierzę przysiadło na zadzie i machało wielką łapą stworzoną do zadawania miażdżących ciosów. Mimo to nie mogło odpędzić prześladowców. Światelka migwały tak szybko, że żadnego nie mógł trafić. Wreszcie Bojor opadł na cztery łapy i poszedł dalej. Świetliste punkciki nadal zdradzały jego obecność, tak że z łatwością mogli go teraz obserwować nie tylko przebywający na pokładzie statku, ale i ci, którzy przywołali te światelka, aby nadzorować kosmiczny pojazd i jego załogę.

Maelen dwukrotnie komunikowała się z Bojorem. Zameldowała jednak, że bartel nie został zaatakowany, a iskierki dziwnego ognia tylko go otaczają. Yazz, która weszła do kabiny, aby obserwować misję swojego kosmatego kompana, warczała głucho, zaabsorbowana tym, co widziała na ekranie. Raptem uniosła przednią łapę, jakby chciała podrapać powierzchnię płyty wizyjnej i w ten sposób uwolnić Bojora od dziwnej eskorty. Nawet Faree, choć w porównaniu z Maelen miał z Yazz ograniczony kontakt, wyczuł jej niepokój, jakieś złe przeczucie. Wprawdzie chmura światłek dotychczas nie zachowywała się w sposób naprawdę nieprzyjazny, widać było, że Yazz im nie ufa.

Choć bartel wydawał się iść lekko przyspieszonym spacerkiem, zdążył już przebyć prawie jedną czwartą długości ściany. Zostawił daleko za sobą kobierzec wszechleku i wszedł na jałową ziemię z pajęczyną haggera.

Yazz ponownie zaskomliła. Faree upuścił twardy jak wyprawiona skóra kawałek suszonego owocu, który właśnie żuł. — Wracaj! — krzyknął. W blasku poruszających się światłek widać było tylko część zwierzęcia; pas nad ziemią okrywał mrok. Faree poczuł całym ciałem drzenie tak wyraźne, jak gdyby stał obok bartla. Nie był to ruch tej istoty, która przedtem dygotała wewnątrz wzgórza, lecz czegoś, co istniało tu i teraz. Przypominało paskudny smród docierający zamiast do nosa bezpośrednio do jego umysłu.

Yazz zadarła łeb. Z bojowym rykiem odwróciła się szybko i zaczęła drapać w drzwi kabiny, jednocześnie oglądając się na Maelen i całym zachowaniem dając do zrozumienia, że należy ją wypuścić, aby mogła pójść do Bojora. Podczas dni spędzonych razem, tych dwoje, tak odmiennych pod względem gatunku i wczesnych doświadczeń, zbliżyło się do siebie myślami na tyle, aby utworzyć drużynę — zespół, do którego dołączył także Faree.

Młodzieniec ominął Vorlunda i zaczął manipulować przy zatrasku klapy, a Yazz niecierpliwie czekała u jego boku, gotowa skoczyć, kiedy tylko włącz się otworzy.

Przypuszczalnie ich połączony strach dotarł do Bojora, gdyż ten zatrzymał się. Stanął tyłem do urwiska, z głową odwróconą w stronę miejsca, gdzie na gołej ziemi leżała pajęczyna. Maelen odebrała ostrzeżenia ich obojga. Bez pytania wymierzyła rękę prosto w ekran, na którym widać było bartla.

Jasne iskierki zmieniły położenie, gdy zwierzę znów usiadło na zadzie, w pozycji, w której najchętniej oczekiwało napaści. Spuściło łapy wzdłuż potężnego cielska i chociaż Faree nie widział ich dokładnie w drobniutkich rozbłyskach światła, wiedział, że wyciągnęło straszne grube pazury mogące rozdrzeć napastnika.

— Co robisz... — Vorlund przydepnął obutą w wysoki but stopą zatrask klapy. Zrobił to tak szybko, że Faree miał tylko ułamek sekundy, aby zabrać palce. — Co ty robisz?

— Hagger... Pod ziemią! — odparł niecierpliwie młodzieniec. — Potrafią atakować bez pojawiania się, spod ziemi! Pani, zawołaj go z powrotem!

Z palców Maelen trysnęło światło. Faree wiedział, że kobieta gromadzi moc do przesłania myślowego. Jeśli jednak skontaktowała się z Bojorem, ten nie dawał znaku, że otrzymał od niej jakieś polecenie. Siedział z lekko otwartym pyskiem. Dość

dobrze widzieli jego głowę, gdyż iskierki skupiły się teraz wokół niej. Choć do statku nie dochodziły dźwięki, Faree wiedział, że bartel wydaje bojowy ryk. Odebrał ulotny obraz myślowy ciemnego tunelu w ziemi i jakiś poruszających się w nim stworzeń. Czy mu się tylko wydawało, czy rzeczywiście przez sekundę widział kogoś podobnego do tych małych ludzi, których ujrzał w swoim „śnie”?

Odepchnął barkiem nogę Vorlunda, nagłym ruchem strącając kosmicznego wędrowca z klapy, i jednocześnie kantem dłoni uderzył szybko w zatrzask włazu. Drugą ręką podniósł klapę zagrządzającą im drogę, i Yazz popiskującą i skomlaącą u jego boku, która zeskoczyła na dół, nie dotykając nawet szczebli drabinki.

Faree zsunął się do otworu, zwijając skrzydła najciaśniej, jak potrafił. Z tym, co nosił na plecach, zawsze było mu ciężko przeciskać się przez korytarze.

Vorlund poszedł za nim, lecz nie mógł poruszać się szybciej od młodzieńca, żeby nie popchnąć przed sobą jego drobnego, skulonego ciała, co mogłoby się źle skończyć. Nie zadawał więcej pytań, a gdyby nawet to zrobił, Faree nie mógłby udzielić mu wielu odpowiedzi. Jedno było pewne — Bojora czekał atak ze strony czegoś, z czym nigdy się nie zetknął żaden z jego pobratymców i przed czym nie mógł obronić się całą swą siłą ani wrodzoną przebiegłością.

Byli już w korytarzu na dole i Yazz wspięła się łapami na ścianę, drapiąc przyrządy kontrolujące opuszczanie trapu.

Faree również uniósł rękę i zdjął z półki ogłuszacz, który trzymano tam na takie właśnie okazje, kiedy na zewnątrz czyhało niebezpieczeństwo.

Uderzył kolbą w przycisk trapu, a wtedy Vorlund złapał go za skraj zwiniętego skrzydła. Faree posłał kosmicznemu wędrowcowi wrogie spojrzenie.

— Precz! — wysyczał przez zaciśnięte zęby. — Inaczej złapią Bojora.

Rampa zareagowała; statek zadrżał od zgrzytu wysuwanego trapu. Porywisty wiatr przyniósł zapach wszechleku. Yazz nie czekała na pozostałych i już wyjeżdżała na trapie na zewnątrz. Zaciśnęła potężne szczęki na jednej z poręczy, żeby nie stracić równowagi na ruchomej rampie.

Vorlund wypuścił Faree z uścisku.

— Co i skąd? — warknął.

— Haggery z podziemi! Ich sieci już są rozpięte. Te są stare. Teraz jednak ktoś ich prowadzi!

Faree wyskoczył na zewnątrz przez otwarte drzwi statku. Rozpostarł skrzydła i wbił się w nocne niebo. Wykonał obrót w powietrzu, aby zwrócić się twarzą do tej części urwiska, gdzie czatował Bojor.

Świetlne punkciki płonęły tam większym i jaśniejszym blaskiem, więc łatwo było je dostrzec z daleka. Faree lekko pokręcił głową; odkąd opuścił statek, dużo lepiej odbierał ostrzeżenie o zbliżaniu się napastników. Machając mocno skrzydłami i zmagając się z silnymi podmuchami wiatru, kierował się w stronę plamy światła. Chwilę później miał już towarzystwo. Te same ogniste iskierki, które powitały Bojora, rozbłysły wokół niego. Utworzyły świetlny zarys wokół ciała, ciasno otaczając głowę.

W tej samej chwili jego skrzydła przestały łopotać. Omal nie spadł na ziemię, kiedy przez moment zabrakło im siły, a w jego umyśle zaczął narastać coraz dokuczliwszy ból. Leciał dalej siłą woli, lecz miał wrażenie, że próbuje przedzierać się przez jakąś niewidzialną, lepka powódź oblepiającą mu skrzydła i spowalniającą ich ruchy, dopóki nie opadł tak nisko, że sunął tuż nad powierzchnią ziemi, co jakiś czas zahaczając czubkami kosmicznych butów o kępy wyższej roślinności.

Nie zamierzał jednak ulegać sile nakazującej mu iść pieszo. Ogarniało go bowiem coraz mocniejsze przekonanie, że dopóki będzie walczył, dopóty nie wpadnie w inne sidła zastawione na jego umysł. Teraz wyczuwał już wściekłość Bojora. Faree

uświadomił sobie, że w mózgu wielkiego, kosmatego stworzenia taki gniew kipi po raz pierwszy, odkąd Bartel pomógł im odzyskać statek zajęty przez wojowników Gildii na Yiktor, uwalniając przy tym z więzienia Maelen i Vorlunda. Niemniej jednak jego złość mieszała się ze zdziwieniem, gdyż dotychczas nie zetknął się z widzialnym nieprzyjacielem, a jedynie wyczuwał, podobnie jak Faree, coraz silniejsze zagrożenie.

Iskierki okalające głowę i otaczające konturem nagle zbyt ciężkie skrzydła młodzieńca, jaśniały coraz mocniej. Napierała na niego jakaś siła, która próbowała przycisnąć go do ziemi, aby zapewne odebrać mu swobodę ruchów w mającym nastąpić starciu.

Kiedy stawiał opór, wkładając cały wysiłek w walkę z tym naciskiem, niespodziewanie wstrząsnęła nim tak ostra myśl, jakiej nigdy nie odebrał nawet od Maelen, niewątpliwej mistrzyni tego szczególnego rodzaju komunikacji.

— Chodź... umrzyj! Zdrajca, losstreek, demni...

Wprawdzie impuls zabrzmiał w jego umyśle głośno i zdecydowanie, nie potrafił się zorientować, kto go wysłał. Faree widział nadawcę jedynie jako niewyraźny i pozbawiony twarzy cień. Przeciwnik jednak popełnił błąd, gdyż rozpętując burzę, sam wskazał mu cel kontrataku.

Faree wylądował na samym skraju tej części doliny, gdzie ziemię pokrywała płatanina sznurów. Skrzydła miał jednak rozpostarte i tak lekko dotykał stopami ziemi, że prawie nie sięgał najwyższych szczytów łądyżek wszechleku.

Zamiast skupić się na unoszeniu w powietrzu, całą siłę włożył w cios psychiczny — wydobywając ze swego wnętrza gniew podsycony strachem — strachem, który posyłał przeciwnikowi. Skoro nie miał żadnej wskazówki, a bardzo potrzebował celu, stworzył w myślach wyraźny obraz nieprzyjaciela — jednego z tych małych ludzi, jakich widział w kryształowej sali — wypełniając tę wizję wszystkimi szczegółami, jakie potrafił sobie przypomnieć.

Otoczające go świecące punkciki rozbłysły — już nie białym światłem, lecz tak zielonym, jakby sam wszechlek stał się ogniem. Otulił się ich płomieniami niczym peleryną. Zielone drobinki wirowały, zbierając się wokół jego głowy, tak szybko, że zdawały się tworzyć pierścień. Faree jednak uświadomił sobie, że dotykem umysłu nadwreżył jakąś zaporę. Nie była to bariera podobna do żadnej, z jaką miał dotychczas do czynienia — ani do tych stworzonych naukowo, jakie chroniły członków Gildii na Yiktor, ani tych, na jakie natknął się wraz z Maelen, Vorlundem i Zakatianinem, kiedy poddawano go badaniom, aby znaleźć sposób usunięcia ciężającej mu blokady.

Kiedy Faree zrobił już wyrwę w tej zaporze, naparł na nią z całych sił. Po drugim zaciekłym ataku bariera pękła. Porwał go wir chaotycznych myśli, jednak najsilniejsza i najwyraźniejsza spośród nich była dość czytelna. Ich nadawca bał się, jednak przez ten strach przebijała się zdecydowana wola czynu. Przekaz rzeczywiście pochodził spod ziemi, a jego przybliżony kierunek wskazywał, że niedoszły napastnik szedł w stronę Bojora. Tylko że umysł, którego myśli Faree teraz częściowo odczytywał, nie widział napastnika toczącego rzeczywistą walkę.

Umysł ten wyprzedzały znajdujące się pod jego kontrolą inne stworzenia — jak na swoje rozmiary przypuszczalnie najniebezpieczniejsze istoty, jakie Faree znał — a ponieważ wiedział o nich niewiele, tylko tyle, ile wyłowił z obcego umysłu, mogły być nawet groźniejsze niż mu się wydawało. Haggery!

Przed jego oczami stanął obraz. Tak wyrazisty, że w ciągu tych kilku chwil, kiedy tkwił w jego umyśle, Faree widział coś tak potwornego, że przeszły go ciarki. Dziwnym trafem stworzenia kształtem przypominały Toggora, pominąwszy fakt, że ich miękkie, tłuste ciała porastała ubłocona sierść. Podobnie jak w przypadku smaksa

pierwsza para jego odnóży kończyła się wielkimi szczypcami o ząbkowanej wewnętrznej krawędzi. Widać było wyraźnie, że każdemu, kto dostałby się w ich uścisk, groziłoby niebezpieczeństwo. Na przedzie okrągłej głowy znajdowały się giętkie czułki zakończone kulami. Z myśli nieprzyjaciela gnającego te stworzenia przed sobą wyczytał, że spełniały rolę oczu, a ich wzrok miał zdumiewający zasięg w ciemności. Istoty poruszały się w tunelach błyskawicznie, mimo że pełzły na trzech parach nóg, uzbrojone odnóży trzymając w górze, w każdej chwili gotowe rozpocząć walkę.

Młodzieniec szukał dalej, w dziwny sposób patrząc oczami tego, który je poganiał. Podziemny podróżnik zauważył już jego obecność, lecz nie potrafił go przepędzić. Coraz rozpaczliwiej jednak próbował wdrzeć się do myśli Faree, tak jak on wniknął do jego umysłu.

Młodzieniec zaatakował. Rozkaz, umieszczony w obcym umyśle, wymierzony był przeciwko groteskowej armii pełzającej pod powierzchnią ziemi. Konieczność utrzymania kontroli nad poganiaczem i próba dotarcia przez niego do pozostałych stworzeń zmusiła Faree do zrezygnowania z kontaktu wzrokowego z kopaczami. Nie wiedział więc, czy poczuły jego cios i czy posłuchały bezgłosego polecenia. Coś z głuchym łoskotem spadło na ziemię przed Faree. Na chwilę zdekoncentrował się. To smaks wypęłzył zza jego koszuli i zeskoczył na ziemię między dwiema krzyżującymi się nitkami pajęczyny. Mocno się odbił potężnymi tylnymi łapami i wskoczył na najbliższy ze sznurów. Jego szczypce błyskawicznie zagłębiły się w gruncie, a kiedy zacisnął je ze zgrzytem, na wyschniętej glebie pojawiły się zmarszczki, jak gdyby mocno napięte liny rozprężyły się i poruszyły grudki ziemi.

— Niedobry... — Faree pochwycił myśl smaksa, lecz nie zdołał złapać samego zwierzątka, po które się nachylił. Toggor biegł po pokrytej siecią ziemi w kierunku poświaty wskazującej pole walki Bojora. Co jakiś czas zatrzymywał się na chwilę, żeby przeciąć przebiegające płytko pod ziemią sznury, chociaż Faree nie miał pojęcia, po co to robił.

Niemniej jednak prawdziwe lub rzekome zgęstnienie powietrza, nie pozwalające mu szybko latać, ustąpiło. Młodzieniec wznosił się wysoko ponad sieć, którą Toggor tak skutecznie niszczył, i poleciał w stronę Bojora stojącego pod ścianą.

Krąg światełek nad jego głową rozdarł się i powiewał za nim jak szarpana przez wiatr szarfa na czole. Dwukrotnie próbował zawładnąć podziemną drużyną, lecz drugim razem natknął się na nową barierę, dość mocną, aby wytrzymała jego ataki. Skupił się więc na dotarciu do zbocza góry i nie wypuszczał z dłoni zabranego ze statku ogłuszacza.

— Niedobry... chodź... — Tym razem nie była to myśl Toggora. Faree przeleciał już nad smaksem i stracił go z oczu. Ten impuls wysłał Bojor. Jeśli bartel uznał nieprzyjaciela za dość groźnego, aby dodać słowo „chodź”, groziło im rzeczywiście duże niebezpieczeństwo.

Młodzieniec dotarł do skraju obszaru pokrytego siecią. Bojor siedział niemal dokładnie naprzeciwko niego. Nastroszył czub dłuższych i sztywniejszych włosów między uszami. Światło, które otaczało bartla, kiedy obserwowali go ze statku, przykleiło się teraz do ściany urwiska w pewnej odległości za nim. Jego oczy były zaczerwienione i wytrzeszczone. Zwierzę spojrzało przelotnie na Faree i ponownie skupiło uwagę na ziemi przed sobą. Młodzieniec podleciał bliżej i wylądował, nie zwijając skrzydeł, lecz czerpiąc poczucie bezpieczeństwa z dotyku gruntu pod stopami. Ścisnął mocno ogłuszacz w garści i ponownie odważył się użyć psychopolacji.

Niemal natychmiast wzblił się w powietrze, bowiem zetknął się z falą czegoś, co nie było myślą w znanym mu sensie, lecz raczej olbrzymią żądzą, pragnieniem

płynącym z wielu umysłów. Spróbował rozdzielić te pojedyncze nitki i ich śladem dotrzeć do psychiki, która wydała je na świat, lecz tak były ze sobą splecione, że nie miał szans. W dodatku znajdowały się bardzo blisko siebie.

— Toggor... chodź... natychmiast... — Faree usłyszał ten komunikat i w słabym świetle rzucanym przez świetlne drobiny zobaczył ciemną plamę zbliżającą się do jednej z łap bartła. Kiedy smaks znalazł się już na miejscu, przytulił się do wielkiego zwierzęcia i odwrócił, unosząc szczypce w podobnej pozie, jaką przyjmował Bojor, gdy się bronił. Yazz wyprzedziła smaksa. Nie biegła, lecz sunęła krótkimi skokami od jednego wolnego od sieci miejsca na ziemi do drugiego. Nietrudno było zauważyć, że wyczuwała po części to niebezpieczeństwo, które czyhało w tej okolicy.

## Rozdział 11

Jedynie źródło światła stanowiły wiszące w powietrzu świetliste drobiny. Każde z nich miało nad głową własny obłoczek. Kiedy Faree jednym wspomaganym uderzeniem skrzydeł susem znalazł się przy trójce przyjaciół pod ścianą urwiska, natychmiast odwrócił się i przygotował na odparcie ataku. Całą uwagę skupił na ziemi. Świetlista smuga okręciła się wokół jego ciała i smagneła go ostro jak bicz. Młodzieniec gwałtownie wciągnął powietrze i zakaszał. Światelka zniżyły się, wirując teraz na wysokości jego szyi, i zaczęły zacieśniać krąg.

Uniósł rękę, żeby je odgonić i poczuł drobnutki bolesne ukłucia, jakby świetlne drobiny rzeczywiście były iskierkami z ogniska. Nie mógł się w ten sposób od nich uwolnić. Krąg wirował teraz na wysokości jego piersi. Odruchowo zwinął skrzydła, kiedy ogniste iskierki dotknęły ich powierzchni.

Iskry unieruchomiły jego lewą rękę, lecz w prawej wciąż ścisnął ogłuszacz. W żaden sposób nie mógł trafić jego wiązką tych dziwnych napastników. Nie sądził nawet, aby owe światelka były owadami, skłonny zmusić go do uległości ukąszeniami, gdyż jego umysł nie wyczuwał w tych drobnutkich rozbłyskach nawet najmniejszych śladów życia w takim sensie, jak on to rozumiał.

Powtórnie spróbował rozłożyć skrzydła, aby wznieść się ponad napastników. W tym samym momencie, kiedy przystąpił do walki ze zdwojoną energią, ziemia rozstała się i w niebo trysnęła fontanna gleby i kamieni. Z zapadającej się jamy wypełzło pierwsze z tych stworzeń, które widział oczami umysłu w tunelu. Już wcześniej nastawił ogłuszacz na pełną moc i, chwając się w przód i w tył, gdyż nie mógł utrzymać ręki nieruchomo, częścią promienia zahaczył o dwa pierwsze biegacze. Yazz wyszczerzyła zęby i rzuciła się na trzeciego stwora wylazłego z podziemnego korytarza.

Iskierki nad jej głową zbiły się w kulę, która pomknęła w jej kierunku. Jednakże — jak w przypadku wszystkich przedstawicieli tego gatunku — Yazz podczas ataku poruszała się tak szybko, że zarysy jej ciała lekko się rozmywały. Kiedy kula zanurkowała, ona była już gdzie indziej. Widać było tylko jej tylne łapy i merdający ogon, gdyż przednia część ciała znikła w głębi jamy.

Faree wierzgał i szarpał się. Wreszcie udało mu się wymierzyć ogłuszacz w część otaczającego go gwiazdnego pierścienia. Światło zamrugało i młodzieniec poczuł, że gniotący go uścisk zelżał. Bojor ryknął; jego potężny głos odbił się echem od górskich ścian. Faree zatoczył się do tyłu, zawadzając zwiniętym skrzydłem o bartła. Poczuł na ramieniu ciężar potężnej łapy zwierzęcia, które pociągnęło go w stronę urwiska. Światła wokół bartła podzieliły się na dwa obłoki. Każdy z nich zaatakował jedną łapę zwierzęcia.

Yazz wycofała się z jamy. Zacisnęła mocno szczęki na okrągłym tułowiu stworzenia, trzymając go tuż za głową. Stwór uderzał w ziemię przednimi nogami, daremnie próbując jej się wyrwać.

Jedynie, co mógł zrobić, to ryc pazurami ziemię w dziurze, z której tak bezceremonialnie go wyciągnięto. Yazz kłapnęła szybko zębami i przerzuciła swą ofiarę na drugą stronę jamy. Stwór wylądował na grzbiecie, wierzgnął niemrawo nogami i znieruchomiał. Jego morderczyni już wskakiwała do dziury w poszukiwaniu następnej ofiary.

Gdy Faree znalazł się pod ścianą urwiska, świetlne punkciki otaczające go wcześniej utworzyły nową kulę i cofnęły się o kilka kroków. Młodzieniec wciągnął powietrze do ściśniętych płuc i wymierzył do świecącego globu.



Nie zdążył wystrzelić. Krzyknął tylko, kiedy zbite w kulę światełka pomknęły w kierunku jego głowy. Moment później uderzyły go niczym lity pocisk z ogromną siłą. Przed oczami bez końca tańczyły mu isierki. W ślad za tym uderzeniem nadszedł ból tak ostry, że niczego nie widział, nie słyszał i nie był w stanie zrozumieć. Jedyne z czego zdawał sobie sprawę to fakt, że świat wypełniony jest cierpieniem. Oślepiająca, porażająca oczy biel, która zjawiała się po uderzeniu iskier, przygasła, aż wreszcie później ustąpił nawet ból.

Tak jak we śnie, Faree był gdzieś indziej, nie w swoim ciele. Mimo rozpaczliwych starań nie potrafił wyczuć obecności swej materialnej powłoki. Zdawał sobie jednak sprawę, że nie jest sam. Spróbował zawołać Bojora i Yazz...

Nie wyczuł ciepłego uczucia przyjaźni docierającego do niego, kiedy myślał o ich imionach. Spróbował poszerzyć zasięg myślowych poszukiwań. Tak jak wtedy, gdy natknął się na mgłę, nie był w stanie przebić niewidzialnej otoczki zdającej się go spowijać.

Nie mógł wystać impulsu myślowego, lecz czuł, że w tej nicości nie jest sam. Szybko zamknął się w sobie. Przez chwilę miał ochotę skulić się w ukryciu — jak wtedy na Obrzeżach, gdy jakiś pijany i sadystyczny mieszkaniec tego piekła chciał zabawić się jego kosztem — gdyż od tego, co znajdowało się na zewnątrz, emanowała siła i bezwzględność. Jednakże nie był już dłużej Śmierdzielem, wyrzutkiem z Obrzeży; był Faree, istotą skrzydlatą i... wolną? Nie, nie był wolny; tkwił w pułapce, zdany na łaskę tych, którzy ją zastawili.

— ...Langrone? Przecież nie przeżył żaden ze strażników!

Myśli, nie głosy. Tylko że nie mógł wystać odpowiedzi. Miał odrętwiąły umysł, ale nie był głuchy.

— Znalezione ich... — Faree pozwolono przez chwilę zobaczyć zielone zbocze wzgórza, a na nim nieruchome postaci. Najbliższa leżała twarzą ku ziemi, a z dwóch ziejących ran na jej nagich plecach sączyła się krew. Skrzydła! Zwłokom odcięto skrzydła! — ... martwych... — Młodzieniec był tak zaabsorbowany obrazem nadawanym przez jeden umysł, że nie dosłyszał części zdania.

— Langrone — powtórzył z naciskiem pierwszy myślowy głos. — Bez wątpienia zatruty jak Atra, przynęta! — rzucił z pogardą. Z ciemności nadeszło ułknięcie bólu, lecz wydawało się bardzo odległe — towarzyszyło ciału, którego on już nie czuł.

— Ślepy! — Ostre słowa myślowego głosu zraniły go tak, jak nóż mógłby skaleczyć jego ciało; bez wątpienia było to wydane mu polecenie.

— Pozbawiony nadziei więzień! — dorzucił z pogardą drugi głos.

Nawet jeśli z jakiegoś powodu pogodził się z losem, który stał się jego udziałem za sprawą pierwszego komentarza, wciąż sprzeciwiał się drugiemu. Mógł być więźniem — w jakiś sposób ani żywym, ani umarłym — lecz duch, jaki obudził się w nim, kiedy urosły mu skrzydła, pielęgnowany przez Maelen i Vorlunda, był nadal dość silny, aby się nie poddawać.

— ...Selrena. — Faree znów nie dosłyszał części myślowej wypowiedzi.

— Nie możemy nieść... Ha, co to takiego?

— Co? Gdzie?

— Tam się poruszyło!

Przez chwilę panowała cisza, potem znów odezwał się pierwszy głos:

— To jedno ze zwierząt, które ci siewcy śmierci przywieźli, aby im służyły. Dobił je kamień. Teraz... nie możemy go unieść. Niech go zabierze Selrena, jeśli ma ochotę. Albo niech leży; wkrótce i tak umrze. Skrzydlaci ludzie nie czują się dobrze w podziemiach. Jeśli to Langrone, nie jest dla nas ważny.

— Powiesz to Yaspretowi w oczy?

— Langrone! — Ten drugi powtórzył to słowo tak, jakby splotował z obrzydzeniem.

— Powietrzni Tancerze! Jakie to ma znaczenie, że urządzi się na nich polowania?

— Pamiętasz, co znalazł ten siewca śmierci z drugiego statku? Teraz, kiedy dostali to w swoje ręce, myślisz, że oddadzą choćby skrawek świata? Będą szukać miejsca, gdzie leży Roxcit. Dzięki swej dziwnej wiedzy wkrótce odnajdą drugi skarbiec. Fakt, że polują na skrzydlatych, w gruncie rzeczy nam nie szkodzi. Jeśli jednak włamują się do miejsca, którego mamy strzec...

— Dobrze, dobrze! Pamiętaj, że jeśli ten Langrone jest podobny do Atry, tamci go oślepiłi. Będzie mógł ich ściągnąć...

— Wcale nie. Dla nich pewnie będzie przynętą—powiedział napastnik z satysfakcją.

Ciemność wokół Faree ścisnęła go mocniej, jakby chciała wypchnąć mu powietrze z płuc, jak uprzednio światelka. Młodzieniec miał świadomość tego przerażająco rosnącego nacisku, nawet jeśli nie czuł własnego ciała. Potem... potem niczego już nie było.

Otworzył oczy. Nie przygniatały go już fałdy czerni — to, co widział, miało raczej szary kolor — jak światło bardzo wczesnego poranka albo opar mgły zmuszający go do zawrócenia z drogi podczas pierwszego zwiadu na tej planecie. Leżał na boku, lecz już po pierwszej próbie wykonania ruchu stwierdził, że zgodnie z tym, co mówił myślowy głos, wciąż jest więźniem.

Mimo to opar mgły wydawał się leniwie kotysać w dziwny sposób, od którego robiło mu się niedobrze. Znów czuł własne ciało, lecz jego dolegliwości były mniej ważne od tego, co odsłaniała lub ukrywała kotyszająca się mgła.

Wysoko nad nim majaczył fotel. Faree leżał w jego pobliżu na posadzce z ułożonych naprzemiennie bloków zielonego i brązowego kamienia. Brązowy kamień przecinały zielone żyłki. Nogi, poręcze i ramę oparcia białego fotela gęsto pokrywały zawile wyrzeźbione wzory. Poręcze kończyły się kulami tak przejrzystymi, jakby zrobiono je ze świeżej wody ze strumienia, zastygłej w ich kształcie. Siedzisko i oparcie fotela obito tkaniną w wyraźny wzór w zielone liście i kwiaty wszelkich kolorów. Tu i tam widniały na niej linijki czegoś, co przypominało runy, jakie pokazywał mu kiedyś Zoror. Twierdził, że Lud, którego szukał, rzekomo takimi znakami utrwał wiedzę.

Przy fotelu stał podnózek, a na nim siedziało jakieś stworzonko. Nie potrafił na pierwszy rzut oka powiedzieć, czy było istotą rozumną, czy nie.

Jego ciało o kształcie humanoidalnym porastały cętkowane, złotawe łuski. Okrągła z tyłu i zwężająca się ku przodowi głowa wieńczyła długą, giętką szyję. Stworzenie poruszało się na czterech chudych jak patyki kończynach, z których górne kończyły się błoniastymi łapkami o sześciu palcach, tylne zaś szerokimi kopytkami. W przednich łapach obracało białą rurkę z ciągiem otworów. Przytknąwszy jeden jej koniec do ust na końcu ostrego ryjka i przebierając po niej palcami, zagrało kilka dźwięków brzmiących jak plusk wody. Bardzo duże oczy świeciły zielonym płomieniem, jeśli taki mógł istnieć.

Te oczy przyglądały mu się i Faree wiedział, że istota doskonale zdaje sobie sprawę z jego obecności. Ostrożnie spróbował użyć psychopolacji, lecz ku swojemu zdumieniu najwyraźniej został pozbawiony tego zmysłu, zupełnie jak wtedy, gdy stanął przed zaporą z mgły. Natknął się na ścianę.

Dźwięczne nutki piszczałki zabrzmiały głośniejsz i mgła w pokoju zaczęła rzednąć. Faree coraz wyraźniej widział salę — mocne nogi i blat długiego stołu, kolor ścian pokrytych runicznymi wzorami. Runy były takie same jak na poduszkach fotela, lecz wyraźniejsze, nie przesłonięte innymi rysunkami.

Młodzieniec oblizwał spierzchnięte wargi, szykując się do użycia głosu, skoro nie mógł nawiązać kontaktu myślowego. Nie dane mu było jednak zobaczyć, czy

stworzonko z fletem potrafiło zrozumieć komunikat dźwiękowy. Coś się poruszyło, a potem zobaczył postać wyłaniającą się zza stołu.

Na pierwszy rzut oka przybysz wyglądał jak wielu kosmicznych wędrowców, których widział. Był wysokim humanoidem, być może wyższym nawet od Zorora. Na nogach nosił ciasno przylegające okrycie, jak gdyby obuwie i ubranie stanowiło jedną całość — powyżej tego sznurowany kaftan ściągnięty w wąskiej talii szerokim pasem, skrzącym się i rzucającym srebrzyste refleksy. Głowę porastały rude i złociste pasma włosów. Skóra twarzy i dłoni była blada; nie nosiła śladów kosmicznej opalenizny.

Emanowało z niego coś surowego i wyniosłego. Ciężkie powieki do połowy przesłaniały oczy. Jego nieruchoma twarz wyglądała, jakby ją starannie wyrzeźbiono z substancji białej jak zajmowany przez niego fotel. Przyglądał się Faree bacznie i wszystko wskazywało na to, że czuje się panem sytuacji.

— Zatem... — Choć Faree nie potrafił przebić się przez zakłócenia, które stawiały opór jego myślom, nieznamy porozumiał się z nim bez przeszkód. — Kim jesteś? — Pytanie sugerowało chłodną ciekawość. Młodzieniec znów starał się odpowiedzieć, lecz bariera nie ustąpiła.

Siedzący na podnóżku flecista pochylił się naprzód. Przestał grać, stanął na płaskich stopach i zrobił kilka kroków. Nachylił się, jakby władał ciałem Faree, i postukał jeńca w wargi końcem piszczałki, wyraźnie zachęcając go lub może rozkazując, aby użył mowy dźwięków. Potem podreptał z powrotem i ponownie zasiadł na swoim miejscu.

Mężczyzna w fotelu obserwował jego zachowanie i kiwnął głową.

— A więc... — Znów spojrzał przelotnie na Faree. — Kto? — Uczynił z tego jednego słowa stanowczy rozkaz.

— Faree... — Ochrypli dźwięk zabrzmiał w uszach młodzieńca dziwnie głośno, zupełnie jakby krzyknął — rozszedł się nawet szepc echa.

— Co do tego nie ma wątpliwości. — Słowa pytającego bez trudu wniknęły do jego umysłu. — Jakie imię nosisz, albo nosiłeś w szeregach Langronów? A może imię też ci odebrali, kaleko, tak jak całą resztę?

— Nazywam się Faree. — Nie rozumiał, do czego zmierza jego rozmówca.

Mężczyzna lekko się skrzywił. Faree zadrżał, kiedy przeszła go włócznie myślowego przekazu. Nie widział już pokoju, mężczyzny, flecisty — cierpiał takie same męki, jak wtedy, gdy Maelen i pozostali usiłowali pokonać barierę odgradzającą go od znacznej części jego przeszłości. Nie potrafił obronić się przed impulsem, jaki wysyłał jego przeciwnik, ale i on też nie mógł przedrzeć się przez osłonę, jaką ktoś lub coś wzniosło wokół jeńca. Ból przeszedł w ciemność i Faree przestał czuć cokolwiek, oprócz lekkiej ulgi, że nacisk ustał.

Dyszząc szybko jak ktoś, kto omal się nie udusił, wrócił do rzeczywistości i znów zobaczył pokój oraz dwie obserwujące go istoty. Przesłuchujący go mężczyzna zasepił się jeszcze bardziej, a stworzenie na podnóżku skuliło się, drżąc, jakby ono również padło ofiarą nagłej napaści.

— Jak uciekłeś? — Przekaz myślowy był tym razem raczej dość łagodny. Mężczyzna nachylił się, opierając dłonie na kolanach. Jego oczy nie patrzyły już leniwie.

— Oni mnie uwolnili... — Faree starał się przywołać na myśl obrazy Maelen i Vorlunda takich, jakimi zobaczył ich po raz pierwszy, kiedy wyrwali Toggora, i przy okazji również jego, ze śmierdzących Obrzeży.

— Nie... — Mężczyzna wyprostował się w fotelu i spojrzał na Faree z jawnym zdumieniem. Wymierzył w niego palec, jakby ciało i kość było bronią. — Nie, nie można cię zmusić, abys głośił takie kłamstwo! Zatem są tu dwie grupy! — Gwałtownie wstał z krzesła i szybko znikł więźniowi z oczu.

Faree zaczął sprawdzać, co go tak mocno krępuje. Popatrzył na siebie i nie dostrzegł śladu więzów. Znikły świetliste cząsteczki, które go pojmały, lecz nadal nie mógł się ruszyć.

„Rusz się” — powtarzał jego obolały umysł, wciąż osłabiony od silnych ciosów, jakimi usiłowano wydobyć z niego przeszłość. Co mówił Zoror o baśniowych czarach — że była to broń albo podstęp, aby zwabić lub oszukać tych, którzy ich nie rozumieli? Co prawda nie mógł posłać nikomu myślowego przekazu, lecz czy bariera nie pozwalała mu także oddziaływać na samego siebie? Nic nie stało na przeszkodzie, żeby spróbować.

Flecista na podnóżku znów grał. Faree powoli poruszył głowę, usiłując skupić się i zapomnieć o muzyce. Wydawało mu się, że melodia wypełnia tę część jego umysłu, jakiej musiał użyć, i usypia resztki jego mocy.

Wyobraził sobie, że jego ręce są takie, jakie widział je po raz ostatni — nie zeszywniałe i przyciśnięte do boków, lecz zdolne poruszać się w każdym kierunku, jakim sobie życzył. Palce — zginały się w taki sposób! Tak, potrafił to sobie wyobrazić, pomimo monotonnego dźwięku fletu.

Rusz się powoli... Nagle odniósł małe zwycięstwo. Jeden palec rzeczywiście odsunął się od pozostałych, do których był mocno przyciśnięty. Faree zwalczył euforię i nadal skupiał się na mentalnym obrazie. Czuł, jak z wysiłku spływa mu po skórze strużka potu. Już dwa palce — cała dłoń! Poruszył dłonią i poczuł, jak ociera się o jego bok.

Dwie ręce... Urywek myśli... czy flecista to zauważył? Czy był strażnikiem i w razie potrzeby wezwie pomoc?

Faree walczył dalej, podczas gdy pot przyklejał mu ubranie do ciała. Flecista nie ruszył się z miejsca. Nie oznaczało to jednak, że pozwoli mu wygrać bitwę. Nogi... Młodzieniec przewrócił się na brzuch i podźwignął się na rękach. Kiedy udało mu się wstać na kolana, spojrział przez ramię.

Strażnik już nie grał, obracał tylko flet w pletwiastych dłoniach i przechylał lekko głowę w bok, obserwując Faree niezdarnie usiłującego się podnieść. Młodzieniec spodziewał się, że lada moment wbiegnie mężczyzna i znów odbierze mu swobodę ruchów — lecz nic takiego się nie stało.

Wstał wreszcie, chociaż skrzydła wciąż miał zwinięte najciaśniej, jak mógł. Flecista nadal go obserwował. Faree szybko stanął po drugiej stronie stołu. Sądząc z rozmiaru tego mebla, jak również pustego krzesła, pokój przeznaczony był dla istot z rasy tego wysokiego mężczyzny, gdyż wszystko w nim było stanowczo zbyt duże, aby mógł wygodnie z nich korzystać ktoś postury Faree.

Na stole leżały rozmaite przedmioty, wśród nich lustro. Faree zahaczył palcami o jego krawędź, aby przejrzeć się w tafli zwierciadła. Obok stały jakieś buteleczki, niektóre przejrzyste, tak że można było zobaczyć płyny lub proszki w ich środku. Mieniły się tęczowymi barwami, podobnie jak leżące obok roziskrzone kryształy. Dwa miały kształt kuł i spoczywały na podstawkach — jedna była biała i rzeźbiona w zawile wzory, druga ciemna i bez ozdób; leżąca na niej kula również była ciemna. Inne kryształy zachowały naturalne kształty i poszczerbione krawędzie. Leżał tam również zwój szarawej skóry (podobny do pergaminów, do których czasami zaglądał Zoror). Rozwinięto go i trzymano w takiej pozycji, obciążając mniejszymi okruchami kryształu o zielonym odcieniu. Trochę dalej leżał drugi kawałek takiego samego materiału, wraz z naczynkiem ciemnego barwnika i leżącym obok sztywnym piórem.

Środek stołu zajmowała kadzielnica. Przez dziurkę w pokrywce wydobywała się cienka smużka dymu o korzennym zapachu. Najwyraźniej było to miejsce pracy kogoś, kto podzielał zainteresowania Zakatianina. Myśl o Zororze przypominała Faree o bieżących sprawach.

Spróbował rozłożyć skrzydła, skupiając się na żywych wspomnieniach swobodnego lotu. Choć uwolnił ciało, ze skrzydłami mu się nie powiodło. Nadal były skrępowane, ściśnięte tak mocno, jak pozwalały na to ciało i kości.

Trzymając się krawędzi stołu, Faree obrzucił pokój uważnym wzrokiem. Mgła się rozwiła, chociaż we wszystkich kątach komnaty zalegała ciemność. Na ścianach wisiały sztywne tkaniny przedstawiające zarówno niewyraźne obrazy, jak i szeregi runów. Pod drugą ścianą stało jeszcze jedno krzesło i mniejszy stolik, a za dużym stołem mebel, który Faree widział również w komnatach Zorora. Był to wysoki regał z półkami podzielonymi na szereg małych przegródek. W wielu z nich leżały pergaminy podobne do tego, jaki znajdował się na stole. Zoror miał bardzo stare zwoje ze zwierzęcych skór (zgromadzone przez dziesiątki lat na rozlicznych planetach) i w ten właśnie sposób je przechowywał. Faree widział jedno z nich — te, do których Zakatianin zaglądał w trakcie swych poszukiwań Ludku.

Po lewej stronie nie było draperii, a wielkie okno, teraz zasłonięte, chociaż kotara się poruszała, jakby szarpał nią wiatr. Pod nim umocowano na stałe ławę. Faree odsunął się od stołu, sprawdzając, czy może chodzić o własnych siłach. Zachwiał się, znów chwycił mebel, a potem ostrożnymi krokami ruszył w stronę otworu, który obiecywał wolność. Jeśli z tej sali było wyjście, kryło się gdzieś za sztywnymi fałdami tej zasłony.

Doszedł do ławy, cały czas nasłuchując ostrzegawczego krzyku flecisty. Kiedy jednak obejrzał się za siebie, stworzonko nie drgnęło, przyglądając mu się badawczo. Parapet okienny umieszczony był wysoko, znów w miejscu nieodpowiednim dla istoty maleńkich rozmiarów Faree. Młodzieniec wgramolił się na ławę, a potem stanął na niej, jedną ręką trzymając się ściany, drugą zaś szarpiąc kotarę, aby ją trochę odsunąć na bok.

Za oknem panowała ciemność, czarna noc. Być może nawet zbliżała się burza. Choć Faree niewiele widział, był przekonany, że pokój znajduje się wysoko nad ziemią i nie ma z niego wyjścia. Kiedy bowiem odsunął kotarę, dostrzegł przeszkodę w postaci siatki z srebrzystego metalu. Miała kształt splecionych pnączy, których listki tak błyszcząły, jakby odbijały jakieś światło z zewnątrz.

Faree potrząsnął siatką, albo raczej spróbował, lecz metal nawet nie drgnął. Był mocno osadzony w kamiennej framudze. Wtem młodzieniec odskoczył i omal nie spadł z ławy. Wprost w stronę okna mknęła jedna z tych latających jaszczurek, które odprowadzały do doliny, gdzie wylądował jego statek. Zaskrzeczała ochryple i skręciła w chwili, gdy już się wydawało, że roztrzaska się o prety. Na dźwięk jej głośnego wrzasku Faree czym prędzej wypuścił zasłonę i zeskoczył na ławę.

Rozległy się niespokojne dźwięki fletu. Stworzonko zeszło ze stołka i poruszało się w dziwny sposób, który nie był spacerem, lecz rodzajem skocznego tańca.

Nie podchodziło jednak do niego, lecz raczej zmierzało w stronę ściany za krzesłem. Zanim całkiem dotarło do celu, zamigotało i rozmyło się. Potem znikło. Faree przetarł oczy i głęboko zaczerpnął powietrza.

Oczywiście wszystko to mogło być snem, tak jak jego poprzedni pobyt wśród tych istot. Może zawładnęli jego umysłem i widział tylko to, co chcieli mu pokazać. Czy rzeczywiście stoczył walkę, dzięki której wyrwał się z transu — a może tylko pozwolono mu na to, aby go poddać jakiejś próbie? Czy to jawa, czy sen?

Siadł na ławie, pochylając się mocno do przodu, aby pomieścić złożone skrzydła. Czy taka rzeczywistość może się przyśnić? Ścisnął palcami spory fałd skóry na nadgarstku i mocno się uszczypnął. Zabolalo...

Mimo to nie ruszał się z miejsca, zdjęty takim strachem, jakiego dotychczas nie czuł nawet za najgorszych czasów na Obrzeżach. Kim był? Czy w ogóle tu przebywał, a może zawładnął nim obcy umysł i wszystko to umieścił w jego głowie? Może nawet

przebywał ciałem na statku — a tu był w innej postaci — choćby nie wiem jak bardzo rzeczywiste wydawały mu się te wydarzenia!

Zsunął się z ławy i znów podszedł do zapełnionego przedmiotami stołu. Z rozmysłem nachylił się i chwycił zmacony glob, który leżał najbliżej. Musiał przysunąć się bliżej do krawędzi, żeby go podnieść.

Kula zareagowała na jego dotyk. W jej wnętrzu zapłonął ognisty krąg. Potem płomień zgasł. Faree patrzył wprost na Zorora, lecz obok Zakatianina stała Maelen. Otworzyła ze zdziwienia oczy, a Zoror zamrugał. Faree był pewny, że kiedy on ich oglądał, oni też go widzieli. Potem Zakatianin odsunął się i została tylko Maelen. Uniosła rękę i z koniuszków jej palców wystrzeliły światełka mknące wprost w stronę Faree. Glob zadrżał i młodzieniec poczuł takie gorąco, że musiał odskoczyć w tył. Płomień jednak nadal wiły się w kryształowej kuli, pełzając po jej wewnętrznej powierzchni, jakby szukały sposobu, aby do niego dotrzeć.

## Rozdział 12

Wewnątrz kuli buchnął ogień i obraz Maelen zniknął w płomieniach. Gdzieś rozległ się przenikliwy dźwięk, ostry i drażniący, całkiem niepodobny do dźwięcznej muzyki fletu. Był to odgłos alarmu. Kula drgnęła w uścisku Faree, najwyraźniej sama pragnąc odzyskać wolność. Wyślizgnęła mu się spomiędzy palców i spadła, nie na blat stołu, lecz na podłogę.

Rozległ się donośny huk. Po zderzeniu z posadzką glob rozprysnął się na drobne kawałki. Światelko w jego wnętrzu zgasło, a okruchy na podłodze stały się matowoczarne, jakby w środku płonął prawdziwy ogień. Leżały tylko przez kilka chwil, po czym rozpadły się i zmieniły w kupkę prochu. Ze szczątków buchnął silny smród spalonego mięsa. Potem i on zniknął. Faree podniósł do ust piekące dłonie i dmuchał na nie, próbując ukoić ból, chociaż nie miał na ciele śladów oparzeń.

Nagle znów rozbłysło światło, tym razem wewnątrz przejrzystego kryształu leżącego obok ciemnego. Zapulsowało nieregularnie, kiedy ponownie zabrzmiała przenikliwa nuta. Faree nie ośmielił się wziąć do ręki drugiego kryształu, lecz nachylił się i wbił wzrok w mrugające w nim światelko, z całych sił starając się ponownie wezwać Maelen lub Zakatianina — bezskutecznie.

Mimo to w świetle coś zaczynało się materializować. Faree znów patrzył w czyjeś oczy, które — spoglądały na niego z kobiecej twarzy — nie były jednak oczami Maelen. Kobieta o nieokreślonym wieku miała jasną i gładką skórę, włosy splecione w burobrązowy warkocz upięty w koronę nad szerokim czołem, ciemne oczy, tak ciemne, że Faree nie potrafiłby określić ich prawdziwego koloru, i brązowoczerwone, wąskie i zaciśnięte wargi. Jej twarz nie promieniała radością powitania; malował się na niej jedynie ledwo zauważalny wyraz chłodnego zaciekawienia. Faree zdrzął w duchu. Nawet jeśli nie umiał odczytać myśli tej kobiety, wyczuwał chłód. Była tak nieludzka, że nie potrafił sobie nawet wyobrazić spotkania z jej umysłem.

Niemniej jednak właśnie do tego doszło. Kontakt wstrząsnął nim, jakby każde słowo było ciosem zadaniem po to, aby nim zachwiać. Znów widział tylko mgłę zaćmiewającą mu wzrok i mącąca myśli.

— Nie jesteś Langrone... — Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie. — Throstle? — To było pytanie, lecz Faree nie zdążył na nie odpowiedzieć, nawet gdyby potrafił. Poczul się tak, jakby go podniesiono i w jednej chwili rzucono przez czas i przestrzeń.

Znów brudny i okryty łachmanami kulił się pod ścianą w zaułku na Obrzeżach, cierpiąc wraz z Toggorem, kiedy smaks ponosił karę z rąk mistrza tego wstrętnego pokazu żalonych dzikich stworzeń, biciem zmuszanych do posłuszeństwa. Znów przyszli do niego Maelen i Vorlund. Wspomnienia mknęły dalej — w serii przebłysków przeżywał jeszcze raz dni z tymi, którzy zawsze okazywali mu czułość. Był na planecie Yiktor i szukał czegoś, co było potrzebne. Maelen miała za chwilę spaść z górskiej ścieżki. Wyciągnął znów do niej rękę, tak jak to zrobił w przeszłości. Poczul, jak pęka twarda narośl na jego plecach zmuszająca go do garbienia się, odkąd tylko sięgał pamięcią. Jeszcze raz przypomniał sobie ten ulotny moment zachwytu, kiedy napięta, swędząca skóra pękła, uwalniając skrzydła, o których istnieniu dotychczas nie miał pojęcia.

Znów kulił się w cuchnącym zaułku i teraz ciśnięto go wstecz od chwili spotkania z kosmicznymi wędrowcami do poprzedzających dni. Był bity, cierpiał głód i znosił wszystkie nieszczęścia, jakie mogą spaść na Obrzeżach na kogoś, kto jest mały i kaleki. Szybko dotarł do swego najwcześniejszego wspomnienia — do chwili, gdy wyglądając z kryjówki w namiocie Lantiego, był świadkiem śmierci kosmicznego

wyrzutka i dzięki temu zrzucił jarzmo pierwszej niewoli.

Przypuszczalnie wtedy krzyknął, lecz jeśli tak, nie usłyszał tego. Miał wrażenie, że jakaś potężna siła przyciska go do nieustępliwego muru, że zostanie za chwilę zgnieciony, rozplaszczony na jego twardej powierzchni. Nieubłagana siła, napierająca na niego tak mocno, miażdżyła go... Znow wrzasnął, kiedy jego głowę przeszył ból. Potem litościwie pograżył się w mroku — był niczym w nicości i niczego nie było...

— ...Throstle? — Dźwięk dobiegał z daleka. — Selrena...

— Znow podstępny. Czyżbyś wątpiła, że powinniśmy go rzucić na pożarcie smokom? Gdzie jest kula burz?

Wspomnienia znow odżyły, nakazując mu wrócić. W ich ataku wyczuwało się natarczywość.

— On jest pusty, odszedł. Musimy teraz myśleć o tamtych obcych. On nie ma złych zamiarów...

— Stajesz się głupcem, Vestrumie. Myśli można wymazać; można też sprawić, aby siały zamęt. Wiele się nauczyliśmy; w ciągu tych samych pokoleń oni również. On niewątpliwie pochodzi z naszej rasy. Tego nie da się podrobić. Ale z jakiego klanu — Langrone? Znamy losy każdego członka tego rodu.

— Atrę zmuszono, aby im służyła. Czemu on nie miałby zostać ukształtowany na nowo, tak jak ona?

— Jego wspomnienia temu zaprzeczają. Masz jednak rację. Nasi odwieczni wrogowie wiele się nauczyli. Musimy go uznać za zagrożenie.

— Mogą go zabrać Hoadowie...

Dało się wyczuć oburzenie albo gwałtowny protest.

— Nie przelewamy krwi daremnie. Co w ciebie wstąpiło, Vestrumie, że to zaproponowałaś? Czyżby stara krew naprawdę tak się rozrzedziła, że zaczęliśmy myśleć jak oni, o zabijaniu dla bezpieczeństwa? Czy nie wiemy, że skutkiem tego byłby rozłam wśród nas po wieczne czasy? Czyżbyśmy więc znow stali się tak potężni, że moglibyśmy poruszyć góry i cofnąć morza dla zmylenia naszych wrogów? Skoro oni się czegoś nauczyli przez wieki, czyżby nasze umysły się przytępiły? Jeśli on jest ich proponowanym kluczem do naszych wrót, to skoro znajduje się w naszych rękach, sprawdźmy, jak chcą go użyć. On nie ma jednak nic wspólnego z tymi w dolinie Dakar.

— Racja. Co więc sądzisz o tym drugim statku?

— Nie znalazłeś odpowiedzi, nie wydobyłeś jej z niego?

— Oni mącą wewnętrznym wzrokiem. Mają moc, jakiej nie spotkaliśmy wśród nieprzyjaciół od wieków. Szukają go teraz; ich myśli biegają bezustannie, dręcząc wszystkich Słuchaczy. To prawda, że nie są jawnie spokrewnieni z tymi mrocznymi istotami i dotychczas stanowią dla nas zagadkę. Może to oni umieścili go wśród nas...

— A on potłukł Glob Ummar.

Przez chwilę panowała cisza. Nadaremnie Faree usiłował dotrzeć śladem myśli do tego, który odezwał się ostatni. Znow natknął się na ścianę. Od docierających do niego słów — myślowych słów — bił chłód. Jeśli nawet rozmówcy zdawali sobie sprawę, że je słyszał, nic ich to nie obchodziło.

— Sądzisz więc, że polecono mu to zrobić?

Faree znow odebrał pytanie. Z każdym myślowym kontaktem coraz łatwiej było mu je zrozumieć.

— Nie ciąży na nim cień Niespokojnego. Może to tylko przypadek...

— Jeśli istnieje choćby cień wątpiwości... Tak, masz rację. Uwięźmy go w pobliżu Dróg Hoadów. Osłabnie, jeśli będą go badać wystarczająco długo. Tym lepiej dla nas. Tak zrobimy!

Ostatnie zdanie było zdecydowanym rozkazem. Faree spodziewał się, że nastąpi po



nim jakieś działanie, lecz niczego nie poczuł. Ciemność otaczała go tak ciasno, jakby był jądrem w nierozłupanej skorupie orzecha. Odzyskiwał jednak siłę umysłu i gromadził ją pieczołowicie. Nie rozumiał charakteru więzów, jakimi go skrepowano. Nie miał jednak wątpliwości, że znów stał się bezbronnym więźniem.

Gdy odzyskał wzrok, z początku ujrzał tylko ciemność. Zewsząd dochodził go kwaśny zapach połączony z wonią świeżo rozkopanej ziemi. Na chwilę serce mu zamarło ze strachu, gdyż pomyślał, że pogrzebano go żywcem. Potem poddając swe ciało próbie, starał się usiąść i zdołał to uczynić. Boleśnie otarł sobie górne krawędzie skrzydeł o jakąś szorstką powierzchnię, a kiedy wyciągnął przed siebie ręce, żeby ocenić rozmiary celi — jeśli była to cela — na twarz posypała mu się ziemia.

Palce jego lewej dłoni natrafiły na nierówną powierzchnię, użył tego miejsca jako punktu zaczepienia i podszedł do niego. Znajdowała się przed nim ściana. Obmacując ją, odkrył, że była z kamienia, lecz wyczuwał w niej też zgrubienia mogące być pęczkami zwieszających się z góry korzeni. Poczuł zapach zgnilizny, gdy drasnął paznokciami coś oślizgłego. Biło stamtąd nikiłe światło, wystarczające jednak, aby ujrzeć bulwę trzymającą się kamienia podobnymi do włosów korzonkami. Z otworu, jaki wybił palcem, sączyła się lepka ciecz. Faree szarpał za bulwę, aż wyrwał ją wraz z cieniutkimi korzonkami, i zabrał ją ze sobą. Dawała jednak tak słabe światło, że widział zaledwie kawałek ściany tuż przy tej zaimprovizowanej lampie.

Od miejsca, w którym się zbudził, do narożnika, gdzie zbiegały się ściany, było dwadzieścia kroków. W połowie tej nowej przeszkody znajdowała się ciemna dziura, a z niej sączyła się jakaś ciecz spływająca po kamieniach i tworząca strumyczek u stóp ściany.

Na ten widok poczuł nagle straszliwe pragnienie. Nie miał pojęcia, kiedy ostatni raz jadł albo pił. Czy powinien dotykać tej strużki o oleistym wyglądzie? Nie był pewien. Zastanawiając się, czy to bezpieczne, odwrócił się i poszedł brzegiem potoku służącego mu teraz za drogowskaz.

W pewnej chwili strużka zniknęła w okrągłym otworze w podłodze. Bulwa służąca Faree za latarkę gaśla, więc próbował znaleźć następną. Jednakże tutaj roślinność w sklepieniu przypominała bardziej końce mocnych pnączy. Nagle rozległ się jakiś dźwięk. Strumyczek płynął bezgłośnie i do tej pory panowała przytłaczająca cisza. Faree nie zdawał sobie z tego sprawy, dopóki nie została zakłócona.

Coś zachrobotać, jakby korzenie na górze poruszyły się. Faree uniósł głowę. Nad sobą zobaczył tylko nieprzenikloną ciemność. Ostrożnie spróbował rozłożyć skrzydła. Ich krawędzie znów otarły się o coś na górze, gdyż tunel miał niskie sklepienie, więc zwinął je najciaśniej, jak mógł.

Oprócz pragnienia, o którym starał się zapomnieć, poczuł teraz także głód. Zateśknął za pakietem prowiantu zostawionym w statku.

Statek! Lady Maelen — co się z nią stało, kiedy ciemny glob pękł w jego dłoniach? Co zrobili ci, którzy go tu umieścili? Przenieśli się jakoś do doliny i próbowali uwięzić załogę statku, tak jak jego? Faree czuł wielki respekt i strach przed mocą Maelen — a jeszcze bardziej szanował potęgę Zakatianina. Od niezliczonych wieków lud Zorora gromadził wiedzę i rozwijał utajone zdolności. Nie wszyscy podążali tymi samymi ścieżkami — wiedział, że Zoror eksperymentował z mową myśli i władaniem umysłami. Młodzieniec nie wiedział jednak, jak potężny jest talent historyka. Stanął na chwilę, aby jeszcze raz spróbować psychopolacji — i znów zderzył się z barierą.

Mogli odebrać mu swobodę myśli, ale tym razem nie skrepowali jego ciała. Podczas krótkiego postoju korzenie nad jego głową najwyraźniej się wydłużyły. Z jakiegoś powodu przejęło go to lękiem. Już wystarczająco trudno było mu przebywać pod ziemią; musiał walczyć z odwiecznym strachem przed zamknięciem — pogrzebaniem w tej cuchnącej jamie w ziemi. Światło rzucane przez bulwę stale

słabło. Faree odwrócił się i spojrzął za siebie, chociaż panowała tam nieprzenikniona ciemność.

Niezupełnie. Dostrzegł drobną iskierkę — ogniecie pomarańczowoczerwona jak maleńki rosnący płomień. Dwie — jedna przy drugiej — a tuż za nią następna para. W tej samej chwili w twarz buchnął mu smród dość silny, aby przyprawić go o mdłości pomimo pustego żołądka. Zakrztusił się i walczył z ogarniającymi go nudnościami.

W tej samej chwili odebrał przekaz myślowy. Skontaktował się z jedną z tych istot, które biegały ciemnymi tunelami pod ziemią w dolinie. Docierał do niego straszliwy głód i obraz ohydneho stworzenia pędzącego, aby wgryźć się w jego ciało.

Smród nasilił się, a oczy bestii płonęły coraz większym i jaśniejszym blaskiem. Kierował nią głód, a on był pożywieniem.

Cofając się, Faree przywarł tak blisko do ściany po prawej stronie, na ile mu pozwalały złożone skrzydła. Szukając noża, przypomniał sobie, że nie ma go w pochwie. Do obrony mogły mu posłużyć tylko dwie ręce. Wciąż się cofał, a stwory podążały za nim. Co jakiś czas szybko oglądał się przez ramię, aby sprawdzić, czy nie widać przed nim innych świecących oczu i czy nie wchodzi w pułapkę.

Spodziewał się ataku, lecz najwyraźniej coś udaremniało stworom rzucenie się na niego. Oczywiście podchodziły coraz bliżej, lecz nie tak szybko, jak się spodziewał. Bulwa w jego ręku zgasła. Nadal jednak widział ślepiec.

Posuwając się ostrożnie, sprawdzał, gdzie stawia stopę, aby mieć pewność, że nie straci równowagi. Potem coś kopnął i usłyszał brzęk metalu uderzającego o kamień. Odważył się schylić i po omacku poszukać tego, na co nadepnął. Natrafił dłonią na łańcuch.

Jego część była luźna i łatwo ustąpiła pod szarpnięciem, lecz drugi koniec najwyraźniej do czegoś przymocowano. Pociągnął jeszcze raz i w odpowiedzi dostrzegł błysk światła. Kiedy znów szarpnął, zobaczył blask. Myśliwi zatrzymali się. Wciąż pałali zacieklą nienawiścią, lecz Faree odniósł wrażenie, że zachowywali się teraz ostrożnie, jak gdyby przypadkiem znalazł coś, co zapowiadało kłopoty. Tymczasem ogniwa, które trzymał w dłoni, zaczęły rozgrzewać się, wręcz palić, tak jak przedtem kula. Mimo to nie zamierzał wypuścić ich z ręki. Fakt, że samo podniesienie łańcucha zmusiło przeciwników do zwolnienia kroku, nakazało mu tym mocniej go ścisnąć.

Poświata rozprzestrzeniła się od ogniw w jego ręku na pozostałe. Była silniejsza niż światło, jakie rzucała bulwa. Faree chwycił łańcuch w obie ręce i mocno go szarpnął.

Poczuł opór. Rozjarzyły się jednak kolejne ogniwa, a jego przyzwyczajone już do ciemności oczy dostrzegły, że łańcuch przymocowany był do kółka w ścianie, najwyraźniej mocno osadzonego w jednym z kamiennych bloków. Młodzieniec oglądał go do samego zaczepu. Musiał dzielić uwagę między to, co robił, a groźne ślepiec. Te ostatnie jednak przestały się zbliżać.

Wymacał kółko osadzone w kamieniu. Kiedy go dotknął, poczuł ból tak dotkliwy, jakby włożył rękę do prawdziwego ognia. Cofnął się, lecz nie wypuścił łańcucha. W odróżnieniu od ogniw w jego dłoni, kółko nie świeciło. Skoro niczego nie osiągnął szarpaniem, spróbował je wykręcić. Machnął łańcuchem w lewo najszybciej, jak potrafił. Ogniwa splotły się, a sam łańcuch skrócił, kiedy Faree skręcił jego dwa pasma razem. Jeszcze raz szarpnął.

Rozległ się brzęk i ogniwo łączące łańcuch z kółkiem pękło tak szybko, że Faree poleciał w tył, boleśnie obcierając sobie skrzydła o przeciwległą ścianę. Teraz trzymał w garści kilka zwojów luźnego świecącego łańcucha. Chociaż ścisnął go mocno w dłoni, ogniwa nie parzyły go tak, jak pojedyncze kółko w ścianie. Owinąwszy dość

długi odcinek łańcucha wokół prawej ręki, machnął resztą niczym batem. Ogniwą uderzały w posadzkę za jego plecami z metalicznym brzękiem. Dopiero wtedy w ich blasku ukazało się coś jeszcze — szczerząca zęby czaszka spoczywająca pośrodku sterty kości. Faree nie miał pojęcia, jakie stworzenie skazano na śmierć w tych podziemiach, lecz czerep sprawiał wrażenie ludzkiego.

Przeszedł nad stosem kości, niechętnie trącając czubkiem buta czaszkę, która potoczyła się w tył, w kierunku czyhających ślepi. Zadrżał i znów ruszył wzdłuż prawej ściany pomieszczenia, szybko zwężającego się i przybierającego postać wąskiego tunelu. Łańcuch wciąż świecił i Faree wymachiwał nim w przód i w tył, nie tylko po to, aby ostrzec podążające za nim istoty, lecz także, aby oświetlić sobie drogę.

Nikłe światło znów na coś padło i młodzieniec ujrzał kolejną stertę kości. Tego nieszczęsnego więźnia przykuto jednak do ściany w inny sposób. W blasku uniesionego w górę łańcucha jego oczom ukazała się nieduża metalowa klatka przymocowana do muru mniej więcej na wysokości, do jakiej sięgnąłby mężczyzna wzrostu Vorlunda, a w niej kolejna czaszka i kupka kości. Faree natychmiast przyspieszył kroku. Minął jeszcze dwa przykute do ściany łańcuchy, lecz na żadnym z nich nie wisiał martwy więzień. Potem doszedł do końca korytarza i stanął naprzeciwko wiodących w górę stopni. Sklepienie wznosiło się w tym miejscu, czyniąc miejsce dla schodów.

W tym właśnie momencie zaatakowali łowcy. Najwyraźniej Faree za chwilę miał opuścić ich terytorium, a na to nie mogli pozwolić. Młodzieniec zatrzymał się na czwartym z wytartych stopni i stanął naprzeciw napastników z łańcuchem w rękę. Kiedy się zbliżyli, uderzył. Zadał potężny cios pierwszemu, a potem zamachnął się na drugiego, mając już mniejsze szanse na trafienie. Po raz pierwszy potwory wydały głos — pisk tak wysoki i przenikliwy, że bolały od niego uszy. Dwukrotnie jeszcze jeden ze stworów rzucał się na niego, za każdym razem otrzymując cios łańcuchem. Napastnik, którego Faree trafił na początku, bezskutecznie usiłował podnieść się z miejsca, gdzie padł. Teraz dołączył do niego drugi. Para ślepi zgasła i Faree sądził, że jeden stwór zdechł. Wyglądało na to, że nawet jeśli drugi żył jeszcze, musiał odnieść poważne rany, gdyż nie zaatakował więcej. Leżał obok swego kompana, patrząc na młodzieńca spojrzeniem pełnym nienawiści tak wielkiej, że wydawała się tłumić jego ból.

Faree przyjrzał mu się uważnie, po czym odwrócił się i wszedł na schody. Wciąż oglądał się co kilka stopni, aby sprawdzić, czy ktoś za nim nie idzie. Łańcuch świecił coraz słabiej. Owinął nim przedramię i trzymał przed sobą, żeby oświetlać drogę.

Odkąd zaczął się wspinać, ścieżka zdawała się nie mieć końca. Dwukrotnie wychodził przez otwory w sklepieniu na kolejny ciemny korytarz. Nie kusiło go jednak, żeby badać okolicę. Wolał trzymać się schodów, które wciąż prowadziły w górę.

Przyzwyczajony do nikłej poświaty łańcucha, początkowo nie zauważył słabego światła przed sobą. Wreszcie szary kwadrat przyciągnął jego uwagę, dzięki czemu zebrał resztki gasnących sił, i pośpieszył w stronę szczytu schodów. Znalazł się w dość dużej komnacie. W jednym jej końcu stał piec, a na ścianach wisiały dziwne przedmioty. Nie miał ochoty przyglądać się im bliżej, gdyż pomieszczenie wciąż przepełniała atmosfera takiego cierpienia i strachu, że aż przeszedł go dreszcz. Rozłożył skrzydła i poruszał nimi — miał na to dość miejsca. Na drugim końcu komnaty znajdowały się następne schody, natomiast w jednej ścianie, wysoko poza zasięgiem każdego, kto mógłby tu stanąć, widniał rząd zakratowanych okien. Przez nie do tego pęsnego miejsca wpadało zamglone światło.

Posadzkę zaścierała warstwa kurzu. Wyraźnie odcinały się na niej odciski stóp

Faree. Przenikliwy chłód świadczył o tym, że pomieszczenie było od dawna opustoszałe. Młodzieniec ponownie owinał sobie łańcuch wokół ręki, gimnastykując zdrewniałe skrzydła i rozglądając się wokół. Ogniwa nie świeciły już tak mocno, lecz przypominały dobrze wypolerowane srebro. Z pewnością nie przerdzewiały jak pierścień mocujący albo klatka z czaszką, skąd sypały się czerwone płatki. Faree mocniej owinał łańcuch wokół ramienia i wszedł na schody. Podobnie jak w przypadku stopni w podziemnych korytarzach, za pierwszym podestem zaczynał się następny ciąg schodów. Po prawej stronie znajdował się korytarz, lecz po lewej było okno — na tyle wąskie, że musiał znów zwinąć skrzydła, i na tyle wysoko, iż zmuszony był poluzować łańcuch, żeby chwycić za pręty obiema dłońmi i podciągnąć się, aby wyrzeć na zewnątrz.

Zobaczył przed sobą otwartą przestrzeń, tak jak z komnaty, w której obudził się na początku. Pręty nie pozwalały mu wychylić się dość daleko, żeby zobaczyć, co jest po obu stronach okna. Pośrodku kraty umieszczono metalową brudnoczerwoną płytkę. Z prętów sypała mu się na ręce rdza, a palce drżały od bolesnych skurczy, dopóki znów nie rozluźnił uścisku. Płytkę miała wyryty głęboko wzór i od razu poznał rysunek, jaki na niej widniał. Widywał go w cennych kronikach Zorora — był to starożytny oręż zwany mieczem, dłuższy od noża, i jego zdaniem, mniej poręczny. Klinga do połowy tkwiła w humanoidalnej czaszce szczerzącej zęby długie niczym kły. Sala piętro niżej przypominała mu o cierpieniu i prastarym lęku. Ten wizerunek też budził w nim jakieś uczucia, lecz inne, niezrozumiałe, kryjące jakiś ważny sens.

Głód i pragnienie gnały go dalej. Wspiął się po kolejnych stopniach i znalazł się na końcu wielkiej sali rozpościerającej się przed nim jak komnata w jego śnie, tyle że nie widział w niej błyszczących kryształów. Na ścianach wisiały strzępy zasłon, z których teraz zostały już tylko szmaty. Większość spadła na posadzkę i leżała pod ścianami, butwiejąc. Pośrodku ogromnej sali stał stół. Kurz przyćmił jego żywe barwy, lecz tu i tam — spod przypadkowo startej jego warstwy — prześwitywał blat z ciemnoczerwonego kamienia, czarno żyłkowany i błyszczący. Po obu jego stronach ciągnęły się ławy o lśniąco czarnych podporach i pokrytych kurzem siedziskach. Na stole ustawiono duże puchary na nóżkach. Naczynia miały lekki połysk i gdyby je wypolerować, przypuszczalnie świeciłyby jak łańcuch, który służył Faree za broń.

Na końcu stołu znajdowało się krzesło z oparciem, wykonane również z błyszczącego, czarnego materiału. Na szczycie oparcia wyrzeźbiono czaszkę, białą jak kość, dzięki czemu — pomimo kurzu — odcinała się wyraźnie od tła. Czerep ten przebity był czarnym mieczem. Idąc wzdłuż komnaty, Faree zauważył pod ścianą po lewej stronie sterty zbutwiałych zasłon, które spadły z ogromnych okien. Wszystkie zakratowane otwory miały pośrodku godło z czaszką i mieczem. Po pobycie w podziemiach Faree wydawało się, iż powietrze wpadające przez nie jest tak wonne i świeże, że podszedł do najbliższego z nich.

Dość duże okna znajdowały się znacznie bliżej posadzki niż pozostałe — zupełnie jakby dostosowano je do potrzeb istot jego rozmiarów. Kiedy się przez nie wychylił, po raz pierwszy mógł zobaczyć coś oprócz nieba.

Sądząc po położeniu słońca, musiało być popołudnie pogodnego dnia. Gdy spojrzął w dół, zapomniał o przerażającym mroku budowli. Poniżej rzeczywiście były mury. Jednakże to, co znajdowało się w ich obrębie, sprawiło, że jęknął ze zdumienia. Dostrzegł bowiem morze zieleni, chociaż po pierwszym, pełnym niedowierzania spojrzeniu rozpoznał splątany gąszcz drzew i krzewów, a w samym jego środku coś, co mogło być jedynie stawem. Z jednego z drzew ze śpiewem zerwał się jaskrawożółty ptak.

Później zobaczył taras i schody wiodące do tej miniaturowej puszczy. Ruszył w ich kierunku, starając się znaleźć drzwi, którymi mógłby wyjść na wolność. Stąpił po

wielkiej stercie szmat rozpadających się w proch pod jego dotykiem. Unoszące się w powietrzu kłęby kurzu wywoływały u niego ataki kaszlu i zmusiły go do zmrużenia oczu. Potem znalazł drzwi — zamknięte. Szarpnął nadwieszoną przez czas zasuwę i wyszedł na taras.

Chwiał się na nogach i musiał zejść po schodach bokiem, obiema rękami trzymając się poręczy. Łańcuch zarzucił sobie na szyję. Słyszał zew wody — znalezienie sadzawki otoczonej zielenią i ugaszenie pragnienia było teraz jedyną rzeczą, jaka się liczyła.

## Rozdział 13

Żółte ptaki skrzeczały mu nad głową, wyrażając niezadowolenie z faktu, że kradnie owoce z należącego do nich drzewa. Wszystko wskazywało na to, że oprócz ptaków i jakiegoś puchatego zwierzątka, które uciekło mu spod nóg, trzymając mocno w zębach jedną z tych bladozielonych kul, jakimi sam się teraz pożywiał, od dawna nikogo tu nie było. Młodzieniec odważył się napić z sadzawki i łapczywie wgrzyźć się w miąższ owocu, mając nadzieję, że ani jedno, ani drugie nie zawiera nasion śmierci dla przybyszów z obcych planet.

„Tyle że... on przecież nie był przybyszem z obcego świata” — pomyślał, sięgając po kolejny owoc. Żyły tu istoty podobne do niego. Poza tym miał jeszcze te dziwne przebłyski wspomnień, którym udało się skruszyć tę przeklętą blokadę pamięci. Dzięki nim wiedział, że jego rasa nie jest tu obca, chociaż nie rozpoznawał tego miejsca.

Zaspokoiwszy pierwszy głód, wspiął się ponownie na taras, gdzie ani drzewa, ani krzaki nie przeszkadzały mu rozłożyć w pełni skrzydeł. Stamtąd wzbił się w powietrze, aby lepiej przyjrzeć się okolicy.

Kiedy wznosił się w przestworza, okolony murami ogród stał się jaskrawozielonym kwadratem, a ciemna bryła budynku nabrała jeszcze bardziej złowieszczego wyglądu. Sprawiała takie wrażenie nie tylko z powodu wysokości murów i wież. Fakt, że wieńczyła niebosiężny płaskowyż okolony niższymi wzniesieniami, czynił ją jeszcze bardziej imponującą. Miała tam trzy wieże, jedną dużą nad głównym gmachem, przez który wyszedł do ogrodu, oraz po jednej stronie dwie niższe i smuklejsze. Mury zamku wznosiły się nad samym skrajem przepaści — jak gdyby wyrosły z rodzimej skały.

Faree podleciał bliżej do dwóch wież i niewielkiej otwartej przestrzeni przed nimi. Teraz widać było, że strzegły przejścia — masywnych wrót zamkniętych mocno przed światem zewnętrznym. Jednakże od placu przed nimi wiodła w dół ścieżka wykuta w skale, miejscami dość stroma, przechodząca w kamienne schody.

Zniżywszy lot, stwierdził, że ta droga również była zamknięta, gdyż po pewnym czasie kamienne stopnie niespodziewanie się kończyły. Dalej ciągnęła się tylko skała, na której stał zamek, chociaż trochę niżej wciąż widniały pozostałości zniszczonych schodów.

W dole na ziemi widać było ślad czegoś, co przypuszczalnie było niegdyś drogą. Wiło się między kępami dziwnie powykrzywianych, bezlistnych drzew. Faree zniżył lot jeszcze bardziej, aż prawie muskał wierzchołki drzew martwego lasu. Wszystkie konary były tak poskręcane, jakby ktoś celowo je powykrzywiał i tak zostawił. Tu i tam prześwitywały chorobliwie żółte i niepokojąco czerwono-brązowe plamy, jakies grudy przyczepione do pni albo cienkich gałązek. Faree poczuł muśnięcie tego samego niepokoju, jaki ogarnął go w tej niemiłej komnacie na zamku. Tu przebywało coś złego i było dość potężne, aby całkowicie unicestwić wszelkie życie i nadzieję.

Martwy las rozciągał się od stóp płaskowyżu, z którego wyrastał zamek, po horyzont. Choćby nie wiem, jak wysoko Faree się wznosił, nigdzie nie było śladów zieleni. Wreszcie na końcu tej udęczonej puszczy znów zobaczył góry, takie, jakie stały między statkiem a drugą górską twierdzą, którą spowijała mgła.

Zawrócił i poleciał wzdłuż ściany jednej z dwóch wież, znów szukając ogrodu z potrzebnym mu pokarmem. Pomiedzy wieżami na potężnej bramie widniało wypukłe godło, które już widział w zamku, chociaż tym razem czaszka była czerwona, a miecz stracił rękojęść.

Kiedy Faree przelatywał obok drugiej wieży, niespodziewanie przyłączyło się do niego stado ptaków, nie tych żółtych z wewnętrznego ogrodu, lecz większych i z wyglądu bardziej agresywnych. „Jeśli to w ogóle ptaki” — pomyślał na widok stworzeń krążących wokół niego, po kolei podfruwających coraz bliżej, aż zaczął się obawiać, że któreś z nich uderzy go zakrzywionym dziobem w jedno albo drugie skrzydło.

Były prawie tego samego koloru, co narośla na uschniętych drzewach i chociaż ciała miały pokryte piórami, na ich skrzydłach przeświecały płaty gołej, szarej skóry. Przyglądały mu się badawczo — zupełnie jakby sprawdzały potencjalnego wroga przed rozpoczęciem napaści.

Ich widok tak zaniepokoił Faree, że omal nie uciekł od zamku i nie zawrócił w stronę martwego lasu. Tylko konieczność zdobycia pokarmu i wody nie pozwalała mu opuścić drogi wiodącej do zarośniętego ogrodu. Znajdował się właśnie nad bryłą zamku, a po lewej stronie miał najwyższą wieżę, gdy ptaki, dotychczas lecące w ciszy, niespodziewanie wydały kilka ochrypłych wrzasków i rozpierchły się.

Z najwyższej szczeliny okiennej wieży wystrzeliła smuga światła. Nie wymierzona w niego, raczej w ptaka. Trafione stworzenie wrzasnęło i skreśliło gwałtownie, łopocząc postrzępionymi skrzydłami w rozpaczliwym pośpiechu, mimo to tracąc wysokość.

Pozostałe ptaki już zawracały do wieży przy bramie, z której najwyraźniej przyleciały, tylko ranny wylądował na dachu i skakał po nim, powłócząc jednym skrzydłem, jakby nie mógł go już zwinąć.

Faree trzymał się z dala od linii ognia. Kto jeszcze bronił tego opuszczonego od pokoleń — sądząc po tym wszystkim, co dotychczas widział — miejsca?

Szczelina okienna, skąd strzeliło światło, była równie głęboka, co wąska, i nie zauważył niczego — ani nikogo — w środku, chociaż czuł, że spokój ogrodu został zmacony. Tak czy inaczej, nie miał najmniejszej ochoty znów się zapuszczać w głąb ponurego zamczyska. Wybrał sobie natomiast miejsce, gdzie mógł się zmieścić pod drzewem, jeśli będzie pamiętał o tym, żeby mocno zwinąć skrzydła. Z wysokiej trawy, którą wyrwał z kępy u stóp tarasu, zaczął splatać swego rodzaju sieć. Czynił to z uwagą, a w jego palcach najwyraźniej zbudziły się umiejętności, jakich sam się nawet nie spodziewał.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, kiedy zawiązał ostatni supeł. Pozwolił sobie na długi łyk wody z sadzawki i zbudował byle jakie gniazdo z liści, zgarniając je spod największego drzewa. Być może układanie się tutaj do snu było czystym szaleństwem, lecz podczas lotu nie znalazł lepszego miejsca, a bardzo nie chciał ponownie wchodzić do zamku. Objadłszy się owocami do syta, wyciągnął się na posłaniu, jeszcze nie po to, aby spać, chociaż słońce już schowało się za górami, lecz aby jeszcze raz wypróbować swoją umiejętność szukania psychicznym zmysłem.

Niewątpliwie sięgał teraz dalej! Skupił się na odległym skraju zarośniętego ogrodu i szedł powoli, w każdej chwili gotów wycofać się do własnego wnętrza. Wyczuwał tętno życia — były to ptaki i być może te zwierzątka, które kradły opadłe owoce. Żadne nie zdradzało najmniejszych śladów innych intencji. Zastanowił się nad próbą dotarcia do wieży, lecz szybko doszedł do wniosku, że niewiele zyska, jeśli znów ściągnie na siebie uwagę głosów, którym nie umiał udzielić odpowiedzi.

Ocknął się raz, kiedy w pobliżu rozległ się wrzask jednego z wyleniałych ptaków i odbił się echem od murów. Jego ciało było zmęczone i pragnęło odpoczynku, lecz umysł — czujny — myszkował trochę tutaj, trochę tam. Znalazł kolejne zwierzę, mieszkańca podziemnych nor, nocnego łowcę, i przyczepił do niego nić poszukiwań.

Gdy nić zaczęła się rozwijać, wpadł w podniecenie. Bariera wokół niego albo wreszcie znikła, albo osłabła. Zwierzątko, któremu towarzyszył, biegło bez wątpienia

jednym z wewnętrznych korytarzy ciemnej, opuszczonej twierdzy za nim. Gdyby tylko Toggor był tutaj! Miał trudności z utrzymaniem kontaktu z malutkim z umysłem pojawiającym się i znikającym na najniższym paśmie, jakie znał.

Znajdował się w zamku — i polował, chociaż nie miał pojęcia, jakie inne stworzenie mogło tu żyć. Kamienne mury były zbyt nagie — nie było tu żadnych jadalnych odpadków, na jakie można byłoby się natknąć, gdyby zamek był zamieszkały. Zwierzątko wspinało się przez ciasną szczelinę. Zdołało przecisnąć się przez miejsca o połowę węższe od jego ciała.

W jego umyśle nie było niczego oprócz głodu i niecierpliwego poszukiwania pożywienia. Było również głęboko przeświadczone, że znajdzie tu łatwy łup. Tak jak rybak, który bawi się z jakimś większym od siebie morskim stworzeniem i pozwala mu nadaremnie uciekać, trzymając je tylko na uwięzi cienkiej linki, tak Faree szedł w ślad za nocnym łowcą. Zwierzę odczuwało teraz podniecenie; zbliżało się do swego ulubionego miejsca poszukiwań. Faree nie miał mocy Maelen ani Vorlunda; nie potrafił widzieć oczami myśliwego ani nawet zobaczyć tego, na co polował.

Łowca zwolnił, zachowując większą ostrożność, i posuwał się naprzód krótkimi zrywami, najwyraźniej biegnąc od jednej kryjówki do drugiej. Potem...

Faree rozluźnił kontakt i wycofał się, mając nadzieję, że nie został zauważony. Tam był inny umysł — nie zwierzęcy — potężny, wręcz przytłaczający, chociaż ledwo go musnął. Ktoś pełnił straż. Faree wstał, zwijając skrzydła najciaśniej jak potrafił i spróbował spojrzeć na wschód — w stronę wieży, której niewyraźny cień majaczył w szybko zapadającej ciemności. Czy po tej stronie znajdowały się jakieś okna? Nie pamiętał. W ustach mu zaschło, a dłonie lepiły się do osłaniających go grubych gałęzi. Znów ogarnął go strach, tym silniejszy, że nie wiedział, co jest jego źródłem. Otoczył się barierą umysłowej nicości i czekał — sam nie wiedział na co.

Czas upływał. Pulsujący ból, którego się spodziewał, nie nadszedł. Mimo to Faree nie odważył się ponownie poszukiwać. Toggor — strasznie tęsknił za smakiem. Przedtem bawili się razem, grali w gry wymagające udziału ich obu. Wciąż czekał na atak, chociaż w wieży nie paliło się światło i nic nie wskazywało na to, aby poza tym zwierzęciem było tam cokolwiek.

Wreszcie ponownie ułożył się na posłaniu z liści. Jedyne, co mógł zrobić dla swego bezpieczeństwa, to stanowczo zaprzestać dalszych takich eksperymentów.

W powietrzu unosił się ciężki zapach nocnych kwiatów, dopiero co rozchylających płatki, i każdy z tych wielkich pąków rozsiewających teraz bladą poświatę, ściągał ku sobie liczne owady.

Baśniowy czar — takich dziwnych słów użył Zoror. Faree zdawało się, że wyczuwa w wieczornym powietrzu jakąś miękkość, jakby obronę przed surowością kamiennych murów otaczających to miejsce. Powoli rozejrzał się wokół, nieomal spodziewając się ujrzeć jakąś zachodzącą zmianę.

Jego początkowa nieufność ustępowała i nagle uświadomił sobie, czym to może grozić. Mógł być pod wpływem jakiejś siły, której pojawienia się nie wyczuł. Nadał myślowe przesłanie, gdyż musiał się dowiedzieć...

Wyczuwał obecność drobnych zwierząt w ogrodzie i nie odczuwały one strachu ani niepokoju. Jeśli cokolwiek starało się go poruszyć, posyłało wąską wiązkę wymierzoną tylko w niego. Jeszcze raz spojrział w górę, odsuwając usianą kwiatami gałąź, aby spróbować spojrzeć na najwyższą wieżę, gdyż był przekonany, że wykryty przez niego rozum znajduje się właśnie tam.

Wtedy zobaczył błękitne kółko tego samego koloru, co promień, który strącił z nieba ptaka. Kiedy Faree je obserwował, przesunęło się lekko w prawo. Krążek był zbyt duży jak na oko, ale młodzieniec wiedział, że spełniał dla kogoś taką funkcję.

Dysk przesunął się dalej w prawo, tak że widać dostrzegwał ledwie jego krawędź.



Potem musiał polecieć jeszcze dalej, gdyż nagle znikł. Czy Faree zdołałby uciec na zachód, gdy oko było odwrócone? To mogło się udać, lecz w tej chwili wydawało mu się, że szansę są zbyt nikłe. Patrzył, jak oko wynurza się po lewej stronie i sunie dalej, aż ujrzał dysk w całej jego okazałości. Potem krążek przestał się poruszać i zawisł na tle czerni nocnego nieba.

Fakt, czy z takiej wysokości potrafił dostrzec miejsce, gdzie Faree się ukrywał, był kolejną rzeczą, jakiej mógł się tylko domyślać. W każdej chwili spodziewał się wpaść w jakąś nieznaną pułapkę. Jego obecność mogła zostać zauważona już w chwili, gdy wyszedł z podziemi i stanął w tej ohydnej komnacie na dole. Musiał zostać zauważony, kiedy leciał nad uschniętym lasem...

I tak też się stało... Nadeszło to, czego od tak dawna się spodziewał... nie był to jednak cios, lecz raczej powitanie. Nie czuł niebezpieczeństwa...

Faree wyślizgnął się ze swego gniazda i wyszedł na taras, skąd wzbił się w powietrze. Kiedy wleciał ponad zapach nocnych kwiatów, w jego umyśle pojawił się obraz miejsca, gdzie go wzywano. Znajdowało się tutaj — mocne kwadratowe lądowisko na dachu u podnóża wysokiej wieży.

Ponownie zwinąwszy skrzydła, podszedł do drzwi, które stały lekko uchylone, jakby na jego powitanie. Wiedział tylko, że musi to zrobić i w miarę upływu czasu ta potrzeba stawała się coraz bardziej nagląca. Znów szedł po schodach wijących się we wnętrzu wieży. Stopnie były na tyle szerokie, aby mógł na nich pomieścić stopę, jego zwinięte skrzydła ocierały się o ściany.

Przyspieszył kroku, nękany jakimś niepokojem. Potrzeba — był potrzebny! Miał tak mało czasu...

Czasu na co? — zaciekawiała się głęboko skryta część jego jaźni. Nie uświadamiał sobie potrzeby odpowiedzenia na żadne pytanie.

Górną część schodów zalewało światło — nie czerwonożółty blask płomieni, poświata ze ścian statku, ani też żaden inny rodzaj oświetlenia, jakie mu przychodziło na myśl. Było niebieskie — jak to czujne oko. Wszedł do pokoju, który niewątpliwie zajmował cały szczyt wieży.

Kobieta siedziała na krześle z błyszczącego kryształu, skrzącego się i odbijającego światło. Ręce, wychylające się z obszernych rękawów, złożyła w taki sposób, że palce wskazujące dotykały jej warg, a łokcie opierały się na poręczach krzesła.

Na pół rozpostarte skrzydła Faree zadrżały. Młodzieniec popatrzył na nieznajomą i ich spojrzenia skrzyżowały się. Z pewnością dorównywała wzrostem Maelen i nie miała skrzydeł. Włosy, w tym świetle bladoniebieskie, w rzeczywistości musiały być srebrzyste i bardzo delikatne. Opadały swobodnie na jej ramiona i spływały po plecach, przykrywając suknię niczym płaszcz.

Klejnoty błyszczące jak roziskrzony tron, na którym siedziała, mieniły się tu i tam wśród pukli, jakby nanizano je na same włosy. A na gorsie jej sukni widniało godło — rozpostarte lśniące skrzydła.

Faree wpatrywał się w nią. Jedną ręką niepewnie dotknął głowy. Znów poczuł szybko narastający ból. Wzrok mu się mącił i wyciągnął przed siebie drugą rękę w geście protestu.

— Zatem koło rzeczywiście się odwróciło. — Słowa docierały do niego przez mękę. — To, co pograżyło się w ciemności upadku, znów stara się wznieść. Nie jest jednak zupełne, prawda, maleńki? Pieczęć Fragona niełatwo złamać. Powiedz mi teraz, jak się nazywam?

Usta Faree były tak suche, jak gdyby wyszorowano je pustynnym piaskiem. Szepnął:

— Selrena...

Kobieta poruszyła dłońmi, tak że jej palce wskazujące nie znajdowały się już na

wysokości warg, lecz mierzyły prosto w niego, jakby chciała wbić go na ich szpiczaste paznokcie.

— Ach, tak... — Pokiwała głową i klejnoty wplecione w jej włosy zatańczyły olśniewająco. Ból ustępował i Faree znów widział wyraźnie. — A kim ja jestem, maleńki?

Na to nie umiał odpowiedzieć. Mur w jego głowie był jak zawsze nietknięty.

— Tego... nie wiem.

Nie zmarszczyła brwi, lecz Faree wyczuł jej chwilowe zniecierpliwienie.

— Fragon! — rzuciła z odrazą, lecz potem najwyraźniej zreflektowała się i uzbroiła w cierpliwość. — Przynajmniej jesteś Langrone. Spójrz!

Nakazujący ton i gest wskazującego palca spowodował, że Faree natychmiast spojrział na podłogę, gdzie zobaczył okrąg o błyszczącej błękitnej powierzchni. Oko... ale...? Kobieta najwyraźniej podchwyciła jego myśl.

— Oko? Tak, to coś w rodzaju oka. Musimy się jednak upewnić...

Wtargnęła do jego wnętrza. Ulotne obrazy migały przed nim i wokół niego. Po raz kolejny życie przemknęło mu przed oczami. Potem, czując się tak, jakby go złapano i wyssano z niego większość sił, znów stał chwiejnie na krawędzi niebieskiego dysku.

Selrena nie wstała z krzesła, lecz położyła ręce na jego poręczach i po raz pierwszy jej spokojna twarz naprawdę coś wyrażała.

— Z innej planety... — mówiła jakby do siebie — i ci przybywający z tobą... To, co zaplanowane, można zmienić, kiedy są nowe pasma do wplecenia. Teraz... — W jej głosie brzmiała ta sama siła, co w rozkazie zmuszającym go do krótkiego powrotu do przeszłości. — Patrz... sięgaj...

Faree padł na kolana, głównie dlatego, że nie mógł już dłużej stać prosto, i nachylił się nad dyskiem, przyglądając mu się równie intensywnie, co kobiecie w chwili spotkania.

Nic nie zapowiadało sceny, która natychmiast się ukazała. Uczestniczył w niej prawie tak samo, jakby rzeczywiście stał w kabinie sterowniczej statku. Zoror siedział na miejscu pilota, a Maelen i Vorlund stali. Oboje odwrócili głowy w jego kierunku, a na ich twarzach odmalowało się zdumienie. We wnętrzu Faree doszła do głosu obca wola. Przedtem sam używał zwierzątka z ogrodu, żeby wykryć niebezpieczeństwo, a teraz nim posłużono się w taki sam sposób.

Vorlund nadal stał ze zdziwioną miną, lecz Maelen uniosła rękę i poruszyła palcami. Młodzieńcem wstrząsnęło uczucie zaskoczenia — ten, kto się nim posługiwał, nie oczekiwał takiej reakcji. Obok zaskoczenia pojawiła się teraz odrobina niepewności.

Zmysł psychopolacji Faree podporządkowano cudzej woli i skierowano na Maelen, gdzie natrafił na nieprzenikniony mur. Potem został rzucony w stronę Vorlunda i wdarł się do środka, lecz tylko na chwilę. Ostre szarpnięcie i znów znalazł się na zewnątrz. Potem Zakatianin...

I znów obrona okazała się zbyt silna, aby mógł wytrzymać.

— Faree! — Maelen odpowiedziała na jego myślowe wezwanie. — Faree, gdzie... — Nie dokończyła pytania.

Pomiędzy jego oczami i dyskiem mignęła biała dłoń, muskając palcami powierzchnię krążka. Scena, jeszcze przed chwilą tak wyraźna, zniknęła. Faree uniósł głowę powoli i znów spojrział na Selrenę. Była jedną z Dardów, a oni nigdy nie wyjawiali swoich zamiarów. Dla nich skrzydlaci byli jak dzieci: to kolejny strzęp wiedzy z przeszłości.

Stała teraz nad nim, nie patrząc już w dół, lecz na wąską szczelinę w ścianie od zachodu. Przygryzała dolną wargę, zastanawiając się nad czymś.

Faree był tak zmęczony, jakby od wielu dni obywał się bez odpoczynku, i ledwo

powstrzymywał opadające powieki.

— Ktoś nowy, obdarzony mocą! — powiedziała powoli Selrena. — I nie przybywa, aby walczyć z nami, lecz po ciebie! — Zgarnęła fałdy szaty i podeszła do stojącego w pobliżu stolika. Podniosła czarękę, postawiła ją na dłoni, wysypała do niej zawartość dwóch małych pudełek i dodała płynu z wysokiej butelki. Trzymając miseczkę w obu rękach, powoli przechylała ją na boki, po czym podała Faree, obchodząc dysk dookoła.

— Pij! — rozkazała stanowczo.

Młodzieniec był jej posłuszny. Płyn gęsty, lecz płynny, miał ostry, palący smak, więc szybko go przełknął. Gorąco spłynęło mu do gardła i nagle uświadomił sobie, że ponure ściany tak wyiębiły nie tylko komnatę, ale i jego samego. Zesztywniały od tego chłodu, teraz czuł się rozluźniony.

Selrena usiadła na kryształowym krześle i przyglądała mu się z miną osoby starającej się rozwiązać jakiś problem. Kiedy odstawił czarękę, ponownie wskazała dysk na posadzce. Nachylił się lekko w przód, ciekaw, czy znów zobaczy towarzyszy. Nie czuł już znużenia, które go dręczyło od chwili, gdy wyszedł z podziemnych korytarzy; nie odczuwał też żadnego przymusu. Może to znów był baśniowy czar Zorora, lecz nie miał ochoty z nim walczyć.

— Kim są twoi przyjaciele? — Kobieta była bezpośrednia i rzeczowa.

Choć podczas sprawowania kontroli nad jego umysłem musiała poznać większą część historii jego życia, Faree opowiedział jej wszystko jeszcze raz, częściowo myślowymi obrazami, częściowo mową. Używał uniwersalnego języka międzygwiazdnych szlaków, lecz mimo to najwyraźniej zrozumienie go nie sprawiało jej większego trudu.

Kiedy opowiadał o ich przygodach na Yiktor, przerywała mu kilkakrotnie, przeważnie po to, aby poprosić o powtórzenie czegoś, co powiedział o Maelen albo Thassa, których spotkał.

— Skąd oni pochodzą? — spytała niespodziewanie. — Ci porozumiewający się myślami nie tylko między sobą, lecz także ze zwierzętami i innymi formami życia na swej obecnej planecie?

Faree potrząsnął głową.

— Nie wiem. Wiem tylko, że są bardzo starym ludem. Żyli niegdyś w miastach, lecz teraz podróżują po całym świecie, nie mając prawdziwego domu.

— Mają jednak moc. — Dłoń spoczywająca na jej kolanie zacisnęła się w pięść. — Teraz... — przeszła do innego tematu — opowiedz mi więcej o tym Zakatianinie, skąd pochodzi i dlaczego grzebie w starych legendach? Czy szuka skarbów, do czego najwyraźniej dąży wiele ras i gatunków?

— Zakatianie szukają wiedzy. Na swojej planecie gromadzą wszystko, czego zdołają się dowiedzieć...

— Po co? — dopytywała się kobieta.

— Wiem tylko, że dla nich sama wiedza jest skarbem. Czasami opuszczają swój świat, jak zrobił to Zoror — żeby zamieszkać na innej planecie, gdzie ląduje wiele statków, i zbierać wieści z wielu odległych miejsc — albo badają starożytne ruiny, szukając informacji na temat tego, kto je zbudował, kiedy i dlaczego...

— Więc to ten Zoror powiedział ci o Ludkach i przyleciał z tobą ich szukać — wyłącznie po to, aby powiększyć swój zbiór wiadomości? A może miał jakiś inny powód — może chciał odnaleźć Krainę Zagłady? Szukający tam skarbów, znajdują tylko śmierć. Istnieje wiele opowieści o tym, co można tam odkryć, lecz nie bez przyczyny nie można im ufać. Śmierć strzeże tego, co do niej należy. Mimo to fakt, że nie zapomniano o Ludku i ktoś go szuka... — znów spojrzała ponad głowę Faree na ścianę okrągłej komnaty — skłania do zastanowienia.

— On nie jest łowcą skarbów... — zaczął Faree, a kobieta roześmiała się, choć dźwięk ten przeszył go chłodem.

— Skądże, przybywa po to, żeby cię zwrócić krewniakom. Tym się więc chełpi?

— On się nie chełpi. Tak, pragnął pójść za głosem pragnienia, które mnie tu przywiodło. A lady Maelen i jej lord byli podobnego zdania.

— Piękna bajka. — Kobieta znów parsknęła śmiechem.

— Siedzisz więc teraz w twierdzy należącej kiedyś do Fragona i podsuwasz mi łamigłówki do rozwiązania. Ja zawsze potrzebuję odpowiedzi. Aczkolwiek... — przechyliła lekko głowę i spojrzała na niego uważnie — właśnie tego... Tak!

— Klasnęła głośno w dłoń. — Nie mógłbyś lepiej się nam przysłużyć, skrzydlaty. Skoro już tu jesteś, bądź pewien, że zrobię z ciebie dobry użytek. Chodź... — Wstała z krzesła i skinęła na niego. Faree wstał.

Zaczekała, aż podejdzie, a wtedy chwyciła go mocno za ramię i pociągnęła za sobą. Byli pod ścianą, kiedy stanęła i drugą ręką dotknęła kamienia. Faree nie wiedział, co zrobiła, lecz duża część muru padła przed nimi, tworząc gzyms otoczony z trzech stron nocą.

Selrena szybko uniosła dłoń leżącą na ramieniu Faree i dotknęła miejsca między jego oczami.

Młodzieniec wybiegł na platformę. Zadano mu pytanie, na które tylko on mógł odpowiedzieć — i musiał to zrobić, natychmiast! Rozpostarł skrzydła i gwałtownie wzbił się w nocne niebo.

## Rozdział 14

Taki sam zew wywabił go wcześniej ze statku i w żaden sposób nie mógł mu się oprzeć. Ziemię w dole skrywał mrok; jedynym światłem — oprócz blasku bardzo odległych gwiazd — była złowieszcza zielonkawa poświata martwego lasu. Żaden ptak nie wzbiał się za nim w niebo ani nie niepokoił go w czasie lotu. Próbował wybiec umysłem naprzód, wyszukać źródło tego sygnału, lecz ustalił tylko, że leży gdzieś na zachodzie. Tymczasem na wschodzie... Przez głowę przebiegła mu myśl o statku i czekających na niego towarzyszach. W żaden sposób nie mógł jednak oprzeć się sile każącej mu oddalać się od miejsca, gdzie mógłby znaleźć bezpieczne schronienie i pomoc.

Zmęczenie ustąpiło. Być może — przyszło mu na myśl — zwalczył je napój podany przez Selrenę. Poruszał się dość szybko. Minął uschnięty las i przeleciał nad kolejną skalną ścianą, równie wysoką, co wzgórze, na których wznosił się zamek. Zgasła poświata grzybokszałtnych narośli i znów znalazł się nad nagimi skałami.

Leciał nad nimi dość długo, odkrywając, że w ciemności widzi lepiej niż mu się wydawało, kiedy dostrzegł przed sobą światło dużo silniejsze od tego, jakie biło od lasu. W tym samym czasie wabiący go krzyk przeszedł w głośny jęk, a potem ucichł.

Odtąd panowała już cisza. Siła, zmuszająca go do lotu przed siebie, zelżała nieco. Zmniejszył szybkość, odzyskując częściowo panowanie nad własnymi ruchami. Widoczny przed nim snop światła stał się słupem, kolumną strzelającą w niebo. Światło statku! Na pewno tak!

Znajdujący się w tym miejscu pojazd nie mógł być tym, do którego pragnął polecieć. Kiedy do jego umysłu przestał docierać zew zagłuszający i przytępiający pozostałe zmysły, znów mógł trzeźwo myśleć. Byłby głupcem, gdyby pomknął wprost ku tej kolumnie światła. Jeszcze raz spróbował oprzeć się przymusowi i polecieć na wschód. Nie odzyskał jednak wystarczającej swobody, aby to zrobić.

Pasma wzgórz, nad którymi przelatywał, skręcało na północ, i Faree stwierdził, że może zboczyć z kursu na tyle, aby posuwać się wzdłuż ich nierównej linii.

— Granica! Granica!

Miał wrażenie, że ktoś krzyknął mu te słowa do ucha. Skręcił w bok, wstrząśnięty tym najsilniejszym i najboleśniejszym z myślowych przekazów, jakie dotychczas odebrał. Skierował się w lewo i dopiero po czterech silnych rozpaczliwych wymachach skrzydeł pozbył się okropnego dzwonienia w głowie.

Pomimo cierpienia nie odzyskał wolności. Leciał zygzakiem, mimowolnie wciąż kierując się na północ, starając się przekroczyć jakąś niewidzialną barierę. Przy każdej próbie słyszał jednak w głowie przeraźliwe brzęczenie, od którego wirowało mu przed oczami. Znów skręcił w lewo i wykonał skok w powietrzu.

— Granica!

Otępiący od bólu głowy, z wrażeniem, że wszystko w dole wiruje opętanczo, leciał dalej. Musiał przebić się przez barierę, lecz ledwo zdawał sobie sprawę, że wciąż jest w powietrzu i znów zmierza w stronę odległego snopu światła. Powoli przychodził do siebie po ostatnim przykrym spotkaniu. Ponownie znalazł się na otwartej przestrzeni i zostawił za sobą strome skalne ściany, kiedy niezależnie od swej woli zdążył w stronę oddalonej kolumny jasności.

Nie było już słychać wabiącego go skowytu, lecz mimo to Faree był pewny, że miał związek z tym światłem. Wkrótce krążył wokół obozu będącego prawdopodobnie siedzibą przybyszy z obcej planety.

Stojący na otwartej przestrzeni statek był nieco większy od tego, którym sam

przyleciał. U podnóża spuszczonego trapu stało kilkanaście namiotów, co wskazywało, że obóz założono już jakiś czas temu. Latarnia, która zważyła Faree, znajdowała się na szczycie statku i mierzyła prosto w nocne niebo. Być może służyła za drogowskaz tym, którzy podróżowali po planecie — ostrzegała lub wzywała.

Na dole świeciły słabsze światła. Faree wylądował, pośpiesznie zwinął skrzydła i znów stąpał po ziemi. Czyżby osoby przebywające w statku i obozie wciąż nie zauważyły jego przybycia? Widział zbyt wiele urządzeń pokładowych, aby sądzić, że nie działał żaden system ostrzegania przed wizytami nieznajomych.

Główny reflektor na ziemi oświetlał miejsce, gdzie stał śmigacz — lekki pojazd zwiadowczy. Faree widział sylwetki pracujących przy nim ludzi; domyślał się, że go naprawiali. W obozie stało pięć namiotów. Cztery małe, mogące pomieścić w najlepszym przypadku dwóch ludzi, otaczały pojedynczy, trzykrotnie od nich większy.

Oczy Faree szybko przyzwyczyły się do silnego blasku, jaki padał od latarni i reflektorów u jej podnóża. Teraz już widział, kto tam pracował — albo przyglądał się z boku. Z tej odległości wszyscy wyglądali na ludzi. Nie dostrzegł jednak żadnych mundurów, a już na pewno niczego, co wskazywałoby, że stanowią zwiad Patrołu, który z powodu jakiś kłopotów zmuszony był wylądować i ustawić latarnię, aby wezwać pomoc. Statek na pewno nie był pękatym frachtowcem, nawet o takim ograniczonym tonażu, jakim mogłaby przylecieć załoga Wolnych Kupców.

Naliczył siedmiu mężczyzn — trzech zajętych pracą we wnętrzu śmigacza, dwóch obserwatorów i jeszcze dwóch przy wejściu do jednego z małych namiotów. Ich pozy wskazywały, że stali na straży — co powinno oznaczać obecność jeńca. Wspomnienia szybko podsunęły mu obraz — czyżby to tutaj przetrzymywano tę nieszczęsną Atrę, o której słyszał? Wtedy dotarł do niego psychiczny przekaz, jakby sama myśl o jej imieniu rozluźniła czyjś mocny uścisk.

— Na pomoc, och, skrzydlaty bracie, na pomoc!

Błagalny impuls nie uderzył mocno ani nie wniknął głęboko; był raczej cichym szeptem. Faree natychmiast wznosił psychiczną osłonę i zaszył się głębiej w pobliskich zaroślach.

— Skrzydlaty bracie... — Był to żałosny lament, wołanie istoty w wielkim niebezpieczeństwie, wzywającej pomocy wbrew wszelkiej nadziei na ratunek. To nie on ściągnął tu Faree wbrew jego woli; resztki tego przymusu spłonęły podczas walki z tym, co krzyczało do niego: „Granica”. Mimo to miał nad nim władzę, pozbawiał pewności, co tam robił i dlaczego.

Po trapie statku zbiegł mężczyzna i pobiegł pośpiesznie w stronę strzeżonego namiotu. Do Faree dotarło ciche echo krzyku. Wartownicy odwrócili się raptownie; jeden stanął przed drzwiami z bronią w rękę, drugi pośpiesznie okrążył podobne do bańki schronienie, aby zajrzeć na tyły.

Nadbiegający człowiek odepchnął strażnika i podniósł zasłonę w wejściu, podczas gdy obaj wartownicy krążyli wokół namiotu, obserwując otoczenie i trzymając broń w pogotowiu.

Faree zatęsknił za Toggorem. Gdyby tylko mógł wysłać smaksa do środka, widzieć jego oczami jak dawniej...! Tylko że teraz nie miał go za pazuchą i mógł polegać wyłącznie na sobie.

— Skrzydlaty bracie... Faree... chodź... chodź...!

Skowyt w jego głowie omal nie wywabił go kryjówek, aby sprowadzić do obozowiska. Przynęta! To przynęta w zastawionej pułapce. Ta druga prośba o pomoc brzmiała jednak inaczej — było w niej coś, co zagłuszyło gniew i strach Faree.

— Nie! Nieee...!

Zacisnął dłonie na otaczających go gałęziach. Ból, prawdziwy ból, piekący i ostry. Miał wrażenie, że smagnięto go batem po plecach, jak za dawnych czasów. Tę, która

wołała, zmuszano do tego siłą!

Starął się zablokować ten myślowy przekaz. Wiedział, że celem impulsu było nakłonienie go, aby pobiegł lub poleciał w stronę jego źródła, myśląc jedynie o potrzebie niesienia pomocy. Podstęp przypuszczalnie zadziałałby, gdyby Faree istotnie był skrzydlatym człowiekiem, wychowanym wśród swoich pobratymców. Tyle że nie istniała żadna prawdziwa więź między nim a tymi, których widział i słyszał. Bardowie, Selrena? Dla Dardów skrzydlaci byli bezwartościowi — Dardowie żyli według innych zasad. A ta ukryta za zwierzęcą maską istota w kryształowym pałacu? Nie odebrał żadnych sygnałów wskazujących na to, że on, ona lub ono miałyby ochotę pośpieszyć uwiezionej z pomocą. Ta wołająca kobieta — to musiała być Atra, o której wspominali...

— Chodź... — Głos w jego myślach był bladym cieniem samego siebie. Wyczuwał jego drzenie i wiedział, że wołającą opuszczają siły.

Nastała cisza, która sprawiła, że zadrżał, chociaż starał się panować nad sobą. Taka cisza pewnie zapada, kiedy nadchodzi śmierć. Czyżby uwieziona umarła? Faree ścisnął gałęzie tak mocno, że połamał drobne pędy i wbił sobie w dłonie ich ostre końce.

Strażnicy pełniący wartę na dole rozdzielili się, dołączyło teraz do nich dwóch spośród stojących przy śmigaczu mężczyzn. Rozproszyli się — dwóch z bronią w rękę poszło na zachód, dwaj pozostali zbliżali się do jego kryjówki na wschodzie.

W pobliżu kępy krzaków, gdzie się schował, nie było innych miejsc do ukrycia się. Nie miał też czym się bronić. Gdyby wzbił się w powietrze, stałby się widoczny, a doskonale zdawał sobie sprawę, że przybysze mogą mieć bardzo czuły sprzęt wykrywający. Być może znajdował się już w pułapce, ale jeszcze nie wpadł w ich ręce.

Mógł tylko zaprzestać wszelkiej komunikacji myślowej. Kiedyś już zetknął się z nieprzyjaciółmi używającymi sztucznych tłumików myśli. Urządzenia te osłaniały ich, a jednocześnie pozwalały zorientować się, czy w pobliżu przebywa ktoś, z kim należy się liczyć.

Faree zaczął powoli czołgać się w prawo. Łowcy szli ostrożnie. Co jakiś czas zatrzymywali się na chwilę przy jakiejś kępie gęstej roślinności. Unosili wtedy ręce na wysokość pasa i spoglądali na jakieś instrumenty noszone na nadgarstkach. Faree przyszło na myśl, że źródła alarmu mogli szukać nawet pod ziemią. Pod ziemią... czyżby ci, którzy go pojmali, również kręcili się w pobliżu, zastawiając pułapki albo szpiegując?

Dotarł do skraju zarośli i czołgał się wzdłuż niego w nadziei, że ścieżka zacznie wznosić się i zaprowadzi go do podnóża urwiska. Miał nadzieję, że kępy wysokiej roślinności osłonią go.

Starął się, jak dotąd bezskutecznie, zaplanować swój następny krok po tym, kiedy już dotrze do nagiej ziemi u stóp urwiska. Wtedy, bez ostrzeżenia, zapadła ciemność. Strzelający w niebo słup światła raptownie zgasł. Uplętnęło kilka długich chwil i Faree skwapliwie skorzystał z nadarzającej się okazji. Z szaleńczym łopotem skrzydeł wzbił się w niebo, wznosząc się coraz wyżej. Zrobił to w ostatniej chwili, gdyż z dziobu stojącego na ziemi statku strzelił cienki snop światła, tym razem nie pionowy, lecz poziomy, i szybko omiótł obóz.

Faree wzbijał się, póki obozowisko w dole nie zmałało do tego stopnia, że można je było nakryć dłonią. Miał teraz szansę uciec — dotrzeć do stromych skał, wydostać się z pułapki, mimo wszystko najwyraźniej mającej granice. Kiedy jednak zawrócił na zachód, uświadomił sobie, że co prawda impuls, który go tu ściągnął, zelżał, lecz nie zanikł całkowicie. Światło w dole nie tylko zataczało krąg, lecz szybkimi skokami sięgało ku niebu. Faree ledwo uchylił się przed jednym z takich promieni. Było jasne,

że choć wartownicy najwyraźniej obawiali się czegoś pod powierzchnią ziemi, mieli się również na baczności przed czymś, co mogło nadejść z góry, z powietrza.

Faree skierował się w stronę szczytu góry, lecz wydawało mu się, że jego skrzydła grzęzną w lepkiej fali; z trudem utrzymał się w powietrzu. Z całych sił próbował wzbic się wyżej i jednocześnie zyskać na szybkości. Dotychczas miał wiele szczęścia, że nie trafił go ten wędrujący promień, chociaż wiązka światła najwyraźniej wymierzona była w miejsce poniżej poziomu, na jaki starał się wznieść. Faree był już prawie przy krawędzi urwiska, kiedy w powietrzu coś się poruszyło. Ptaki... ? To smokokształtne stworzenie, które kiedyś zapędziło go z powrotem do statku?

Niespodziewanie światło zgasło, potem znów błysnęło i padło na skraj czegoś, co mogło być tylko skrzydłem tak wielkim, jak jego własne — tyle że czarnym. Znikło ono natychmiast.

Faree próbował wznieść się wyżej, przekonany, że światło powróci. Tak, promień już zawracał! Tym razem zawadził o jedno z jego skrzydeł, i to nie tylko o sam jego koniuszek! Kiedy oddalał się od skraju promienia, światło strzeliło w górę i padło na niego.

Pociągnęła go w dół nieodparta siła. Opadał bardzo szybko, nie panując nad swymi ruchami. Mógł tylko mieć nadzieję, że nie roztrzaska się o ścianę urwiska. Jeszcze tylko ostatni wymach skrzydeł, który kosztował go wiele wysiłku, i dotarł do zbocza. Wylądował ciężko na wystającej skale, boleśnie zdzierając sobie skórę w zderzeniu z twardą powierzchnią. Trzymał się jednak mocno i pomimo bólu rąk podciągnął się trochę, wpełzając na mikroskopijną półkę. Tam zdołał się obrócić, odsuwając skrzydła do tyłu i na boki, aby mieć jak najwięcej miejsca.

Był wolny tylko do chwili, kiedy znalazł go ludzie, których nawoływania teraz słyszał. Wiązka oświetlała go, żeby uniemożliwić mu ucieczkę, jej jaskrawy blask oślepił. Nagle światło zamigotało: coś przemknęło między Faree a źródłem jasności. Znowu skrzydła — ciemne, niewidoczne w nocy — potem coś jeszcze przeszło powietrze. Początkowo sądził, że czymś w niego rzucono, lecz pocisk utkwił w szczelinie poza zasięgiem jego ręki. Zobaczył różdżkę, która drżała od siły uderzenia.

Faree czołgał się po półce. Snop światła już nie obezwładniał go tak mocno, gdyż znowu krążył po niebie, usiłując schwycić tę drugą skrzydlatą istotę. Być może tym na dole wydawało się, dostali już Faree w swoje ręce, i starali się teraz pojmać drugiego jeńca.

Faree wyciągnął rękę najdalej, jak mógł. Wymacał różdżkę, wciąż lekko wibrującą i ścisnął ją w garści. Z całych sił celowo wzmocnił to drżenie, próbując wyciągnąć pręt ze szczeliny. Z początku sądził, że nie zdoła tego zrobić, lecz potem wyrwał go tak nagle, że omal nie spadł z półki.

Trzymał teraz w rękach wydrażony pręt prawie tak długi, jak on sam. Pomimo swoich rozmiarów ważył niewiele. Promień nie zaskoczył Faree przy wyciąganiu różdżki — wzniósł się za to wyżej i omiatał krawędź urwiska, znowu padając na krawędź szybko znikającego skrzydła.

Faree pogładził różdżkę. Była gładka, jedynie na końcu miała cztery podobne do guzików wybrzuszenia. Przeczynał, że jest to broń, lecz zupełnie mu nie znana. Przywierając plecami jak najbliżej do ściany, przełożył pręt z ręki do ręki. Nie potrafił znaleźć żadnego ostrza; nie przypominało to również ogłuszacza ani oplątywacza. Podejrzywał, że to zwykły kij do obrony, bezużyteczny w walce z orężem tych łowców na dole.

Snop światła poruszał się z dużą szybkością. Potem powietrze przeciął błysk jaskrawej czerwieni. Choć młodzieniec nie zauważył już skrzydeł, ktoś musiał strzelić z lasera.

Po tym pojedynczym błysku morderczego promienia — Faree poznał po



intensywności koloru, że broń ustawiono na zabijanie — drugiego już nie było.

Niespodziewanie jęknął cicho. Snop światła nie zawrócił, lecz znienacka jakaś siła uderzyła go, przygniotła do skały i zupełnie unieruchomiła. Trwało to zaledwie kilka chwil, w czasie których z trudem łapał oddech. Potem nacisk ustąpił. Faree domyślił się, że czymkolwiek była ta moc, metodycznie kierowano ją na ścianę urwiska, aby złapać i uwięzić niewidzialnego lotnika.

Wyteżył wzrok. W dole błysnęły światełka. Ciągnęły się wzdłuż skalnej ściany. One również przesuwaly się na boki jak snop światła reflektora, a także w górę i w dół. Dwukrotnie prześlizgnęły się po nim, lecz nie zatrzymały się dłużej. Zapewne uznali — pomyślał z rosnącą wściekłością — że już go unieruchomili i zajęli się szukaniem innej ofiary.

Nie odważył się na wspinaczkę, gdyż snopy światła, ten duży i te mniejsze, znajdowały się zbyt blisko niego. Jeśli znów wzbije się w niebo, może go trafić laser. Różdżka drgnęła i z własnej woli obróciła się w jego ręce. Faree ścisnął ją mocniej, nie chcąc przez zaskoczenie stracić broni, nawet jeśli jego zdaniem była mało przydatna. Zaczepił palcem o jeden z guzików, a wewnętrzną stroną dłoni nacisnął drugi.

Z przeciwnego końca pręta wystrzeliło coś w rodzaju małego pocisku, a w ścianie pojawiło się wgłębienie. Mała świecąca kropelka w miejscu zderzenia szybko przekształciła się w niedużą jamkę wypełnioną ogniem. Faree czym prędzej puścił oba przyciski. Cokolwiek wpadło mu w ręce przez przypadek lub dzięki staraniom tej drugiej skrzydlatej istoty, miało potężniejszą moc niż przypuszczał.

Po raz pierwszy jego gniew wziął górę nad ostrożnością. Niech tylko spróbują przyjść po niego, a będzie miał dla nich odpowiedź.

— Chodź... chodź... W ciszy znów dało się słyszeć błagalne wołanie. — Chodź... — Kontakt myślowy urwał się. Potem wrócił, ostry, nagły... — Uciekaj, nie, uciekaj! Nadchodzą z sieciami...

Znów zapadła cisza, jak gdyby nadawcę myśli ogłuszono. Faree nie odważył się powtórnie nawiązać łączności.

Nagle w sam środek wielkiego promienia wleciała skrzydlata istota, chwilę później jeszcze jedna, dwie, trzy... Za nimi mknęło coś dziwnego — puło przed siebie, nie zważając na światło ani na ludzi na dole. Miało kształt płaskiej platformy bez skrzydeł, wyglądało inaczej niż jakikolwiek powietrzny pojazd. Stała na niej jakaś postać.

Jej obcisły strój błyszczał i skrzył się w świetle reflektorów — wydawało się, że odziana jest w metal. Faree bez trudu poznał twarz tej, która miała śmiałość wypróbować siły nieprzyjaciela, tak lekceważąc ich zdolność atakowania. To była Selrena.

Mknęła na platformie tak szybko, że długie pasma ciągnących się za nią srebrzystych włosów sprawiały wrażenie rozwianej peleryny. W obu rękach trzymała najwyraźniej bliźniaczy egzemplarz tej dziwnej broni, jaką dostał Faree.

Towarzyszące jej skrzydlate istoty pochodziły z jego rasy, tyle że miały czarne skrzydła i włosy koloru nocnego nieba bez gwiazd. Każda z nich dzierżyła w ręku srebrny łańcuch podobny do tego, jaki Faree zabrał zmarłym w podziemnych korytarzach. Łańcuchy wisiały bardzo sztywno, jakby na drugim końcu zostały obciążone, a wokół nich piętrzyły się prawie niewidzialne fałdy dziwnej masy, dostrzegalne jednak na tle błyszczącego srebra.

Kiedy się zbliżyły, reflektor obrócił się, aby snop światła stale padał na grupę lecących. Laserowe promienie strzeliły w górę, a potem skręciły, jakby salwę wymierzono w ścianę. Żaden jednak mur ani konstrukcja znana Faree nie byłyby w stanie wytrzymać ataku laserów o takim natężeniu.

Nie ulegało jednak wątpliwości, że przybysze przyciągnęły uwagę napastników. Faree zachwiał się na krawędzi skalnej półki. Gdyby udało mu się dotrzeć do szczytu urwiska, mógłby uciec. Zeskoczył z występu.

Przez chwilę sądził, że nie utrzyma się na skrzydłach. Znow odczuwał tę samą ociężałość. Nie mógł dolecieć do szczytu góry. Nie zamierzał też podążyć za tą dziwną grupą istot, które minęły już jego półkę i leciały spokojnie, jakby nic im nie groziło ze strony rozbłysków lasera. Promienie przesywały powietrze powyżej i poniżej, przed nimi i za nimi, lecz nigdy nie dotykały ich samych.

Mógł uciec tylko w jednym kierunku, podczas gdy tamci odciągali od niego uwagę — w stronę obozu, jeszcze dalej na zachód. Zaczynał sądzić, że taki manewr mógł być niezłym pomysłem. Poleci na zachód, później skręci na północ i wschód...

Postanowił polecieć nad głowami ludzi ze statku, choć ledwo utrzymywał wysokość. Ich uwagę wciąż przyciągała grupa istot w świetle.

Selrena zmieniła pozę. Nie stała już spokojnie, niesiona na skrzydłach wiatru, lecz wycelowała trzymaną w rękę różdżkę w ziemię. Faree kątem oka dostrzegł, że również jej towarzysze posłusznie skierowali broń w dół, kiedy potężny wybuch rzucił go na ziemię. Był zły na siebie, że odważył się na coś tak nierozsądnego. Lecąc, przyciągał uwagę każdego, kto chciałby go zestrzelić.

Oczekiwał strzału lub napaści, kiedy dotknął stopami ziemi. Tu panował głębszy mrok. Całe światło skupiało się w pobliżu miejsca, gdzie latali powietrzni najeźdźcy.

Wystrzelona z ciemności pętla opłótła jego ciało na wysokości talii i wypuściła następnie macki, przyciskając jego ręce mocno do tułowia. Opłatywacz! Wpadł w potrzask i zmuszony był poddać się woli łowcy, kiedy szarpnięciem zbito go z nóg, a potem pociągnięto twarzą w dół po gołej zdeptanej ziemi. Podrapane podczas lądowania na skałach kolana i dłonie znow zaczęły krwawić.

Zamrugał. Zawleczono go w pobliże jednego z namiotów i zostawiono przy otwartym wejściu. Z mroku wyłonił się jego prześladowca. Był to wysoki mężczyzna, równy wzrostem jednemu z Dardów, lecz zupełnie nie przypominał tych chłodnych i wyniosłych istot. Nosił strój kosmicznych wędrowców, brudny i poplamiony. Kiedy się ruszał, wydzielał zwierzęcy smród, podobny do tego, jaki bił od włóczęgów na Obrzeżach. Skórę miał prawie czarną od kosmicznej opalenizny, a w szerokich ustach, wykrzywionych w uśmiechu, ziały szczyrby po brakujących zębach.

Mężczyzna nachylił się, podniósł Faree za włosy i jednym mocnym szarpnięciem wciągnął go do namiotu.

— Jak się masz, panienko? Przyprowaǳiłem ci przyjaciela.

Faree, bezsilny w uścisku prześladowcy, spojrział na dziewczynę, nie tylko jeszcze bardziej bezradną od niego, lecz także zmaltretowaną. Kuliła się na ziemi; jej wynędzniałe ciało wydawało się niematerialne, dziwnie płaskie. Pod skórą zaznaczały się kości, gdyż za całe odzienie służyło jej zaledwie kilka łachmanów, dość dziurawych, aby widać było stare i nowe ślady chłosty. Na głowie miała splątany kołtun włosów, a małe dłonie i stopy przypominały bardziej szpony niż kończyny. Nie podniosła głowy ani nie spojrziała na mężczyznę i Faree.

Kosmiczny przybysz odczepił od paska cienką rurkę. Odepchnąwszy Faree, wyciągnął ją nad głowę uwięzionej. Dziewczyna drgnęła i uniosła twarz tak wykrzywioną cierpieniem, że młodzieniec szarpnął się, nadaremnie próbując jej pomóc.

— No, dalej. Wyślij zaproszenie — rozkazał jej prześladowca.

Dziewczyna patrzyła obok Faree, jakby go nie dostrzegała, albo nawet jeśli widziała, nie rozumiała jego obecności. Młodzieniec odebrał w myślach donośny, pełny bólu, znajomy zew.

— Chodź... chodź! — Wyczuwał wokół siebie dziwne zawirowanie, jakby w jej

myślowym błaganiu było coś więcej niż same słowa. Dziewczyna jęknęła cicho i przycisnęła rękami głowę. Wysoki mężczyzna zaśmiał się.

— Spełniło się twoje życzenie, panienko. Przyszedł do ciebie przyjaciel. Żadnemu z was to jednak nie pomoże.

## Rozdział 15

Prześladowca odsunął się od dziewczyny, która wydawała się nie zwracać większej uwagi na niego ani na Faree. Jej związane i owinięte prawie przezroczystą folią skrzydła miały ten sam kolor, co skrzydła młodzieńca — w odcieniach zieleni — lecz połysk ich puszystej okrywy maskowała krepująca je błona. Strażnik zbliżył się do Faree i postukał palcem w jego oplecione sznurem skrzydła.

— Pierwszorządne. — Mężczyzna oblizał wargi. — Towar doskonałej jakości. Vass się ucieszy. Przyniosłeś mu szczęście, latający chłopcze. Na aukcji dostaniemy za nie niezłą sumkę, a Vass nie zapomina o tych, którzy wykonali dobrą robotę. Tak, to piękna para.

Pogładził palcami brzeg bliższego skrzydła i Faree zadrżał. Dotyk zapowiadał coś gorszego, niż się spodziewał. Dał się słyszeć klekoczący sygnał i strażnik szybko odczepił od paska jakiś dysk, wsłuchując się w staccato niezrozumiałej dla młodzieńca mowy.

Kosmiczny przybysz warknął coś do krążka i ponownie schował urządzenie. Przez chwilę przyglądał się im z obleśnym uśmiechem na twarzy. Potem odezwał się do dziewczyny.

— Nie wyobrażaj sobie tylko, panienko, że zdołasz z nim uciec. — Wskazał kciukiem na Faree. — Chcesz, żebym cię uciszył?

Pytanie najwyraźniej dotarło do jej oszołomionego umysłu, gdyż wydała cichy jęk i potrząsnęła głową. Strażnik roześmiał się.

— Nie, też sobie pomyślałem, że nie chciałabyś tego! A co do ciebie — spojrzał na Faree — nie szamocz się. I tak nie uwolnisz się z tych więzów! — Rzuciwszy te słowa, wyszedł z namiotu i opuścił za sobą zasłonę.

Faree już wiedział, że nie zerwie sznurów oplątywacza. Tylko ogień mógł zniszczyć te więzy — chyba, że zostanie wciśnięty odpowiedni sygnał na urządzeniu, z którego je wysnuto. Rzucił okiem na towarzyszkę. Dziewczyna kuliła się, jakby chciała zapaść się pod ziemię. Miała zwieszoną głowę i całą uwagę skupiała na swoich zaciśniętych pięściach.

Potem odezwała się, a jej głos zabrzmiał całkiem trzeźwo — jakby była zupełnie przytomna i nie odczuwała skutków złego traktowania, natomiast doskonale wiedziała, co robić. Tyle że słowa, które wymówiła cichutko, prawie szeptem, były dla Faree całkiem niezrozumiałe. Nie był to uniwersalny język kupców — brzmiał raczej jak pieśń.

— Nie rozumiem. — Zniżył głos, mówiąc nie głośniejszym głosem. Wątpił, aby z kolei ona go zrozumiała. Domyślił się, że kontakt myślowy byłby w tej sytuacji najgorszym wyjściem.

Dziewczyna nie uniosła głowy, lecz zerknęła na niego spod wilgotnej od potu gęstwiny włosów opadającej jej na czoło. Wyraz oszołomienia zniknął z jej oczu, zastąpiony przez pytanie tak nieufne, jakby Faree zamierzał powiększyć zbiór ran i blizn, jakimi poznaczone było jej ciało.

Rozprostowała dłonie mocno zaciśnięte w pięści. Wymierzyła w niego palec i z jej ust padło słowo, którego znów nie rozumiał, lecz odgadł, czego dotyczyło pytanie.

— Faree. — W odpowiedzi wymówił swoje imię.

Dziewczyna zrobiła zniecierpliwioną minę i zaczęła potrząsać głową, lecz potem skrzywiła się, jakby z bólu. Znów wskazała palcem, dźgając nim powietrze, jakby w ten sposób chciała podkreślić powagę pytania.

Oplatany mocno sznurami młodzieniec mógł tylko lekko pokręcić głową. Jeśli nie

pytała go o imię, lecz raczej o powód jego obecności, nie mógł udzielić odpowiedzi.

Dziewczyna odsunęła się trochę, przyglądając mu się uważnie. Potem wyciągnęła przed siebie ręce. Powoli poruszała palcami, jakby pisała w powietrzu.

Faree gwałtownie wciągnął powietrze. Kilka razy widział, jak Maelen wykonywała takie gesty; uwięziona kobieta nie była jednak Thassą. On sam nie mógł podnieść mocno skrępowanych sznurem opłatywacza rąk. Gdyby nawet było to możliwe, co miałyby zrobić — naśladować jej gest?

Maelen! Bez zastanowienia wyobraził ją sobie.

Dziewczyna skoczyła naprzód, wyciągając rękę w kierunku jego głowy i ostrzegając go jednym stanowczym ruchem.

Było już jednak za późno. Na skraju myślowych pasm poczuł znajomy dotyk — Toggor! Pomimo nieustających zdecydowanych gestów, jakimi ostrzegała go towarzyska, Faree świadomie odtworzył w umyśle obraz smaksa z dokładnością do ostatniej krzywizny jego jadowitych szponów. Potem skupił na nim całą uwagę, nie próbując kontaktować się z nikim innym z ich grupy. Być może posyłał smaksowi komunikat na tak odmiennym paśmie myślowym, że nie zdołają go wykryć żadne czujniki, psychiczne ani mechaniczne, jakimi posługują się ci zabójcy.

Wysłał rozpaczliwy sygnał.

— Przyjaciel, przyjaciel! — Toggor nawiązał kontakt! Gdzie był smaks — jak daleko? Faree przestał o tym myśleć i skupił się wyłącznie na obrazie Toggora oraz na utrzymywaniu z nim łączności. Sądząc po sile sygnału i faktu, że z każdą chwilą był coraz wyraźniejszy, nabrał przekonania, że jakimś niewiarygodnym wyrokiem losu szczęście uśmiechnęło się do niego — Toggor!

Dziewczyna klęczała przed nim, patrząc mu prosto w oczy, jakby mogła w nich zobaczyć to, co on widział w myślach — krępe ciało jego pierwszego i najbliższego sprzymierzeńca.

Odsunęła spadające jej na twarz pasma włosów, wyciągnęła przed siebie obie ręce i dotknęła ciała Faree między zwojami krępującego go sznura. Popłynął do niego strumień energii. Na twarzy dziewczyny odbiło się zdumienie. Strach omal nie skłonił jej do odruchowego zerwania z nim kontaktu. Najwyraźniej nie spodziewała się tego, co wyczuła dotykiem.

— Toggor... — Faree wyteżył myślowy zmysł do granic możliwości. I skontaktował się z kimś jeszcze...!

Fakt, że tych dwoje zdołało się z nim porozumieć — a nie odebrał żadnego sygnału od Zakatianina, Maelen ani Vorlunda — był dla niego zaskakujący. Może przeciwdziałało temu jakieś urządzenie uruchomione przez jego prześladowców. Nie mógł jednak dopuścić do tego, aby jego towarzysze ze statku znaleźli się w zasięgu tych, którzy rozbili tu obóz. Wtedy i oni dostaliby się do niewoli.

Otępienie, jakie malowało się na twarzy dziewczyny podczas obecności strażnika, znikło bez śladu. Jej oblicze i cała postawa wyrażały ostrożność. Dotykała teraz Faree w inny sposób. Chwyliła go za obie dłonie, mimo iż sznur opłatywacza przyciskał mu ręce do boków, i pomiędzy nimi popłynęła potężna moc.

— Niedobre... niedobre w powietrzu... — nadawał Toggor. I powtórzył z jeszcze większą stanowczością: — W powietrzu, niedobre.

Wciąż komunikując się ze smaksem, Faree zaczął nasłuchiwać. Rozległy się kolejne krzyki i trzaski laserów. Czyżby oznaczało to, że najeźdźcy wciąż usiłują zestrzelić Selrenę i jej czarnoskrzydłą eskortę? A może troje jego towarzyszy przyleciało własnym śmigaczem ze statku i walczyło?

Stał odwrócony plecami do wejścia do chaty, lecz zauważył zdziwienie w oczach dziewczyny i poczuł nieznacznie wzmocniony uścisk jej dłoni. Ktoś tam był. Potem poczuł kwaśną woń, jaką wydzielał Toggor, kiedy się podniecił i gotowy był

wstrzyknąć nieprzyjacielowi dawkę jadu swymi pazurami. Czuł także inny zapach.

— Yazz!

Kosmate ciało na chwilę przylgnęło do jego pleców, a potem okrążyło go. Na grzbiecie smukłej łowczyni jechał Toggor, trzymając się paska opasującego jej tułów tuż za przednimi łapami.

— Toggor, Yazz! — Miał ochotę krzyknąć głośno, lecz powstrzymał się. Yazz uniosła smukły pysk i obwąchała zdumioną dziewczynę.

— Przyjaciele! — Faree, nie mogąc wskazać gości z powodu związanych rąk, kiwnął w ich stronę głową.

Dziewczyna wypuściła jego dłonie z uścisku, cofnęła się i skuliła tak jak na początku. Mimo to ze zdumieniem przyglądała się całej trójce. Yazz podeszła bliżej i rozwarła pysk pełen ostrych zębów, aby przegryźć więzy Faree.

Czym prędzej posłał jej komunikat ostrzegający przed niebezpieczeństwem. Gdyby dotknęła sznura, sama mogłaby się w niego zaplątać. Musiał odzyskać wolność, lecz nie wiedział, kiedy wróci strażnik. Ogień — nie mieli ognia, który spaliłby sznury oplątywacza na czarne nitki, jak widywał to wcześniej. Nie było także rękojeści bicia kontrolującego strumień lepkich sznurów. Więc jak... ?

Odpowiedzi udzielił Toggor. Zeskoczył z grzbietu Yazz i podreptał naprzód z lekko uniesionymi wielkimi szczypcami. Lśnił na nich jad, a jedna czy dwie jego krople skapnęły, kiedy zbliżył się do Faree.

Czy to była odpowiedź? Czy żrąca substancja obronna smaksa mogła palić? Faree uchwycił się tej myśli. Toggor nie mógł kiwnąć potwierdzająco głową, kiedy przykucnął na chwilę przed przyjacielem, lecz młodzieniec był pewny, że proponował właśnie przepalenie więzów żrącym jadem.

Smaks zaklekotał szczypcami i Yazz podeszła do niego. Chwytając za zwisający koniec paska, dzięki któremu mógł utrzymać się na większym zwierzęciu, wdrapał się na jej grzbiet. Yazz odwróciła się bokiem i małymi ostrożnymi krokami podeszła do Faree najbliżej, jak mogła, nie dotykając białych sznurów. Toggor trzymał się jej tylnymi nogami i małymi szczypcami, a duże wyciągnął do Faree, naprężając ciało, żeby dosięgnąć więźnia.

Pomimo nasilającego się smrodu trucizny i groźby, jaką stanowiły szczypce smaksa, gdyby źle wymierzył, Faree stał najspokojniej jak mógł. Toggor wybrał fragment więzów możliwie najodleglejszy od nagiej skóry i ścisnął go lekko.

Rozszedł się jeszcze silniejszy zapach jadu. Sidła nie oplatały jednak smaksa. Kiedy zwierzątko rozwarło szczypce, w miejscu uścisku widniał na sznurze czarny pierścień. Od tego punktu rozprzestrzenił się w obie strony.

Sznur nagle pękł i spadł, a czerń oddalała się coraz bardziej od obu końców rozcięcia. Faree drgnął raz, kiedy kawałek spalonej substancji dotknął jego skóry, sprawiając mu tak ostry ból, jak gdyby włożył rękę do ognia. Ręce miał już wolne, a szerniałe więzy zsuwały się. Po chwili mógł już strząsnąć z siebie resztki dymiących sznurów oplątywacza.

Kopnął je na bok i stał spokojnie, czekając, aż Toggor przeskoczy z grzbietu Yazz na swoje ulubione miejsce za jego koszulą. Dziewczyna zasłaniała usta dłonią, jak gdyby gryzła kostki palców.

Faree wyciągnął rękę, zachęcając ją do wstania. Może miał bardzo niewielkie szansę, aby wydostać się z obozu, lecz to jeszcze nie powód, żeby nie próbować. Wtedy dziewczyna energicznie pokręciła głową i wskazała coś leżącego na podłodze, co wcześniej uszło jego uwagi. Na smukłej kostce miała obręcz z łańcuchem przymocowanym do dużego słupa pośrodku namiotu; jej mocno posiniaczona kostka wskazywała na to, że wcześniej sama próbowała odzyskać wolność.

Obręcz wykonano z tego samego srebrzystego metalu, który Faree znalazł w

lochach pod zamkiem Selreny. Łańcuch miał jednak ciemniejszy odcień i wyglądał na stalowy. Koniec przy samym słupie był jeszcze ciemniejszy.

Faree sięgnął po najbliższy fragment łańcucha, żeby sprawdzić jego wytrzymałość. Dziewczyna chwyciła go za rękę i energicznie pokręciła głową. Wysunawszy się z jej uścisku najdelikatniej, jak potrafił, przykląkł i wziął go w dłonie. Ogniwa były ciepłe, nawet gorące w dotyku, lecz kiedy szarpnął za pętlę wokół słupa, wydawało mu się, że obluzował się on lekko. Kwaśny jad Toggora przepalił sznur oplątywacza; czy zadziałałby również w tym przypadku?

Faree przesunął łańcuch w dłoniach, aż jego palce zbliżyły się do obręczy wokół kostki dziewczyny. Im dłużej trzymał metalowe ogniwa, tym stawały się gorętsze, aż wreszcie ledwo mógł ich dotykać. Ułożył jednak łańcuch równo na udeptanej ziemi i wysłał impuls myślowy do smaksa.

— Tnij!

Toggor znów zsunął się z grzbietu Yazz i drepcząc bokiem, przyszedł przyjrzeć się ogniom. Wysunął na całą długość oczy na szypułkach, omal nie dotykając łańcucha, i przez dłuższą chwilę się nie ruszał.

— Cofnij się... — Faree odebrał jego rozkaz. Posłusznie odsunął się na kolanach. Obolałymi rękami wyciągnął z sakiewki przy pasie trochę zwiędłego wszechleku, rozgniecione na mokrą papkę. Wziął tę masę w dłonie i zaczął ugniatać z niej kulkę. Pierwszy ból — spowodowany poruszaniem zaczerwienionymi palcami — ustąpił pod wpływem kojącego chłodu zioła. Tymczasem Toggor przykucnął i ścisnął łańcuch w szczypcach.

Ile jadu zostało mu jeszcze w pazurach? Czy trucizna zdoła przepalić metal równie łatwo jak sznury oplątywacza?

Toggor zacisnął obie pary kleszczy na tym samym ogniwie i trzymał je mocno. Kiedy pieczenie dłoni zelżało, Faree chwycił łańcuch po obu stronach kółka, trzymanego przez smaksa i szarpnął z całych sił.

Nic się nie wydarzyło. Wszechlek przestawał działać i ręce Faree znów palił dziwny ogień. Toggor odchylił się do tyłu, kucając na tylnych nogach. Widać było, że wkłada w to wszystkie siły.

Smaks wypuścił łańcuch ze szponów.

— Boli... — Jego skarga dotarła do Faree. Na krawędziach szczypiec nie pojawiały się już banieczki. Zrozumiał, że gruczoły jadowe są już puste. Może upłynąć pół dnia — albo nocy — zanim znów się wypełnią. Pomimo bólu Faree jeszcze raz szarpnął za łańcuch.

Ogniwo pękło. Przez chwilę patrzył na jego końce, a potem chwycił towarzyszkę za ramię i pociągnął do wyjścia z namiotu. Niestety dziewczyna była bardzo wycieńczona. Musiała przytrzymać się go, inaczej upadłaby. Yazz przysunęła się do niego z prawej strony, Toggor znów siedział na jej grzbiecie. Dziewczyna chwyciła za fałd luźnej skóry na karku Yazz, żeby nie stracić równowagi, podczas gdy Faree, upewniwszy się, że jego towarzyszką zdoła przez chwilę utrzymać się na nogach, ostrożnie odsunął zasłonę i wyjrzał na zewnątrz. Słychać było trzask laserów. Nocne niebo rozświetlały nieustanne błyski, walka toczyła się jednak w oddali. Faree zastanawiał się, czy złowieszcze i morderczo śmigające promienie nie trafiły Selreny albo kogoś z jej skrzydlatej załogi.

Jak Toggor i Yazz tutaj trafili? Czyżby odnaleźli jego ślad w krainie, której on sam nie znał? Skoro już o tym mowa, jak on sam zawędrował do zamku Selreny?

— Nie tutaj! Racja, Dardowie zagarną wszystko. Ale Fragon jeszcze nigdy niczego nikomu nie zbudował...

Słowa w umyśle Faree sprawiały wrażenie gardłowego bełkotu. Młodzieniec mimowolnie oderwał wzrok od nieba i spojrzał niżej. Za sąsiednim namiotem w

kształcie bańki znajdowało się coś, co przypominało otwór studni. Był matowoczarny, widoczny tylko przez kilka sekund, kiedy walki na niebie się zbliżały. Na brzegu studni siedziała zgarbiona postać i młodzieniec zdał sobie sprawę, że myślowy przekaz pochodził od niej.

— Idź! — Toggor nalegał z taką siłą, że jego impuls niemal wspiął się na inny poziom komunikacji myślowej.

Choć Faree mógł wpaść z jednej pułapki w drugą, nie zawahał się. Wrócił, aby wyciągnąć towarzyszkę z namiotu. Dziewczyna skubała przezrzystą substancję oblepiającą jej skrzydła, jednak nie udało się od niej uwolnić. Faree chwycił ją za rękę i pchnął w stronę kręgu ciemności. Gdy zgarbiona postać wyprostowała się, okazała się tak wysoka jak Faree, gdyby nie liczyć łuku skrzydeł nad jego głową. Z tego, co młodzieniec dostrzegł, przypominała przywódcę gromady podążającej pod ziemią, żeby zaatakować Bojora. Dużo dałby teraz za ten dziwny pręt, który zgubił po dostaniu się do niewoli, za jakąkolwiek broń. Z mroku dobiegł go zgrzytliwy dźwięk przypominający suchy śmiech.

— Chcesz zwiać, skrzydlaku? Spróbujesz tędy? — Mieszkaniec podziemi uniósł wysoko rękę, żeby wskazać na niebo, chociaż światło było tak słabe, że Faree nie potrafił powiedzieć, ile jeszcze latających istot toczyło walkę. Wiedział, że gdyby rzucił się w zamęt bitwy, postąpiłby równie nierozsądnie, jeśli nie gorzej, niż gdyby wrócił do namiotu, aby tam czekać bezradnie na los, jaki zgotuje im nieprzyjaciel. Spróbował zajrzeć w głąb dziury. Wątpił, czy się w niej zmieści, miał przecież skrzydła.

Znów rozległ się chichot i towarzysząca mu mowa myśli.

— Tym razem nie pofruwasz sobie, skrzydlaku! Ani ona, chyba, że zwinie te swoje lotki.

Dziewczyna znów szarpnęła za brzeg przezroczystej substancji przyciskającej jej skrzydła do siebie tak ciasno, jakby były złożonymi dłońmi.

Szarzące w oddali niebo wskazywało, że zbliża się świt. Nie mieli czasu do stracenia.

Choć ręce miał wciąż sztywne i obolałe od łańcucha, starał się jej pomóc zerwać tę błonę. Potem podniósł Toggora. Wprawdzie smaks nie miał już jadu — ani też nie mógłby go tu użyć — ale wewnętrzna krawędź jego szczypiec przypominała ostrze piły. Faree posłużył się nimi, trzymając Toggora, gdy ten wycinał dziurę w mocno napiętej folii. Kiedy raz została uszkodzona, łatwo odchodziła pasami, uwalniając skrzydła.

— Żwawo, skrzydlaki! — Mieszkaniec podziemi wskoczył do jamy, lecz jego komunikaty myślowe wciąż do nich docierały. — Nie zamierzamy czekać, aż przyjdzie któryś z Dużych Ludzi. Chodźcie wreszcie!

Faree posadził Toggora z powrotem na Yazz i przytrzymał stojącą obok dziewczynę. Nadal nie miał odwagi wysłać przekazu myślowego — przynajmniej do niej. Yazz i Toggor „rozmawiali” na innym poziomie, na samym skraju pasma, jakie potrafił odebrać. Maelen lepiej komunikowała się z tym, jak go nazywała „małym ludkiem w futrze”, ale długi kontakt ze smaksem sprawił, że młodzieniec potrafił bez trudu odbierać jego myśli. Fakt, że ludzie ze statku zdołali zmusić dziewczynę do wysyłania sygnałów służących ich celom, powstrzymywał go od wypróbowania innych kanałów — chociaż przekaz mieszkańca podziemi mocno przypominał impuls Toggora w niższym paśmie.

Faree dotknął skrzydła dziewczyny, chociaż ból zeszywniałych palców utrudnił mu gest. Nacisnął delikatnie jego brzeg, próbując dać do zrozumienia dziewczynie, aby je zwinęła. Przypuszczalnie odebrała rozkaz mieszkańca podziemi; poruszała skrzydłami, wciąż zeszywniałymi od długiego przebywania w bezruchu, lecz drżała,



jakby każdy ruch sprawiał jej ból. Wreszcie zwinęła je tak ciasno, jak jej towarzysz. Kiedy była gotowa zejść do jamy, Faree chwycił ją za nadgarstki, aby spuścić ją na dół. Yazz i Toggor już wskoczyli do otworu.

Studnia była dość głęboka; młodzieniec musiał położyć się na brzuchu, zanim poczuł, że dziewczyna stanęła na dnie i rozluźniła palce, a wtedy on sam błyskawicznie wskoczył do dziury. Gdy spadł na ziemię, poczuł kwaśną i stęchlą woń, która wydawała się zawsze unosić w podziemnych korytarzach. W pewnej odległości po lewej stronie paliło się słabe światło i znów dał się słyszeć myślowy impuls Toggora:

— Chodź...

Korytarz nie był duży i niewątpliwie wykopano go niedawno, gdyż skrzydła Faree, chociaż ciasno zwinęte, ocierały się o sklepienie i ściany. Zaczął się obawiać, że cały tunel może zaważyć mu się na głowę. Światło nie stało w miejscu, lecz przesuwano się do przodu i domyślił się, że to latarnia w rękach kogoś z ich drużyny.

Potem minął niszę w ścianie tunelu i usłyszał dobiegający z niej szelest. Poczł chłód. Wprawdzie nie wiedział, skąd ma tę pewność, ale był przekonany, że tuż obok, w miniętej pośpiesznie wnęce, siedziały włochate, długonogie stwory, które wykopały tunel, żeby zaatakować Bojora w dolinie ze statkiem.

Coś z tyłu zaszeleściło i Faree z całych sił wyteżył zmysł. Tak, to były potwory z podziemnych korytarzy, jednak wbrew jego obawom nie szły za nim, lecz mknęły z powrotem w stronę obozu. Z pewnością zaskoczyłoby każdego, kto chciałby je ścigać, lecz mogły też zasypywać wejście do tunelu.

Przyspieszył kroku. Trzymał rękę wyciągniętą przed siebie, aby wymacywać przeszkody, o które mógłby zahaczyć skrzydłami. Nie natknął się jednak na żadną z bulw zwisających ze sklepienia w poprzednim tunelu.

Dwukrotnie korytarz ostro skręcił i na drugim zakręcie Faree dogonił pozostałych. Grupa w bardzo nikłym świetle, jakie rozsiewał krzywy kijek w rękach prowadzącego tę wyprawę ratunkową — przypominała pochód cieni. W słabej poświacie głowa przywódcy wydawała się zbyt duża w stosunku do ciała, a ręce i nogi — niemal niewidoczne pod brudnoburym obcisłym ubraniem — chude jak patyki. Resztę ciała porastały kępki szorstkiej, gęstej, czarnej szczeciny. Miał bardzo duże usta, a nad nimi coś w kształcie ryja. Czubki jego spiczastych i osadzonych wysoko na nagiej czaszce uszu zaginały się lekko. Pod pewnymi względami przypominał istotę w zwierzęcej masce ze snu Faree. Młodzieniec, który podczas pobytu na Obrzeżach i w trakcie późniejszych podróży widział wielu dziwnych przybyszy, uważał, że jego brzydota była zdecydowanie nieprzeciętna.

Po wyprowadzeniu uciekinierów z tajnego przejścia, mieszkaniac podziemi nie zwracał już na nich uwagi. Człapał naprzód, nie patrząc, czy idą za nim, czy nie.

Dziewczyna szła za Yazz, trzymając ją za ruchliwy ogon, jakby potrzebowała kontaktu z kimś mniej wstrętnym niż ich przewodnik. Było zbyt wąsko, aby się do niej zbliżyć, więc Faree nadal zamykał pochód. Z mijanych ścian osypywała się ziemia i widać było na nich smugi wilgoci. Gliniak szybko mijał te plamy i oni też musieli przyspieszyć kroku. Te znaki świadczące o tym, że tunel może się zaważyć, bardzo niepokoiły młodzieńca.

Jeszcze jeden zakręt i w korytarzu wyraźnie pojaśniało. Mimowolnie wszyscy przyspieszyli kroku i znaleźli się w miejscu tak odmiennym niż to, którym przywędrowali, że po przejściu przez dziurę w murze Faree stanął osłupiały i wytrzeszczył oczy.

## Rozdział 16

W sali, pełnej migoczącego światła, było jasno jak w dzień. Tak jak wcześniej w powietrzu błyskały lasery, tak tu strzelały snopy tęczowych błysków. Faree wydawało się, że znów jest w kryształowym zamku ze swego snu.

Tyle że tych kryształów nikt nie ociosał, a kształt nadała im natura. Olbrzymie kolce górowały nad nim i sterczały ze skał, jakby wyrosły z nich niczym drzewa. Jedne — przezroczyste jak górską wodą — rozszczepiały światło na tęcze, inne wyrastały z podłoża w kolorach ametystu, przejrzystej żółci, dymnego srebra. Pośrodku tej olbrzymiej groty albo sali znajdowało się wiele szarych kryształów, ciemnych, nie srebrzystych, i przypominających tę kulę, Glob Ummar, która rozpadła się na części.

Już sam ten fakt wskazywał, że poddano je celowej obróbce. Ułożono je ciasno obok siebie płaskimi bokami do góry, a za kawałkiem płaskiej przestrzeni, na której ktoś siedział, wznosiła się ściana z wysokich, spiczastych kryształów.

Gliniak pobiegł naprzód, a jego podopieczni zatrzymali się na progu sali pełnej barwnych świateł, oślepieni bijącym z niej jaskrawym blaskiem. Ich przewodnik człapał dalej, aż stanął u podnóża sterty kryształów, które ułożono na kształt siedziska... lub tronu...

Skłonił się nisko, następnie spojrzął w twarz...

Nie twarz — pomyślał Faree i znów ogarnął go chłód — lecz oblicze podobne do czaszki, nawet jeśli sterczące kości pokrywała pożółkła skóra. Ostre krawędzie oczodołów przysłaniały mocno napięte powieki. Skóra na dłoniach, spoczywających na kryształach z boku, była głęboko pobrużdżona. Długie paznokcie zakrzywiały się na czubkach palców na kształt szponów. Wszystkie mieniły się jaskrawym szkarłatem, czego nie mogła zamaskować gra świateł.

Resztę postaci otulała szara szata, nie przypominająca rzeczywistej substancji, lecz raczej naręcze mgły narzucone na chude jak szkielet ciało. Między kolanami siedzącej na tronie istoty znajdowała się masywna rękojeść miecza, a u jej niewidocznych stóp leżał czerep, znacznie większy od tych, jakie widywał Faree. W czasie tkwiło głęboko wbite ostrze miecza — godło tak widoczne w zamku, gdzie czatowała Selrena.

W tej samej chwili Faree poczuł coś, co mogło być pierwszym ciosem w bardzo dziwnej bitwie — ukłucie natarczywego przekazu myślowego.

— Glasrant. — To jedno słowo przeszło mu głowę, jak miecz przebijał czerep u stóp siedzącej istoty. Coś zawrzało, zaczęło się rozpychać — ból, jakiego wcześniej nie potrafił sobie wyobrazić, rozłupywał mu czaszkę. Przez łyzy cisnące mu się do oczu i spływające po policzkach Faree zobaczył, że mocno napięte powieki istoty nie były już zamknięte. Zniknęły, a kiedy chwiejnym krokiem ruszył naprzód, odpowiadając na bezgłośny rozkaz, jego spojrzenie zostało schwyte i uwięzione przez to, co kryło się w głębi odsłoniętych jam: jasne płomienie, czerwone, żółte, prawie białe... Wdarły się do jego głowy, węszyły, przeszukiwały jej zawartość, oceniały, odrzucały na bok rzeczy bezwartościowe, znalazły to, czego chciał stwór w stroju z mgły i ulepiły z tego coś, co potrafiło myśleć, a myśląc, znów słyszeć.

— Byłeś martwy — stwierdziła otulona szatą istota.

— Nieprawda. — Faree miał wrażenie, że ktoś inny włada jego ciałem, jego umysłem. — Twój kopacz nie był dokładny, Fragonie. A potem jeszcze Malor. Twój słudzy nie spisali się dobrze.

Tylko siłą woli utrzymywał się na nogach; w jego głowie płonęło piekło

uwolnionych myśli i wspomnień, starające się zagarnąć więcej przestrzeni, aby znów zająć należne mu miejsce.

— Ach tak, Malor. Często trzeba korzystać z wadliwych narzędzi. — Zakończone czerwonymi paznokciami palce szkieletu zacisnęły się na rękojeści miecza. Jeśli ten gest wyrażał jakieś uczucie, nie odbiło się ono na obciągniętej skórą kościstej twarzy, w której żyły tylko płonące oczy.

— Więc Malor niczego nie zyskał na zdradzie? — Faree zobaczył w myślach twarz o rysach tak podobnych do jego własnych, że mógłby to być twarz jego syna — albo brata?

— Powodziło mu się przez jeden sezon — rzekł obojętnym tonem Fragon. — Jak owocowi quas. Potem nadszedł czas imion i rzucania wyzwania; wyobrażał sobie, że jest niezwycięzony. Wkrótce przekonał się, że tak nie jest. W locie zwyciężył Quaffer.

— I co się wtedy stało? — spytał Faree, widząc przed oczami drugą twarz, tym razem wrogą.

— Quaffer był głupcem! — Odpowiedzi udzielił nie nie żywo—martwy Darda na tronie z dymnych kryształów, lecz dziewczyna, o której Faree zapomniał.

Musiała iść za nim, gdyż teraz podeszła do niego, również nie spuszczać oczu z Mrocznego Dardy.

— Quaffer był głupcem. — Młodzieniec odebrał myślowy impuls przyznający jej rację. — Głupcy i nikczemnicy wypływają na wierzch jak szumowiny w garnku z mięsem postawionym na ogniu. Zawarł pakt z Przekłętymi, którzy odkryli nasz świat. To on kupił ich pomoc, składając im ofiarę — z ciebie, Glasrancie. Szukali cię po całym świecie. Po odlocie gwiazdnego statku, kiedy Jasna Pani i Władca Mieczy zagrozili mu żelaznym płaszczem, przysięgał, że zgubiło cię zło Przeklętych. Tak, młodzieńcze, niejedna tarcza została zboczona krwią i wiele stóp wtedy maszerowało. Wszyscy wiedzieliśmy, że Przekłęci znów wrócą; i tym razem złożono przysięgę na Światło i Ciemność, na Noc i Dzień, Słońce i Księżyc, że cały Lud — Bardowie, Skrzydlaci, Hodlinowie, Wissierowie, Thormowie i Wendowie — zawrze pakt i dotrzyma go, choćby klan był skłócony z klanem i plemię z plemieniem. Zapomnimy o waśniach, dopóki nie nadejdzie czas ostatniej próby. Odkąd przybyli Przekłęci, dokładaliśmy wszelkich starań, aby dotrzymać słowa. A teraz ty przybywasz, Glasrancie, i to z gwiazdnego statku w towarzystwie Przeklętych... — Fragon zamilkł.

Faree pomyślał o Maelen i Vorlundzie, o Zororze i o tym, kim dla niego byli, odkąd uciekł z Obrzeży. Innych wspomnień — tych, na które skazało go brutalne zdjęcie blokady — nie chciał przyjąć do wiadomości.

Fragon pochylił się lekko, opierając dłonie na rękojeści miecza.

— Oni wiedzą... — Wymówił te dwa słowa w taki sposób, jakby żuł coś tak gorzkiego, jak jad Toggora. — Oni wiedzą!

Dziewczyna odwróciła się lekko i spojrzała uważnie na Faree. Jej delikatna, zielonkawa skóra nie maskowała rumieńca, gdy posłała mu pełen gniewu impuls myślowy.

— Ty... — zaczęła, kiedy wtrącił się potężniejszy i wyraźniejszy przekaz Fragona, zagłuszając jej komunikat.

— Nie, Atro, Glasrant nie grał twojej roli. Ty, będąca przynętą Przeklętych, nie możesz zrzucić na niego ciężaru takiej winy.

Rumieniec dziewczyny pociemniał, a potem zgasł. Policzki zbladły jej tak bardzo, że Faree domyślił się, że to, co usłyszała musiało nią głęboko wstrząsnąć. Potem spuściła głowę i zamilkła.

Fragon jednak mówił do niej dalej:

— Jakże to, niebiańska tancerko, chcesz zadać cios czymś, co wydaje ci się

prawdą, lecz sama nie potrafisz jej spojrzeć w oczy? Najwyraźniej Glasrant odkrył coś nowego: Przeklętych starających się zyskać nasze zaufanie. Przyprowadził cię ten, który pokryty jest łuskami jak wisser i dwoje mogących być Dardami. Poszukiwanego przez nich skarbu nie można wyrwać z ziemi ani wyciągnąć z naszych rzek, jezior i mórz; on znajduje się w głowach! — Poruszył rękojeścią miecza, najwyraźniej wbijając go jeszcze głębiej w czaszkę. — Jest takie bardzo stare porzekadło pochodzące z osnutych mgłą prapoczątków naszych dziejów, a są to bardzo odległe czasy według rachuby Przeklętych. Brzmi ono tak: my, mający wspólnego wroga, możemy sprzymierzyć się bez przeszkód, chociaż nie wszyscy pochodzimy z tej samej rasy i tego samego gatunku. Być może twoi kompani, Glasrancie, należą do takiego właśnie paktu.

Dziewczyna znów uniosła głowę.

— Wszyscy przybysze z gwiazd są przekłeci.

— Tak twierdzisz? Zobaczmy. — Fragon odwrócił lekko głowę na kościstych barkach rysujących się pod szatą z mgły; wpatrywał się w drugi koniec wykutej w kamieniu sali.

Pomiędzy szpiczastymi kryształami szła Selrena. Na ramieniu miała zaczerwioną kreskę, a na srebrzystym, obcisłym kombinezonie, okrywającym prawie całe jej ciało, matowe, czarne plamy. Za nią podążały dwie inne osoby, wyższe od niej. Byli to Vestrum, mężczyzna, którego Faree spotkał w kryształowej komnacie, oraz otulona peleryną, w pokrytej szczecina masce postać ze snu Faree.

Za nimi szli następni, każdy w towarzystwie sobie podobnych. Zdążali tam uskrzydłony lord o czerwonych skrzydłach i istoty o skrzydłach czarnych niczym mrok bezgwiazdnej nocy. Człapały stworzenia podobne do gliniaka, który ich przyprowadził, i inne różnej wielkości; przynajmniej cztery tak wysokie, że musiały stale się schylać, aby nie zawadzić o sterzące ze sklepienia kryształy. Vestrumowi towarzyszyli dwaj mali fleciści płasający i grający na piszczałkach, jakby chcieli nakłonić wszystkich do tańca, i trzy panie, wysokie jak Selrena. Miały one złotorude i rozwiane włosy, a suknie przystrojone girlandami kwiatów nie szerszymi od wstążek.

— Wzywałeś — rozległ się chrapliwy głos Zwierzęcej Maski, który zajął miejsce przed kryształowym tronem. Nie złożył hołdu Fragonowi, choć cała jego wstrętna i pstra świta skłoniła się przed Panem Ciemności.

— A ty postanowiłeś przybyć — odpowiedział mu myślą Fragon. Najwyraźniej Zwierzęca Maski nie zamierzał dalej się posługiwać tą formą komunikacji, gdyż znów przemówił. Faree nie zdziwił fakt, że go rozumie. Sama obecność Fragona, jak i jego własna, utwierdzały go w przekonaniu, że kiedyś było tu miejsce dla niego, a strzępy pamięci, które przypuszczalnie nigdy się już nie splecą, dały mu moc, jakiej nie próbował jeszcze zrozumieć.

— Zwracam ci wolność — rzekła Selrena, nie do młodzieńca, lecz do dziewczyny. — Masz jednak... — rozłożyła szeroko palce prawej dłoni i położyła je na czubku głowy Atry — ...coś, co należy do Nich. — Zagłębiła palce w splątane włosy dziewczyny, a ona krzyknęła cicho z bólu i zachwiała się na nogach. Faree odwrócił się i chwycił ją, nie pozwalając upaść. Z włosów dziewczyny Selrena wyciągnęła coś, co wyglądało na luźno spleciony czepek z cienkiego drutu. Był mocno wpleciony we włosy i musiała go wyrwać, a przy każdym szarpnięciu Atry jęczała. Selrena odrzuciła siatkę od siebie gestem obrzydzenia.

Przedmiot spadł na posadzkę i Fragon przyglądał mu się przez dłuższą chwilę. Potem skinął na gliniaka, który był ich przewodnikiem. Stwór kopnął czepek ogromną stopą, aż ten się poturlał pod jeden z dymnych kryształów podpierających tron Fragona. Błysnęło jaskrawe światło i po siatce została tylko bryłka dymiącego metalu.

— Aaach... — Atra przeczesywała włosy dłońmi. Być może szukała innych

krępujących ją jeszcze więzów. Rozpostarła skrzydła, odpychając nimi Faree. Były teraz większe, a kiedy się poruszały, widać było na nich drobne srebrzyste wzory. Z dumnie wzniesioną głową spozrzała na Selrenę.

— Dzięki ci, Pani. Jaki dług mają teraz wobec ciebie Langrone i czy żyje jeszcze ktoś z tego rodu, aby go spłacić? Wielu zginęło od rzeźnickiego noża, a krew części z nich spada na mnie, gdyż wciągnęłam ich w śmiertelną pułapkę, będąc jeńcem!

— To prawda. — Zwierzęca Maska spojrział na nią, a jego lub jej szorstki głos zabrzmiał chłodno. — Zaciągnięto więcej niż jeden dług, Córko Langrone, gdyż to Noperowi zawdzięczasz wolność...

Stwór będący ich przewodnikiem ukazał rząd żółtych kłów w grymasie mogącym uchodzić za uśmiech.

— Nieprawda! — rozległ się głos lorda o czerwonych skrzydłach. — Może rzeczywiście przysłała podziemnymi drogami, lecz uwolnił ją ktoś z jej własnego rodu. — Kiwnął głową w kierunku Faree. Młodzieniec zauważył, że skrzydlate plemię unika kontaktu z dziwacznymi stworami ze świty Zwierzęcej Maski.

— Dość tego! — Ryk nie był słyszalny, lecz brutalnie wdzierał się do umysłu i Faree był pewny, że nie on jeden odczuł siłę tego rozkazu. — Nie czas teraz rozpamiętywać starych waśni między naszymi plemionami. Glasrant uwolnił ją z niewoli. Ostry Nos wysłał tych, którzy przyszli mu z pomocą. Cel osiągnięto wspólnie. Ważniejsze jest, aby Glasrant powiedział nam, czego możemy się spodziewać po załodze drugiego statku... Kim są ci handlarze niewolników, Synu Langrone? I jakie nowe szkody zamierzają tu wyrządzić? Faree gwałtownie potrząsnął głową.

— Żadne szkody, przywieźli mnie...

— Jako przynętę! — syknął ktoś ze świty Zwierzęcej Maski.

— Nie. — Faree pomasaował swoją obolałą głowę. Być może mur w jego umyśle został naruszony, miejscami strzaskany, lecz nadal przypominał sobie tylko wyblakłe strzępki i skrawki wydarzeń, jakby patrzył na jakąś kronikę z kolekcji Zorora, na wpół zniszczoną przez wilgoć i nadgryzioną przez robactwo. Wiedział, że należy do zgromadzonego tu skrzydlatego ludu, a oddał go przemytnikom jeden z jego rodaków, żądny władzy, po jaką mógłby sięgnąć dorosły Faree. Żywił instynktowną niechęć do Fragona, wyczuwając odrażający smród bijący z mglistej szaty. Nie miał także zaufania do Selreny i czarnoskrzydłych, tworzących jej eskortę. Jednak nawet teraz przypominał sobie tak niewiele...

Selrena musiała śledzić jego myśli.

— Co pamiętasz, przypomnij sobie!

Faree stwierdził, że nie może sprzeciwić się jej rozkazowi. Rozpoczął od mglistych wspomnień pół-życia, jakie pędził na Obrzeżach. Wspomnienia nabrały wyrazistości dopiero, gdy trzymający go w niewoli kosmiczny wędrowiec zmarł, a on sam uciekł. Kolejne dni były tak jednakowo wypełnione nieustannym zagrożeniem, że zlewały się w jedno pasmo nieszczęścia, a jedyną odrobinę światła wносиła jego więź z Toggorem. Potem zjawili się Maelen i Vorlund. Jakimś cudem przejęli się jego losem wystarczająco, aby podźwignąć go ze smrodliwego błota Obrzeży i przyjąć do wąskiego kręgu swych przyjaciół.

Po tym, jak Gildia próbowała przejąć nad nimi władzę, polecieli na Yiktor i spotkali Thassów. Myśl o Thassach i ludziach Maelen po raz pierwszy wywołała poruszenie wśród słuchających i odczytujących obrazy w jego pamięci. Vestrum przerwał ten nieomal hipnotyczny trans odsłaniający przeszłość Faree.

— Ci Thassowie, z jakiej są planety? Skąd pochodzą? Jakie mają zdolności?

— Dlaczego sam ich o to nie spytasz? — odparła Selrena. Jej orszak rozstał się, aby zrobić przejście dla Maelen. Migotliwe światła kryształów zdawały się skupiać na

jej smukłym ciele odzianym w ciemny kosmiczny kombinezon, upodabniając go do stroju osoby równej Selrenie lub nawet godniejszej. U jej boku szedł Vorlund; on również wydawał się spokrewniony z Dardami i na swój sposób równie potężny jak Vestrum. Za nimi podążał Zoror, rozglądając się uważnie w prawo i lewo, jakby chciał zanotować w pamięci każdy najdrobniejszy szczegół otoczenia.

Przybyli lekko skinęli dłonią Fragonowi, witając się z nim tak, jak gdyby witali pobratymca, z którym niewiele ich łączyło. Maelen jednak uśmiechnęła się do Selreny i uniosła przed nią obie ręce, wykonując palcami skomplikowane ruchy, jakby zapisywała jakąś wiadomość w powietrzu.

Po raz pierwszy Faree dostrzegł na twarzy Dardy dziwny wyraz — ślad konsternacji. Vestrum podszedł do niej i zmierzył kosmiczną przybyszkę baczny spojrzeniem. Jeden z maleńkich flecistów niespodziewanie wykonał szybki ruch i przykucnął między nim i Maelen.

Z jego piszczałki wydobyła się cicha, słodka melodia. Maelen słuchała jej przez kilka chwil. Potem z jej ust popłynęła pieśń bez słów, nuta w nutę taka sama. Na twarzy Vestruma odbiło się zdumienie. Ręce Selreny poruszały się mimowolnie, palce wznosiły się i opadały w takt pieśni bez słów.

Skrzydlate istoty tak były wzburzone, tak łopotały skrzydłami, jakby chciały wzlecieć ponad tron Fragona, chociaż nikt tego nie zrobił. Młodzieniec również zareagował — zrobiło mu się tak lekko na sercu, jak jeszcze nigdy, odkąd rozpoczęli tę wyprawę. Poczuli, że ktoś chwytą go za dłoń i wiedział, że to Atra na swój sposób reaguje na moc zaklęcia. Tylko Fragon, istota w masce bestii i jego orszak pokurczy nie drgnęli. Wykrzywione grymasem twarze niektórych dorównywały brzydotą masce ich wodza.

— Jesteście... z Rodu! — rzekł Vestrum, kiedy flecista przestał grać i ucichła pieśń Maelen. — Z zaginionego ludu wędrowców!

— Jestem Thassą — odpowiedziała Maelen. — Mój lud jest tak stary, że zapomnieliśmy o własnej przeszłości. Dawno temu wyrzekliśmy się wszelkiej własności: stałych domów, ziemi — oprócz tej, po której się jeździ — mienia, wszystkiego, co ciążyło naszym duszom. Zerwaliśmy więzi z przeszłością — pragnąc tylko tego, co dawało nam życie z Maleństwami — wiedzy przynoszącej dobro, a nie wyrządzającej szkody...

— Jesteście z Rodu! — powtórzył Vestrum. — I pochodzicie z Zaginionego Ludu! Jest nas niewiele. Zaledwie pół setki. Wielu zamknęło się w stworzonych przez siebie światach, gdzie mogą być bogami, bohaterami lub... — posłał spojrzenie Fragonowi, po czym odwrócił wzrok — diabłami. Starzejemy się ze znużeniem i świadomością, że dokądkolwiek pójdziemy, Oni podążą za nami, przynosząc śmierć i swoje choroby, aż wreszcie zniszczą wszystko, co znamy. Czy podróżujecie wśród gwiazd, szukając odległych krewnych? Jeśli tak, udało wam się — twierdzą, że należycie do Rodu!

— Do Rodu — powtórzyła jak echo Selrena. — Sądzę jednak, że zdążają inną ścieżką. Macie moc, lecz nigdy nie wykorzystaliście jej w pełni... — Uniosła głowę i wydawało się, że jej ciemne oczy powiększyły się. — Wybraliście inny sposób życia. Może... — zawahała się — wasza decyzja dała wam zadowolenie, jakiego my nie zazналиśmy. Co robicie z Nimi, kiedy nadchodzą?

— Żyjemy osobno, a ponieważ nie mamy skarbów i chodzimy innymi ścieżkami, od niepamiętnych czasów nie znamy ciemności. Są teraz inni, którzy ustanowili prawo, że nikogo nie wolno niepokoić, jeśli żyje w pokoju. — Maelen spojrzała na Fragona. — Jaki jest twój pokój, panie? Twoje absolutne rządy? A co wy na to? — Powoli spoglądała na wszystkich zgromadzonych w półkołu. — Czy zanim przybyli obcy z innej planety, panował tu pokój?

Faree przypomniał sobie szkielety w ciemnych korytarzach i komnatę okropności.

— Zdarzały się między nami zwady. — Fragon odpowiedział pierwszy. — Takie nieporozumienia zawsze kiedyś ustają. Nawet władza może się znudzić. Powiem to pierwszy — ja, o którym mówiono wiele złego i być może słusznie. Nadchodzi taka chwila, kiedy spełniło się wszystkie życzenia, zaspokoilo wszystkie żądze. Wtedy... — jego dłoń na rękojeści miecza wbitego w czaszkę musiała zdrzeć lekko, gdyż dał się słyszeć zgrzyt — jest się niczym. — Potem celowo zagrzechotał czaszką, obracając rękojeścią miecza w obie strony. — Oni znaleźli nas i bawili się naszym kosztem, szczując nas na siebie nawzajem, jak czynili to już niezliczoną ilość razy. Po ich przybyciu odżyły dawne waśnie. Dlaczego nie dać im tego, czego chcą — niewątpliwie zwracał się do stojących za Maelen — jesteście już zgubieni...

— To nieprawda. — Dało się słyszeć trochę niższe pasmo myślowego przekazu Zorora. — Nigdy się jeszcze nie zdarzyło, aby jedne drzwi się zamknęły, a drugie nie czekały, aby je otworzyć...

— Co z tego? — spytał Fragon. — Nie należysz do nich ani do Rodu, chyba że nasze kroniki nie są kompletne. Jaką w tym rolę odgrywa twoje plemię?

— Gromadzimy wiedzę, szukamy początków...

— Sądząc, że zakończenia są lepiej oznaczone? — Vestrum utkwiał wzrok w oczach Zakatianina i stał nieruchomo, jakby powstała między nimi jakaś więź. Potem dodał: — Kim jesteś, że potrafisz tak głęboko zajrzeć do wnętrza innych? Jesteś...

— Zakatianinem.

Faree wiedział, że mieszkańcy tej planety uznali go za swego, a jego towarzysze prawdopodobnie zgadzali się z ich zdaniem. Pomimo to w tej chwili nie czuł żadnej więzi z innymi skrzydlatymi istotami, chociaż pragnął tego, odkąd jego własne skrzydła wyłoniły się ze swej okrywy.

— My szukamy wiedzy.

— Wiedza potrafi być obosiecznym... — zaczęła Selrena, kiedy — po raz pierwszy — Fragon wypuścił z ręki rękojeść miecza. Uniósł szponiastą dłoń i lekkim gestem przerwał jej w pół słowa.

— Wiedzy nigdy nie wolno zaniedbywać. Powiedz nam, poszukiwaczu zaginionych rzeczy, co nas teraz czeka? Dzisiejsze kłopoty mają korzenie w przeszłości.

— To, co ty i twój lud już znacie. — Zoror pokiwał głową. — Sam powiedziałeś, że choć w przeszłości nie byliście przyjaciółmi, zbrataliście się teraz...

— Zbrataliśmy się? — przerwała im Atra, mówiąc wysokim, ostrym głosem. — Spytaj tych, którzy na wezwanie do zgromadzenia wylecieli z Burdenholmu, co stało się potem! Trafnie Wcześniejsi nazwali cię przeklętym, Fragonie!

— Sam widzisz... — Prastary Darda nie odpowiedział na jej wyzwanie, lecz postanowił dokończyć rozmowę z Zakatianinem — że mamy niewielkie podstawy do budowania czegokolwiek, co chociaż trochę przypominałoby prawdziwe braterstwo. O ile wiemy, Langrone zostali prawie całkiem wymazani z kart naszej historii. To prawda, że wszystko zaczęło się od zdrady i niegodziwych czynów. On sam — wskazał ręką Faree — może o tym zaświadczyć, choć pamięć o tym fakcie niemal całkiem zatarto w jego umyśle. To rzeczywiście Glasrant i prawdziwy władca tych samych Langrone, po których już prawie nie ma śladu. Wszystkie jego przeżycia stanowią rezultat krwawych zatargów między dwiema osobami przedkładającymi fałszywy honor nad dobro ogółu. A Atra, przemawiająca teraz tak szczerze, też posłużyła za broń w walce ze swym własnym ludem — lecz winę za to nie ponosi żaden z nas — skrzydlaków, gliniaków czy Bardów. Przekłęci Niebiańscy Jeźdźcy prawie czwartą część naszego świata splamili krwią i uczynili miejscem rzezi. Zawsze podążają za nami, od jednej planety do drugiej. Używają przeciwko nam parzącego metalu i rozmaitych mocy, których źródłem są przedmioty zrobione z tego samego

żelaza. Potrafią odebrać nam zmysły — świadkiem może być Atra. Walczą ogniem, a my możemy tylko polegać na dawno nabytych umiejętnościach i bronić się ze wszystkich sił. W tej godzinie stoimy razem, moc obok mocy, abyśmy nie zostali zmieceni z powierzchni ziemi. Wy również przybywacie z gwiazdnych szlaków, lecz nie przypominacie Ich. Jest w was coś, co upodabnia was dużo bardziej do nas samych. Przywieźliście ze sobą Glasranta. Przebadaliśmy jego umysł i wiemy, że nie jesteście zatruci tym jadem, którym Oni kalają wszystko, czego dotkną. Jest was troje i pochodzicie z różnych ras... Ty, Pani — zwrócił się do Maelen — jesteś z bratniego ludu. A on — teraz wskazał Vorlunda — myśli tak jak ty, chociaż nie zrodził się z waszej krwi i wewnątrz może być jednym z Nich. W tobie, Zakatianinie, nie ma nienawiści do nas, jedynie zdumienie i radość z odkrycia naszego ludu. Nie jesteśmy więc wrogami, chociaż może nie jesteśmy też przyjaciółmi...

Vestrum drgnął lekko.

— Słowa za słowami, Fragonie! Wezwałeś nas do czynów. Kazaliśmy Selrenie i jej skrzydlatym sługom toczyć walkę z wrogami samą tylko siłą psychiczną, nasyłając na Tych, którzy zabijają bez litości, upiory stworzone przez umysł...

— To prawda — wtrąciła Selrena. — Czy nie poświęciliśmy zbyt wiele czasu na słowa? Póki Atra była z nimi, nie mieliśmy szans na atak, gdyż domyśliłaby się wszystkiego i mimowolnie by nas zdradziła. Kiedy więc on — kiwnęła głową w kierunku Faree — znalazł się w zasięgu naszych rąk, z łatwością go schwytaliśmy i użyliśmy jako klucza, aby otworzyć więzienie Atry — z czego wywiązał się doskonale. Co mamy teraz zrobić? Jeszcze raz stworzyć widmowe wizerunki samych siebie i kazać im przemierzać niebo? Widma niewiele mogą zrobić i wiemy już, że Oni w nas wątpią. Pytam więc was Fragonie i Vestrumie, jak również ciebie — wskazała Zwierzęcą Maskę — co zrobimy?

Fragon zwrócił się wprost do Maelen.

— Co zrobimy?



## Rozdział 17

„Co zrobimy?” — Fragon spytał Maelen. Może nie spodziewał się, że odpowie, jednak to zrobiła.

Faree — nie potrafił jeszcze nazywać się tym drugim imieniem, jakie mu nadano, ani w pełni pogodzić się z faktem, że należy do tutejszej rasy — leżał na brzuchu na skalnym występie. Jego rozpostarte skrzydła miały ten sam kolor, co kępki porostów między kamieniami i służyły mu za kamuflaż. Toggor kulił się tuż pod skrajem jego prawego skrzydła. Smaks nie sięgał wzrokiem tak daleko jak młodzieniec, ale wyęczał swoje zmysły ze wszystkich sił.

Za nimi leżeli inni skrzydlaci, a ich naturalne kolory skrzydeł zlewały się z tłem skał — szarzy ze srebrzystymi wzorami i ci o ciemniejszej skórze towarzyszący Selrenie. Obserwowali z góry obcy statek i małą osadę przy jego statecznikach.

Było późne popołudnie i w obozie panował ruch. Trzy dni temu kilku kosmonautów próbowało zejść do podziemnego tunelu, aby odnaleźć zbiegłych więźniów. Przekonali się jednak, że większość korytarza zawaliła się; po przejściu kilku stóp nie można było nawet stwierdzić, w jakim biegł kierunku.

Przybysze penetrowali też niebo. Przyspieszono naprawy śmigacza, aby uzbrojone w lasery patrole znów mogły krążyć po okolicy, zataczając coraz szersze kręgi. Mieszkańcy kryształowej groty dwukrotnie sprowadzili mgłę, którą najczęściej się bronili, ale śmigacz przelatywał przez nią, najwyraźniej zupełnie nie zwracając uwagi na tę oślepiającą projekcję. Nie próbowali już więcej masowej halucynacji, jaką posłużyli się do zatarcia śladów ucieczki Atry.

Z prób psychopolacji, jakie podjęli Fragon i Maelen — dwoje nieoczekiwanych towarzyszy broni — wynikało niezbicie, że mieszkańców obozu strzegły urządzenia chroniące zarówno przed penetracją umysłu, jak i trwałym złudzeniem — dwoma rodzajami prastarego i stosunkowo skutecznego oręża Ludku.

Pod względem siły fizycznej też nie mogli się z nimi mierzyć. Miecze i naładowane energią różdżki, inna tradycyjna broń, jakiej używali od niezliczonych pokoleń, nie mogły równać się z laserami, oplątywaczami, a nawet nieharmonijnym dźwiękiem. Kiedy jakiś czas temu taki hałas skierowano z obozu, większość skrzydlatych, Dardów i kilku jeszcze innych ze starej rasy zostało na jakiś czas obezwładnionych. Tylko mieszkańcy podziemi, którzy natychmiast uciekli do swoich tuneli, nie ucierpieli. Wtedy Zoror wypuścił coś, co przypominało uskrzydloną rurkę. Urządzenie wzniosło się nad wrogi statek i obozowisko i wydało taki sam świdrujący dźwięk, odbijając go niczym lustro. Dźwięk wznosił się coraz wyżej, jakby każdą nutę nawleczono na sznurek i wyciągnięto poza skalę.

Ujrzeni wtedy ludzi wybiegających na otwartą przestrzeń, zataczających się i przyciskających ręce do uszu. Niektórzy osuwali się na kolana, potem padali na ziemię i tarzali się po niej, najwyraźniej z bólu. Wreszcie któryś oprzytomniał na tyle, żeby wyłączyć własny sygnał. Cisza, jaka wtedy zapadła, przypominała przejmującą ciszę śmierci.

Grupka szpiegów zacząjona na zboczach wielkiej doliny, gdzie wylądował statek, odzyskała przytomność szybciej niż ich wrogowie. Kiedy Faree i jego towarzysze ocknęli się, do największego z namiotów w obozie niesiono przynajmniej trzy bezwładne ciała, a kilku innych ludzi z trudem wlokło się do statku.

Chwilę później wystartował śmigacz i zaczął przeczesywać okolicę, zataczając coraz szersze kręgi. Faree, obserwując ten lot, obawiał się, że najeźdźcy mogą być wyposażeni w urządzenia wykrywające. Trzymali Atrę dość długo, aby ją zbadać i

wprowadzić jej wzór do „pamięci” czujnika. Dzięki temu każdego przedstawiciela jej gatunku można było natychmiast wykryć na ekranie śmigacza. Fakt, że nieprzyjaciel nie przyleciał od nawietrznej i nie ostrzelał ich ze wszystkich z laserów, był dla młodzieńca czymś zupełnie niezrozumiałym. Przywarł mocniej do ziemi, wbijając palce głęboko w glebę, jak gdyby był gliniakiem przyzwyczajonym do szybkiego znikania pod ziemią.

Atra była na górze z Maelen i Fragonem, którzy poszukiwali w jej psychicznym zmyśle zapowiedzi przyszłego ataku, chcąc się upewnić, czy nie umieszczono w nim jakiejś nieprzyjemnej i ukrytej broni na wypadek, gdyby udało się jej dokonać niemożliwego i uciec. Młodzieniec współczuł jej; w przeszłości sam zbyt często poddawany był badaniom niedostępnej dla niego części umysłu.

Jeśli najeźdźcy zbadali Atrę, wyniki musiały mieć zbyt bliski związek z jej osobowością, aby mogły posłużyć do zlokalizowania jej pobratymców. Śmigacz zataczał coraz większe koła i nie zmniejszył szybkości, kiedy przeleciał nad kryjówką drużyny Faree.

Trzej olbrzymi, którzy weszli do kryształowej groty w towarzystwie Zwierzęcej Maski, wiele godzin temu poszli z Vorlundem do jego statku. Byli potrzebni do przetransportowania sprzętu, jaki Krip i Zoror zabrali w tę podróż. Nie wybrano niczego, czego nie wolno byłoby używać w prymitywnym świecie — jeśli tę planetę, nazwaną przez pierwszych przybyszy Elothian, można było nazwać prymitywną. Lud dawno wypracował własne metody obrony, przypomniał sobie lekcje historii, aby strzec swego nowego świata najlepiej, jak to możliwe. Fakt, że raniły ich ciężkie metale, zwłaszcza żelazo (Faree wystarczyło spojrzeć na opatrunki, jakimi pokryto oparzenia Atry, powstałe od łańcuchów, żeby zrozumieć, jakie szkody mogło spowodować), zawsze stawiał ich w niekorzystnym położeniu podczas starć z pozaziemcami.

Kryształy w grotach, jakie tu znaleźli, dostarczyły broni równie groźnej, co lasery. Lasery jednak mogły zabijać z odległości znacznie większej od tej, z jakiej strzelec Ludu mógł wypuścić elfie strzałki, niewielkie, ostre niczym igły okruchy ciemnych kryształów, po wbiciu się w ciało powodujące chorobę i zamięnienie zmysłów. Istniały także inne rodzaje broni, w większości związane ze zdolnościami psychicznymi. Te z kolei wymagały dokładnej oceny mentalnej siły przeciwnika. Podczas pobytu w niewoli u pozaziemców Atra zachowała jednak taką przytomność umysłu, że mogła teraz przekazać swojemu ludowi wyraźny obraz ich zdolności.

Zoror krążył po wyższych partiach gór — dość daleko od nich. Wyposażony w miotacz odpowiedni dla silnego Zakatianina, odcinał wszelkie drogi, jakimi nieprzyjaciel mógłby wdrzeć się do twierdzy Ludu, pominąwszy atak z powietrza.

Choć ciałem był obecny przy tym zajęciu, Faree wiedział, że duch Zakatianina znajdował się w zupełnie innym miejscu — szukał w swej obszernej pamięci wszystkich faktów z przeszłości, jakie mogłyby im się teraz przydać. Co się zaś tyczy samego Faree...

Spojrzał na obóz w dole, który po godzinach obserwacji wydawał mu się tak znajomy, że był pewien, iż zapamiętał wszystkie krzywizny każdego namiotu. Przed nim pełnili wartość inni, lecz wnikliwa obserwacja terenu nie dała im wiele.

Szybko zorientował się, że latarnia oświetlająca okolicę podczas jego pierwszej wizyty była nowym nabytkiem. Zdaniem Vorlunda i Zorora statek przeprowadzał tylko zwiad dla liczniejszych sił. Co noc z dziobu statku wysyłano promień świetlny, aby wskazywał im drogę.

Wszyscy zdawali sobie sprawę, że przybycie posiłków uniemożliwi im skuteczną obronę. Dlatego musieli pozbyć się latarni. To było zadanie dla Faree. Rozwiązanie tego problemu spoczywało tuż pod łukiem jego skrzydła — płaskie pudełko, trochę

większe od jednej z jego obandażowanych dłoni.

Vorlund poświęcił prawie cały dzień na skonstruowanie tego, co znajdowało się w jego wnętrzu. Pomagało mu dwóch pokracznych gliniaków obrabiających metal w ogniu z wprawą mistrzów kowalstwa. Przyglądali się rysunkom, jakie sporządził kosmiczny przybysz, i bacznie wsłuchiwali się w jazgot stanowczych poleceń Zwierzęcej Maski, wodza tych mieszkańców mroków — istot o umysłach przebiegłych i często zdradzieckich. Użyli metalu, lecz był to stop srebra, lanego z glinianych czerpaków, i złota, spuszczonego do wąskich glinianych rurek, który później kuto młotami. Splatano z niego drut prawie tak cienki i giętki jak nici.

Miesiące temu skrzydlata rasa Ludu odkryła, płacąc za to wysoką cenę, że zbliżanie się do obozu z powietrza jest szaleństwem. Powietrze wokół statku przecinały niewidzialne zakłócenia zdolne sparaliżować skrzydła i strącić lotników ginących podczas upadku, lub — jeśli skrzydła miały zostać odcięte — ściągnąć te bezradne i nieruchome istoty na ziemię, gdzie czekała na nie inna śmierć. Niemniej jednak wszystkie te loty — a kiedy stwierdzono, czym się kończą, było ich już bardzo niewiele — miały miejsce tylko wtedy, kiedy skrzydlaci nierozsądnie przelatywali nad namiotami albo nad odsłoniętą częścią statku na dużej wysokości.

Ciało Faree było teraz opasane dwoma szerokimi pasami. W każdym z nich znajdowały się wąskie kieszenie, gdzie Vorlund umieścił maleńkie urządzenia wykonane przez kowali w pośpiechu. Odkąd spotkali się w tej kryształowej grocie siedem dni temu, wszyscy czuli, że muszą się śpieszyć. Ile jeszcze czasu upłynie, zanim sygnał latarni ściągnie liczniejsze siły wroga?

Szansa na zwycięstwo zależała od tak wielu „jeśli” — jeśli Faree zdoła wlecieć niepostrzeżenie w przestrzeń powietrzną nad obozem nieprzyjaciela, jeśli uda mu się przyczepić urządzenie do właściwego miejsca na statku, jeśli to rzeczywiście poskutkuje. Podstawą wszystkiego była nadzieja i to, czego mogły dostarczyć obserwacje i wiedza Ludu, encyklopedyczna pamięć Zorora, okrętowa wiedza Vorlunda, urodzonego kosmicznego wędrowcy, oraz Maelen i Dardów współpracujących ze sobą po raz pierwszy w historii ich kolonii na Elothian. Tak wiele „jeśli” — pomyślał Faree, lecz chyba nie mieli innej szansy. Obserwował powoli zachodzące słońce. Całe ciało bolało go od nerwowego napięcia wywołanego oczekiwaniem.

Wraz z nadejściem zmierzchu śmigacz zawrócił i wylądował w półmroku niedaleko trapu statku. Czterooosobowa załoga małego pojazdu wysiadła — trzech mężczyzn poszło w stronę namiotów, jeden wbiegł po trapie do statku. Faree klęknął i Toggor jednym susem wcisnął mu się pod koszulę. Młodzieniec wyczuwał napięcie wciąż ukrywających się towarzyszy. Nie było czasu ani odpowiednich materiałów, aby wyposażyć pozostałych w ten niewypróbowany jeszcze środek ochrony, jaki miał przy sobie. Oni jednak mieli własne zadanie i już wzbijali się w powietrze, aby zastawić pułapkę stanowiącą następny punkt obrony.

Pomiędzy dwoma przywódcami o skrzydłach czarnych jak noc wisała siatkowa torba. Obciążała ją przynęta — naczynia i ozdoby ze srebra i złota. Wykonali je kowale, czerpiąc radość z opracowania kryształów w taki sposób, aby skrzyły się najpiękniej. Atra, a także inni gliniacy, którzy wybrali się na przespiesi na własną rękę, powiedzieli im, że najeźdźcy cenili Lud nie tylko jako surowiec w handlu (kiedy mogli wyrwać skrzydła konającym), ale też wierzyli, że jest on strażnikiem skarbów. Potwierdził to Zoror, mówiąc, że takie historie stanowiły nieodłączną część wielu opowieści, do jakich dotarł.

Na brzegu strumienia było miejsce, gdzie nurt podciął spory kawałek ziemi. Tam chcieli częściowo ukryć „skarb”; kilka przedmiotów miało leżeć w wodzie na płyciźnie i czekać, aż najeźdźcy je zauważą. Selrena ukończyła nadzorowanie

przygotowań i zajęła miejsce u stóp wzniesienia, z którego miał odlecieć Faree. Gliniacy donieśli jej o najeźdźcach śpiących poza statkiem. Dwóch z nich wybrała sobie na ofiary. Tej nocy będą mieli sny, gdyż Selrena testowała umiejętność wywoływania halucynacji subtelnym psychicznym kontaktem. Tak jak rzekomym atakiem z powietrza kierowała wyłącznie za pomocą wysyłanych obrazów, tak potrafiła dotrzeć we śnie do każdego z ludzi w obozie. „Rzeczywistość” tego snu podzielała najsilniej na pewne charaktery, a Vorlund i Maelen byli przekonani, że takich charakterów tam nie brakowało. Ci dwaj będą mieć tej nocy barwne sny, tak wyraziste, że następnego poranka zaczną działać. Zważywszy na to, kim byli, będą prawdopodobnie próbowali ukryć swe zamiary.

Faree leciał, rękami przyciskając mocno do piersi urządzenie, które miał umieścić na statku (Toggor wspiął się wyżej i siedział tuż pod jego podbródkiem). Wzbijał się coraz wyżej w chłodne nocne niebo, mknąc w stronę snopu światła strzelającego z dziobu statku prosto w gromadzące się chmury. Leciał rozpaczliwie, nie wiedząc, czy nie straci go z nieba jakieś bezgłośnie urządzenie obronne. Wprawdzie nic go nie zaatakowało podczas tych pierwszych chwil, kiedy znajdował się na otwartej przestrzeni na skraju obozu, nie był jednak pewny, czy jego lotu nie rejestruje jakieś skomplikowane urządzenie na dole.

Musiał wylądować na kadłubie statku dużo poniżej miejsca, skąd wydostał się ten słup światła. Dobrze pamiętał informacje, jakie wbił mu do głowy Vorlund. Ten wędrowiec, niemal od urodzenia podróżujący gwiazdnymi statkami, doskonale znał ich słabe miejsca i wiedział, gdzie najlepiej uderzyć.

Faree wymacał krawędź niewielkich drzwiczek, z których robotnicy korzystali podczas remontu. Wiedział, że nie dostanie się nimi do środka. Od dnia jego ucieczki wszystkie takie miejsca były z pewnością obserwowane. Posłużyły mu jednak za punkt orientacyjny. Gdy dotarł do nich, nic nie wskazywało, żeby zauważył go którykolwiek ze strażników, jacy niewątpliwie pełnili tam służbę. Miał ogromną ochotę użyć psychopolacji — napotkanie obcych wzorów myśli stanowiłoby dla niego ostrzeżenie. Musiał jednak poruszać się na oślep.

Podciągnął się na jednej ręce i palcami stóp wymacał prawie niewidoczną szczelinę drzwi. Jeden z krążków na jego pasku niespodziewanie poruszył się w przód i przywarł mocno do powierzchni zamkniętego włazu.

Bosymi stopami wyczuwał pulsowanie ciepła. Statek nie został zbudowany z zimnego żelaza, tego zabójczego metalu, jednak w stopie pokrywającym jego powierzchnię było go wystarczająco dużo, aby odczuł jego obecność. Zapominając o bólu, wyjął przyniesioną skrzynkę i chwycił zębami sznurek, jakim było obwiązane jej wieko, aby obie ręce mieć wolne.

W tej samej chwili otrzymał ostrzeżenie, że rzeczywiście wykrył go jakiś alarm. Przez głowę przemknęło mu pasmo chaotycznych myśli. Uczepił się prawie niewidocznej szpary włazu i rozpaczliwie wdrapywał się na górę, podczas gdy natrętny impuls szturchał i trącał jego naturalną barierę myślową.

Przyłożył wąskie pudełko do kadłuba statku, trochę poniżej dzioba. Skrzynka natychmiast mocno sklepiła się z jego powierzchnią — bez długotrwałej pracy z narzędziami, na co najeźdźcy nie mieli czasu, nic nie mogło jej oderwać. Kiedy pudełko przywarło do ściany, Faree palcem uruchomił to, co znajdowało się w jego wnętrzu. Odsunął się i odleciał z łopotem skrzydeł, starając się jak najszybciej oddalić od przyniesionego przedmiotu.

Był już daleko od statku, poza kręgiem namiotów, kiedy urządzenie wykonane przez Vorlunda wybuchło. Płomień rozjaśnił niebo i wznosił się na spotkanie promienia latarni. Snop światła raptownie zgasł i Faree usłyszał ryk. Potem nastąpił drugi wybuch, który osmaliłby mu skrzydło, gdyby ze strachu nie skręcił w bok, nie

oddalając się już od obozu najkrótszą drogą.

Na dole podniósł się zgiełk. Powietrze przeszły dwie laserowe włócznie, co przyprawiło Faree o dreszcze tak gwałtowne, że jego miarowo łopoczące skrzydłaomal nie znieruchomiały. Mimo to promienie laserów przecinały powietrze wystarczająco daleko, aby sądzić, że nie został zauważony, że strzelano na oślep, wyłącznie ze strachu.

Zdołał uciec i gwałtownymi machnięciami skrzydeł zmierzał w stronę miejsca, gdzie ukrywał się za dnia. Minął je i pomknął ku zwietrzałym kamiennym słupom strzegącym jedyne wejście do podziemnych tuneli. Tam znajdowała się kryształowa sala, miejsce umówionego spotkania. Faree wylądował przy wejściu do groty i poczuł zapach stęchlizny, który poinformował go o obecności przynajmniej jednego gliniaka. Nie wszedł do środka, lecz odwrócił się, żeby spojrzeć na statek.

Latarnia zgasła, lecz dziób statku wciąż był mgliście oświetlony, jakby kłębiły się wokół niego chmury ognia. Co jakiś czas Faree wyraźnie dostrzegał błysk płomieni, niewątpliwie niszczących powłokę statku tuż poniżej sterówki.

Włóczędzy i kosmiczni wędrowcy pokroju tej kompanii wozili zwykle ze sobą pewne materiały do napraw, jednakże Faree był przekonany, że statek został zbyt poważnie uszkodzony, aby pomógł mu prowizoryczny remont, jaki potrafiła przeprowadzić załoga. Sam Vorlund mimowolnie nauczył się — pomagając naprawiać inne samotnie podróżujące statki — jak wyrządzić największe szkody za pomocą tego, co można wykonać z dostępnych materiałów.

Z oddali dobiegł go jakiś odgłos, być może żarłocznych płomieni albo krzyków wielu ludzi. Jak gdyby w odpowiedzi, ciemne chmury nad ich głowami odbijające blask ognia, zbiły się ciasniej, a potem spadł z nich ulewny deszcz. Towarzyszył mu zrywający ziemię wiatr. Faree schował się do jaskini. Wiedział, że z mokrymi skrzydłami nie może latać, choćby nie wiem jak pragnął dołączyć do skrzydlatych, zastawiających pułapki, albo do Maelen, która ze starym Dardą poszła do zapomnianej czatowni we wnętrzu góry.

Z tyłu, z ciemności dobiegło go warczenie, a smród się nasilił.

— Skrzydlaty — słowo to zabrzmiało jak przekleństwo — precz z drogi... może ty boisz się wiatru i wilgoci, ale my nie.

Faree zwinął skrzydła najciaśniej jak mógł i cofnął się pod ścianę po lewej stronie. Jego oczy, wciąż trochę oślepione, przywykły do mroku dopiero po chwili. Dwukrotnie poczuł szturchnięcie ostrym łokciem, kiedy gliniaki przepychały się obok niego. Nie liczył przechodzących, lecz był pewny, że szło ich wielu. Zastanawiał się, co skłoniło ich do wyjścia na deszcz. Słyszał kiedyś, że niektórzy Dardowie umieją zaklinać pogodę. Spotkanie to miało jednak jakiś cel, którego nie pojmował — zresztą przedstawiono mu zaledwie mglisty zarys tego, co stanie się tej nocy. Ważne było tylko, aby wykonał swoje zadanie, a to właśnie zrobił.

W ciemności nie dostrzegł, dokąd poszły gliniaki. Stwierdził też, że nie ma szczególnej ochoty się tego dowiadywać. Wzdrygał się przed wejściem do tej cuchnącej jamy, lecz musiał stawić się na wyznaczonym miejscu, więc powoli poszedł ścieżką w dół. Tu i tam jakaś bulwa rzucała nikłe światło. Dopóki widział przed sobą te blade kręgi, gotów był iść drogą, która wzbudzała w nim głęboki wstręt.

Toggor wysunął głowę zza jego koszuli i umieszczonymi na słupkach oczami, obracając nimi powoli, uważnie obserwował otoczenie.

Faree potarł dłonie. Wciąż czuł ból oparzeń od żelaza, chociaż opatrunki z lepkich liści, jakich użyła Selrena, przykrywały grubą warstwę maści ze wszechleku. Pomyślał o Dardach — widział tylko trzech, chyba że ten, ukrywający się pod maską bestii, też do nich należał. Fragon mówił, że zostało ich niewielu.

Ilu przedstawiceli jego rasy — skrzydlatego ludu — żyło jeszcze? Członkowie

jego klanu albo przynajmniej tego, do którego go przypisano, najwyraźniej zostali prawie całkiem wybici przez najeźdźców. Inne rody nie były tak zdziesiątkowane, gdyż Langrone zagłada spotkała wkrótce po tym, jak wrogowie wylądowali. Ponieważ skrzydlaci żyli w dużym rozproszeniu na zajmowanej przez nich rozległej przestrzeni, większość ich pobratymców zdołała uciec, z wyjątkiem kilku zaskoczonych — na spustoszonych ziemiach byłych krewniaków — podczas powrotu na swoje terytoria.

Rozumiał, że Ludek podzielił się, gdy spadło nieszczęście z innego świata. On sam odgrywał ważną rolę z powodu więzów rodzinnych, na jakie mógł się powołać. Mimo to był wtedy bezbronny, skazany na chodzenie po ziemi, dopóki nie urosną mu skrzydła. Ze strzępków informacji, jakie podsunęli mu Fragon, Selrena i Atra, wynioskował, że w tym czasie padł ofiarą zazdrości własnego plemienia. Jego ojciec — wódz Langronów — został obalony podczas klanowo-gatunkowego zatargu, jaki wybuchł między jego ludem a gliniakami (za namową Fragona i z powodu, którego Faree nie potrafił odgadnąć). Trafił wtedy do niewoli Museyonów, mieszkańców nocy i tropicieli w mroku. Odpowiadali oni — czasami — przed Zwierzęcą Maską, lecz z reguły chodzili własnymi pokrętnymi ścieżkami.

Z ich rąk wyzwolił go zdrajca — krewny jego ojca, urażony faktem, że władza nie przypadła jemu. Naiwny przekazał im młodzieńca, łudząc się, że w ten sposób usunie go bez zostawiania śladów, a sam zyska sojuszników.

Ludzie ze statku, który Faree niedawno zaatakował, nie byli pierwszymi przybyszami — przed nimi lądowały inne pojazdy. Pierwszy z nich nie dysponował żadnym z tych sposobów obrony, jakie czyniły z tego statku i jego załogi tak groźnych przeciwników. Tamci przybysze zagarnęli trochę skarbów; wskazano im kryjówkę gliniaków, których Langrone uważali za nieprzyjaciół. Ten łup drogo ich jednak kosztował, gdyż wielu z nich zginęło. Wtedy przypuszczono atak na jamy gliniaków, a ich mieszkańców wyłapano i zabito. Wreszcie po stracie prawie połowy ludzi załoga odleciała z drogo okupionym ładunkiem i stanowczym postanowieniem, że wróci lepiej przygotowana, aby wyrwać ostatni skrawek cennego metalu albo klejnot jego posiadaczom.

To, jak on sam trafił na Obrzeża z Lantim, którego alkohol i żucie grazu zmieniło w żalostnego pijacznę niezdolnego do dalszej pracy na statku, było częścią wspomnień, wciąż wymykającą mu się. Teraz nie miało to znaczenia. Była to historia tak odległa, jak Yiktor od planety, w głąb której schodził. Później wylądował tu jeszcze jeden obcy statek i został przez jakiś czas. W zastawione sidła wpadło kilka ofiar — nawet jeden Darda. Nikt nie wiedział, co zrobiono z jeńcami, ponieważ sondy psychiczne nie docierały w głąb statku. Samo użycie tego talentu mogło spowodować, i spowodowało, pojmanie kolejnych więźniów — najeźdźcy najwyraźniej potrafili namierzyć każde źródło impulsów myślowych.

W ten sposób, nie mogąc użyć jednej ze swych najważniejszych broni — zdolności nawiązywania psychicznego kontaktu, a nawet narzucania innym swojej woli — Lud zdał sobie sprawę, że znów dogonił ich odwieczny nieprzyjaciół i nie mają dużych szans na zwycięstwo nad przybyszami. Żyli na Elothian od wieków i zapomnieli już o prastarej groźbie. Nie dysponowali już niezbędną wiedzą ani materiałami, aby przygotować się do kolejnej ucieczki. Musieli zostać i stoczyć tą skazaną na niepowodzenie walkę. Początkowo powstał między nimi rozłam, gdyż gliniaki uznały, że nic im nie grozi — potrafiły kopać tunele i ukrywać się tam, a najeźdźcy nie byli w stanie za nimi podążyć, chyba że chcieliby pełzać albo czołgać się na brzuchu w ciemności, bezbronni wobec ataku z zasadzki. Łatwiejszy cel stanowili skrzydlaci i zamki Dardów. Dopiero kiedy jedno z miast w jaskiniach zostało zdobyte, a jego mieszkańcy padli ofiarą kłębow dymu z metalowych kul, gliniaki przystąpiły do walki z najeźdźcą.

Ten statek również po pewnym czasie odleciał. Jednak tym razem Dardowie, skrzydlaci i inni zachowali czujność. Ich historia była zbyt prosta — wraz z przybyciem najeźdźców nadszedł dzień ich klęski i mogli już tylko na nią czekać.

Teraz dołączyli jeszcze inni gracze. Faree pomyślał o Maelen, Vorlundzie i Zakatianinie dysponującym wiedzą zgromadzoną w przeciągu wieków. A on sam? Był Langrone, ale także kimś więcej. Uchodząc cało z okropnych Obrzeży, udowodnił, że ma w sobie wiele siły, a podróże z Maelen i Vorlundem nauczyły go rzeczy, o jakich jego rasa mogła nigdy wcześniej nie wiedzieć. Tak, może nie był Dardą, ale nie był też zwykłym skrzydlatym.

Przed nim błysnęło jaskrawe światło. Wszedł szybko do kryształowej komnaty, chcąc się jak najszybciej dowiedzieć, co zrobili pozostali.

## Rozdział 18

Fragon siedział na tronie z ciemnego kryształu. Przypuszczalnie nie ruszył się z miejsca, odkąd Faree widział go ostatnio. Wokół zajęli miejsca pozostali, niektórzy między druzami jaśniejszych kryształów. Na takim właśnie siedzisku dostrzegł Selrenę. Kobieta miała wzniesioną wysoko głowę i zamknięte oczy. Obok niej, trzymając jej smukłą dłoń w swoich, siedziała Maelen. Choć miała otwarte oczy, jej nieobecny wyraz twarzy świadczył o tym, że myślami była gdzie indziej.

U ich stóp siedziała Atra. Znajdowała się w dość dużej odległości od reszty przedstawicieli swej rasy; ci stali zbici w barwną gromadę na uboczu. Ich skrzydła były zwinięte, uwaga skupiona na tych trzech, od których trzymali się z daleka.

Po drugiej stronie tronu Fragona stał Zwierzęca Maską. Po raz pierwszy Faree zobaczył, że zsunięta maska leży jak wiotki kaptur na jego ramionach. Twarz — podobna do oblicza Dardy — miała ciemną cerę, szarawą, jak Fragon. Nie przypominała trupiej czaszki. Ciemna, obrzękła skóra policzków zasłaniała maleńkie oczka. Nabrzmiała jak bania głowa była łysa. Mężczyzna czy kobieta? Nie mógł rozpoznać. Natychmiast poczuł odrazę, co więcej — strach. Na swój sposób owa istota była równie potężna jak Fragon.

Drugiego Dardy, Vestruma, i jego flecisty, nie dostrzegł. Jednakże w chwili, gdy stanął w świetle kryształów, z przeciwnej strony nadszedł Zoror. Położył na ziemi przewód energetyczny, który ciągnął po zboczu. Zauważył wtedy Faree i machnął do niego ręką. Nie dojrzał Vorlunda; przypuszczalnie nie wrócił jeszcze ze statku.

Atra otworzyła oczy i wbiła w Faree twarde, rozkazujące spojrzenie, jakby czekała na niego. Młodzieniec stanął. Dziewczyna odsunęła się od Maelen i Selreny i podeszła do niego. Porwane i brudne ubranie zmieniła na krótką, kremowobiałą suknię ściągniętą w talii paskiem ze srebrnej siatki i niedużymi, zielononiebieskimi kamykami. Opaska z takiego samego materiału przytrzymywała włosy na jej smukłym karku.

Faree zauważył, że łukiem ominęła innych skrzydlatych, których skrzydła pulsowały różem, błękitem lub żółcią. Nie mógł też nie odebrać impulsu myślowego — on nie mógł sobie znaleźć miejsca w tym towarzystwie, ją też najwyraźniej odtrącono. Nie miał wątpliwości, że wyzwoliła się z psychicznej niewoli wrogów, gdyż inaczej nie byłaby tu obecna. Mimo to wciąż ciążył nad nią cień krzywdy, jaką wyrządzono jej, a przez nią innym.

Zapłonął gniewem. Odsunął się od Zakatianina i — w geście sympatii, której nie uświadamiał sobie aż do tej chwili — wyciągnął do niej obie ręce. Jej delikatne dłonie, wciąż ciemne od sińców i poorane bruzdami zadrapań, spoczywały przez chwilę na jego dłoniach, a w jego umyśle zabrzmiały śpiewne słowa.

— Bądź pozdrowiony. Dokonałeś rzeczy większych niż Siedem Czynów Malfora! Sądziliśmy, że dni Trójnazwanych już minęły. — Po raz pierwszy odwróciła wzrok i spojrzała na tych, którzy znajdowali się najbliżej. — Klan Langrone może się poszczycić Tallenem i Asdirem, Tullusą i Rondem. Wstąpiłeś w szeregi szlachetnej i pięknej kompanii, krewniaku!

Dźwięk tych imion zbudził w nim bardzo blade i niewyraźne wspomnienia. Pokręcił głową.

— To dla mnie wielki zaszczyt, krewniaczko. Nie swojej jednak mocy użyłem. — Opuścił ręce i dotknął paska, aby pokazać przedmioty, które zrobili dla niego kowale i Vorlund. — Langrone... — zawahał się. Co ona sobie pomyśli, kiedy powie, że dla niego to słowo nie oznaczało rodziny, że to tylko imię?



— Tak, imię — usłyszał w myślach. — I być może wyłącznie imię, gdyż klanu już nie ma. Widzisz? — Wskazała głową na szeregi skrzydlatych. Potem uniosła rękę i pogładziła krawędź jednego ze swych skrzydeł, a wtedy zrozumiał, co miała na myśli. Tego koloru nie znajdował wśród innych zgromadzonych, jedynie na jego własnych skrzydłach.

— Lanquar i Lis, Lystal i Loyn. — Gdy posłała mu w myślach te imiona, wydały mu się tak znajome, jakby od dawna tkwiły w jego umyśle. — Więcej Langrone jednak już nie odpowie, chyba że ci rozproszeni na Dalekim Pograniczu. A spośród tych, ilu ich było? — Uniosła rękę i wyprostowała smukłe palce raz, a potem raz jeszcze.

W myślach Faree zobaczył to, co przekazała mu siłą woli — surowy krajobraz, wysoką górę, nagie skały i promieniujący od nich mrok, który ciążył na sercu jak ołów. Jeśli jego krewniacy zostali tam przepędzeni lub uciekli w rozpacz...

— Oni nie odpowiedzieli na wezwanie...

Nagle, ku jego zaskoczeniu, do jego umysłu bezceremonialnie wdarł się drugi głos. Przemówił idący w ich stronę skrzydlaty mężczyzna o czerwono-białych skrzydłach. Faree nie wyczuwał w jego słowach sympatii, jedynie odstręczający chłód.

— Skoro nie przybyli na Wielkie Zebranie, to albo nie żyją, albo ich myśli są odległe i słabe. Nie masz bliskich krewnych, Glasrancie.

— Chciałbyś tego! — posłała mu myśl Atra. — Kto zamknął podniebną drogę przed brzemioną Amassą? Kto wysłał w tej godzinie Śpiewaków Zguby?

— Zrobiono to, co trzeba było zrobić. Czasami jeden ginie za wielu...

— Już to kiedyś słyszałem — oburzył się Faree. — Czyż to nie właśnie tę myśl wasza siostra... — Dotknął ramienia Atry i zadrżał, gdyż dotyk ten zjednoczył go ze źródłem ciepła, którego istnienia nawet nie podejrzewał: nie parzyło jak ogień, lecz raczej pieściło, uzdrawiało... — Czyż nie to właśnie przychodziło wam do głowy — znów zaczął — kiedy wasza siostra przebywała w Ich rękach?

— Była przynętą... — odparł tamten. — Lepiej byłoby, gdyby wzięła ten ognisty metal i owinęła nim...

Faree poruszył się. Stał pomiędzy Atrą i wodzem Lystalów; kolejny strzęp wspomnień powiedział mu, jaki zrobić użytek z tego imienia.

— Czy mówisz teraz za wszystkich, Qua? — spytał, mrużąc oczy. Chociaż wciąż nie czuł się jednym z tych tak z wyglądu do niego podobnych, złościło go, że najwyraźniej nie mieli ochoty przyjąć go do swojego grona. Odtrącenie sprawiło go w jeszcze większy gniew. Rzeczywiście jego umysł był ślepy, więc nie pamiętał, kiedy ostatnio przebywał w kręgu rodziny, ogrzewany i wspierany. Porzucił jednak myśl o tym, co stracił. Nie czułby się też dobrze w żadnym innym klanie. Nagle zrozumiał, że w tym właśnie rzecz. Oto Lanquarowie i Lisowie, Lystalowie i Lyonowie... Widział ich. Jednak oprócz Qua, żaden nie zbliżył się do niego, żaden nie posłał mu przyjaznego przekazu myślowego. Tylko Atra...

Jego dłoń zsunęła się po jej rękę do nadgarstka. Zaciśnął palce na przegubie dziewczyny, jakby jej zatrzymanie było sprawą najwyższej wagi. Na statku polegał na urządzeniu Vorlunda, tutaj ona była jego jedyną opoką i to, czego szukał, mógł znaleźć tylko z nią i przy niej.

— Przemawiam... — Qua zawahał się i na jego przystojnej twarzy odmalował się cień posepnego grymasu; zwinięte skrzydła drgnęły lekko, jakby chciał je rozłożyć i w ten sposób zaprezentować swoją posturę. — Tak, przemawiam w imieniu wszystkich. Oboje przebywaliście w cieniu, w mocy Ich samych. Oni was oślepiłi i spętali — cóż więc w tym dziwnego, że odtąd nigdy nie będziemy pewni, czy można wam ufać?

— Dobrze mówisz, Qua. — Atra uśmiechnęła się chłodno. — Czy rzeczywiście przemawiasz słowami Slithy z Lisów, Userna z Lystalów i Cambara z Loynów?

Teraz przyglądało im się całe zgromadzenie skrzydlatych. Faree wiedział, że pozostali śledzili ich rozmowę dzięki kontaktowi myślowemu. Kiedy Atra wymieniła te imiona, zapanowało wśród nich poruszenie. Znów strzępy wspomnień podsunęły mu to, czego potrzebował. Nie czekał, aż Qua odpowie, lecz sam przejął inicjatywę.

— Jeśli mówisz jednym głosem za wszystkich, Qua — rzekł — nie musisz się niczego obawiać. Nie po raz pierwszy Langronowie zostali samotni. Valfor nosił zielone skrzydła — i z ich powodu zginął jak bohater. My jednak nie mamy zamiaru ginąć. Langronowie będą żyli pod prastarą władzą tak długo, dopóki oboje latamy... — Przyciągnął Atrę nieco bliżej. — Skoro pragniesz naszych Dwóch Równin i ziemi nad rzeką, weź je sobie, Qua. Nie będziemy toczyć o nie sporów. Ale też nie damy o sobie zapomnieć, kiedy na Koniec Roku zostanie ogłoszone Wielkie Wezwanie. Pamiętaj o tym, Qua! — Faree patrzył teraz ponad ramieniem Lanquara na pozostałych. — I wy, Slitho — posłał spojrzenie smukłej skrzydlatej kobiecie o dumnej postawie królowej i skrzydłach ze złota — i Usernie — błękitne skrzydła zadrżały, kiedy jego myśl trafiła do celu — i Cambarze. — Skrzydła tego przywódcy były szare, przechodzące w biel, cera znacznie ciemniejsza, a ciało bardziej krępe niż u pozostałych.

— Zapamiętajcie! — Słowo, jakim Atra wzmocniła efekt jego przemowy, było więcej niż ostrzeżeniem, było rozkazem.

Qua wlepił wzrok w dziewczynę, a potem uśmiechnął się tak chłodno, jak wcześniej ona.

— Teraz mamy wspólnego wroga; lecimy tylko w tym kierunku. — On również mógł tylko przypominać, lecz Faree był pewny, że z jego słów należało także wyczytać ostrzeżenie.

— Jak już uczynił to Glasrant! — posłała myślowy impuls Atra. Cokolwiek rzecznik skrzydlatych chciał jeszcze powiedzieć, nigdy nie padło to z jego ust, gdyż w tej chwili Maelen otworzyła oczy, a ciasno napięta skóra Fragona zadrżała i rozstała się, ukazując oczodoły.

— Stało się! — rozległ się zarówno głos, jak i impuls myślowy Maelen. — Ich latarnia zgasła, a co więcej, wiele mechanizmów obronnych i pułapek, jakie zastawili, przestało działać. A ci dwaj, mający wszcząć kłótnię w gronie swych towarzyszy, są w mocy snu!

Selrena przemówiła do istoty bez maski:

— Roześlij teraz swe sługi, Sorwinie!

Istota w szacie uniosła obie ręce do ust i złożyła je na kształt rogu. Nabrzmiące policzki wyduła jeszcze bardziej i rozległ się sygnał, a jego echo rozeszło się w głowie Faree. Była w nim dzikość, jakaś żądza i głód zwiastujące zagładę. Gliniaki warknęły i wybiegły w pośpiechu z tupotem ogromnych bosych stóp. Za nimi pośpieszyły stworzenia o kołyszających się i falujących ciałach zdających się zmieniać kształty w ruchu — a wszystkie formy, jakie przybierały, wszystkie bezustannie zmieniające się postaci, wywodziły się z najmroczniejszych koszmarów nocy. Jak na ironię ci, którzy od urodzenia byli zaciekłymi nieprzyjaciółmi, teraz maszerowali przeciwko wspólnemu wrogowi.

Zniknęli i Faree odniósł wrażenie, że po ich wyjściu w kryształowej jaskini zrobiło się jaśniej. Zastanawiał się, jakie szkody mogli wyrządzić najeźdźcom, gdyż sprawiali wrażenie nie bardziej materialnych od obłoku mgły pojawiającego się na rozkaz Dardów.

Zakatianin poruszył się po raz pierwszy, odwracając ostry pysk, aby odprowadzić ich wzrokiem. Młodzieniec wiedział, że Zoror notuje w pamięci wszystko, co się tu działo. Jakie imiona nadałby tym, którzy właśnie wyszli? Ilu z nich jeszcze wymieniono dawno temu w tak dobrze znanych mu kronikach?

Niemniej jednak skoro jeden hufiec wyszedł, wszedł inny. Fareę usłyszał znajome, dźwięczne tony fletu. Po tej zapowiedzi wkroczył Vestrum. Ubrany był inaczej niż poprzednio. Miał na sobie srebrny strój z kółeczek tak drobnych i miękkich, że poruszały się nawet przy oddechu. Niósł kryształowy pręt zakończony rękojęcią podobną do gardy miecza, którego Fragon nigdy nie wypuszczał z rąk. Flecista skakał w przód i w tył jak podniecony ogar, czekający, aby naszyć na jakąś zwierzynę, a idące krok za nim dwie kobiety również nosiły kolczugi; na wyciągniętym nadgarstku trzymały latające jaszczurki, mniejsze od tych, jakie towarzyszyły Faree podczas pierwszej wędrówki po tej krainie, lecz najwyraźniej należące do tej samej rasy.

Nie był to koniec orszaku, gdyż tuż za Dardami szedł Vorlund, a obok niego dwaj olbrzymi człapiący ze spuszczonej głowami, aby uniknąć bolesnego zderzenia ze sterczącymi z sufitu kryształami.

Vestrum zabrał głos, jednak najwyraźniej nie zwracał się do nikogo konkretnego, lecz do wszystkich zgromadzonych, od Fragona do najmniejszego ze skrzydlatych.

— Ten oto człowiek — wskazał na Vorlunda w taki sposób, jakby rzeczywiście czuł do niego jedynie lekką wrogość — postąpił tak, jak obiecał, wysłał swego posłańca.

— A ty, Vestrumie, czego dokonałeś? — Selrena pierwsza przerwała ciszę, jaka zapadła po tej wiadomości.

— Dopilnowałem, aby nie było zdrady w tym, co zrobiono! — odparł chłodno Darda. Teraz po raz pierwszy spojrzał na Faree i błyskawicznym ruchem wymierzył pręt w jego głowę. Po klindze przebiegł punkcik tęczowego światła. Pamięć Faree znów odżyła. Młodzieniec zrobił dwa kroki naprzód, uniósł obandażowaną dłoń i chwycił koniec pręta. Kryształ był chłodny, wydawał się promieniować przenikliwym zimnem, lecz Faree nie wypuścił go przez dziesięć powolnych oddechów. Potem opuścił rękę i jego spokojne, przenikliwe spojrzenie napotkało wzrok Vestruma.

Czyżby w oczach baczenie przyglądającego mu się Dardy odmalował się lekki cień rozczarowania? Faree nie był tego pewny.

— No i cóż, Vestrumie. — Tym razem Atra przerwała milczenie, kiedy podskakujący flecista usiadł u stóp swego pana i zaczął wygrywać na swoim instrumencie dźwięczne trele. — Wierzysz w to? Czy też za chwilę oznajmisz, że Glasrant potrafi ukryć przed tobą swoje myśli?

— Dość tego! — Po raz pierwszy Faree zobaczył, że Fragon wstaje. Wyprostowany Darda był równie wysoki, co chudy; mógł się mierzyć z gigantami, którzy przybyli z Vorlundem. — Cokolwiek mogło tkwić w tych dwojgu, już znikło. Tej nocy Glasrant dokonał czynu godnego Valfora — tyle że, choć nasi Starsi swego czasu byli potężni, nie mieli wiedzy o Nich. Otrzymaliśmy coś, co utraciliśmy z chwilą przybycia do tego świata. Żyliśmy i wznosiliśmy budowle, teraz wymieramy, mieszkamy pod ziemią albo kontaktujemy się z jedną rasą, nawet jednym rodem, tylko swoimi bliskimi. Wiele utraciliśmy i teraz jesteśmy zbyt starzy i zbyt nieliczni, żeby sami się obronić przed Nimi. Ile jeszcze razy muszą przybywać ich gwiazdne statki, niosąc śmierć? Ich jest sto razy więcej niż ziaren piasku pod naszymi stopami. Zawsze będą przybywać następni, a nas będzie zostawać coraz mniej po ich odejściu. Jeśli w ogóle odejdą, gdyż tym razem ich sygnał miał ściągnąć innych. Spójrz na rezultaty swych badań starożytnej wiedzy, Vestrumie. Co odkryłeś? Drobne, ulotne rzeczy... Czy potrafisz stworzyć coś, co jest nie większe od twojej dłoni, lecz może wstrząsnąć gwiazdnym statkiem?

Nuty fletu wzbijały się coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie zabrzmiały jak wołanie o pomoc. Darda w kolczudze stał z posępną miną, głaszcząc obiema dłońmi pręt z rękojęcią.

— A ty, Sorwinie. — Fragon pochylał głowę, szukając szeroko otwartymi oczami

istoty bez maski. — Tobie w to graj... tak, od dawna tak właśnie myślałeś. Twoje gliniaki i upiory — one nie muszą się Ich obawiać. Ty i twoi podwładni sędziacie, że możecie zaszyć się w takiej kryjówce, z jakiej żaden pozaziemski umysł ani ciało nie zdoła was wydobyć! Teraz już wiemy, że myliłeś się bardziej, niż ci się wydaje. I powiadam ci, Oni zawsze szukali wiedzy, coraz częściej tam, gdzie my nie możemy lub nie chcemy chodzić. Potrafimy wezwać burzę, obrócić przeciwko nim samą ziemię. Nie potrafimy tylko wytrwać — jesteśmy zbyt nieliczni i zbyt zmęczeni. Jakie inne jeszcze tajemnice odkryli? Nie sądźcie, że będziecie bezpieczni w kryjówce.

Sorwin nie odpowiedział, lecz Fragon najwyraźniej jeszcze nie skończył. Wykonał gest jedną dłonią, palcami drugiej wciąż ściskając mocno rękojeść miecza tkwiącego w czaszce. Było to wezwanie i nikt nie zamierzał go lekceważyć.

Zakatianin, a także Maelen i Vorlund ze swymi olbrzymimi pomocnikami zbliżyli się do niego. Faree z ociąganiem wypuścił dłoń Atry, aby stanąć przy nich. Fragon znów się ruszył, zszedł ze swego ciemnego tronu. Stał i czekał, aż podejda do niego.

Nie podeszli zbyt blisko, gdyż Mroczny Darda wymachiwał mieczem w obie strony, wygładzając czaszką piasek. Kiedy uznał, że powierzchnia jest wystarczająco równa, sięgnął za pazuchę i cisnął na przygotowane miejsce kulę z mętnego kryształu, taką samą, jaką Faree wziął do ręki w komnacie Vestruma. Ta jednak nie rozbiła się przy upadku. Zamiast tego trysnęło z niej światło. Wtedy wszystkim wydało się, że wzbili się w niebo i patrzą z góry na bezustannie, niemal gorączkowo zmieniającą się sceny. Gwiazdny statek nie stał już prosto, lecz przechylał się, a jego dziób był dziwnie wykrzywiony. Grad i wicher smagały pojazd i ziemię wokół niego. Strzępy namiotów łopotały na wietrze. Ludzi nie było widać.

Wtedy z huraganu wyłoniło się stado skrzydlatych węży podobnych do tych, jakie Faree widział wcześniej. Te jednak były cztery, sześć razy większe i wirowały jak szalone wokół przechylonego statku, raz za razem przelatując i nurkując tuż nad pobojobowiskiem.

Potem noc i burza znikły, a wraz z nimi uszkodzony statek i resztki namiotów. Patrzyli teraz na wezbrany od deszczu strumień; był jasny dzień. Na brzegu strugi zebrała się garstka mężczyzn. Kilku na klęczkach grzebało w ziemi gołymi rękami. Jeden wyszarpnął z ciemnej gliny kawałek błyszczącego metalu. Stojący najbliżej niego, wyrwał mu go z rąk. Mieli otwarte usta i przypuszczalnie krzyczeli na siebie. Po chwili najwyraźniej wszystkich ogarnął szal, a potem błysk lasera zakończył scenę.

— Już nie sprawią nam kłopotów... — nadeszła myśl Vestruma, w której pobrzmiwała satysfakcja i triumf.

— Będą inni. — Selrena zerwała tę nić satysfakcji. — Zawsze będą inni! Jest tak, jak powiedział Fragon; ich jest tylu, co ziaren piasku. Żyją krótko, lecz mnożą się bez opamiętania, a my mamy mało dzieci. Od dawna uciekamy przed nimi — teraz za sobą mamy wysokie góry i nie znamy gwiazdnych dróg. Już jesteśmy martwi, chociaż się jeszcze szarpiemy...

— To nie całkiem prawda.

Wszyscy odwrócili się, żeby spojrzeć na Vorlunda.

— Wy posłużyliście się swoimi siłami. — Wskazał kulę leżącą na piasku, nie wysyłając już obrazów. — My naszymi. Pracowaliśmy nie tylko w ciągu tych dni i nocy, jakie minęły, lecz zrobiliśmy też coś dla przyszłości. Od dawna trzymaliście się na uboczu — nie sądźcie jednak, że jesteście osamotnieni. Macie swoje obrzędy i zwyczaje, własne prawa i kary za ich złamanie. Prawa i kary istnieją także na innych planetach. Sądźcie, że przyniosłem ze swojego statku coś, co wam pomoże. Tak, to prawda. Możemy wam jednak dać coś więcej...

— Spójrzcie na nas! — rzekła władczo Maelen. Wyciągnęła rękę, którą chwycił Zakatianin. On z kolei podał rękę Vorlundowi, a kosmiczny wędrowiec ścisnął dłoń

Faree. — Różnicie się wyglądem, a mimo to podejmujecie wspólnie decyzje; z nami wśród gwiazd jest tak samo. Istnieją źli ludzie będący waszymi wrogami, lecz wcale nie są tak liczni jak ziarnka piasku. Wiemy też, jak można ich zniszczyć, jak wznieść ochronną barierę, przez którą nie przedrże się żaden ich statek.

Myślowy przekaz Zakatianina był cięższy, lecz równie wyraźny.

— Prawdą jest również, że na innych planetach są lądy i morza, a ich mieszkańcy mogliby łatwo paść ofiarą złych ludzi. Nie muszą się jednak niczego obawiać...

— Dlaczego? — Vestrum podszedł bliżej, żeby zadać pytanie. Biła od niego atmosfera wrogości, a minę miał buńczuczną.

— Ponieważ w przestrzeni wokół tych światów znajdują się obrońcy. Nie są to żywe, oddychające istoty naszego rodzaju, lecz bardzo małe statki poruszające się według określonego wzoru. Jeśli nadleci jakiś gwiazdny pojazd, szybko go dogonią i wyślą ostrzeżenie. Jeśli go nie posłucha, jeszcze w locie zacznie przypominać statek najeźdźców, który przed chwilą widzieliście. Tylko znający właściwe słowa i potrafiący wymówić je w myślach mogą przejść bezpiecznie. Co cztery lata jeden ze znających sygnał przyleci tutaj i wyląduje w wybranym przez was miejscu. Tam będziecie mogli spotkać się z ludźmi ze statku. W ten sposób w ciągu następnych lat poznamy się nawzajem, a kiedy nadejdzie pora, będziemy umieli żyć w pokoju.

— Ty, Który Myślisz i Pamiętasz — odparł Fragon. — Wiemy, że to, co mówisz, jest prawdą — twoim zdaniem. Mimo to prawda ma wiele twarzy, kiedy mieszka wśród różnych ludów. Czasami jest zmienna, tak jak życie, i to, co teraz jest dobre, może być złe kiedy indziej. Nie mamy jednak wyboru. Jeśli nie chcemy paść ofiarą każdego obcego statku, jaki tu wyląduje, musimy się zgodzić na to, co proponujecie. Jak jednak zamierzacie tego dokonać? Wy macie statek i możecie uciec do innych gwiazd. My jesteśmy przykuci do ziemi i zanim doczekamy się tego, co obiecujecie, możemy przyciągnąć następnych grabieżców.

— Nieprawda. — Vorlund pokręcił głową dla podkreślenia swych słów. — Wśród waszych gór umieszczono urządzenie obronne, podobne do tego, jakim załoga statku usiłowała ściągnąć swych złodziejskich kompanów. Teraz jednak wysyła inną wiązkę. Wszyscy obawiają się śmierci, której nie można zwyciężyć ani wyleczyć żadnym wszechlekiem. Są takie światy — wasz lud był kiedyś gwiazdnymi wędrowcami, może więc pamiętacie — gdzie śmierć czyha na każdego, kto odważy się tam wylądować. Na takich planetach stróża prawa ustawili latarnie ostrzegające każdy statek zbliżający się do orbity lądowania. Wystarczy, że zadbacie o ten sygnał ostrzegawczy, a nie będziecie musieli się obawiać, że ktoś odkryje wasz świat przez przypadek. To wam wystarczy, dopóki nie wrócimy ze skuteczniejszym środkiem obrony, o którym wspominałem...

Przerwała mu szorstko brzmiąca myśl Sorwina.

— Mamy więc czekać, aż przybędą obcy i ustanowią swoje rządy. Znow nas zniewolą...

— Nie — zaprzeczył Zoror. — Mam nadzieję, że tu wrócę, gdyż tyle jeszcze chciałbym się nauczyć. Czyż zakuwam was w pałac żelazo? Inni też mogą być podobni do mnie — do nich... — Kiwnął głową w kierunku Maelen i Vorlunda. — Spytajcie swojego brata. — Teraz wskazał Faree. — Czy można nam ufać, czy jesteśmy władcami wydającymi rozkazy?

— Oni na swój sposób są naszymi krewnymi — odparł Faree. — Wyprowadzili mnie z Głębokiego Mroku i nazywają przyjacielem. Tak jak dla mnie przyjacielem jest on. — Wyciągnął zza koszuli smaksa. — Nie kształt jest ważny, lecz to, co znajduje się we wnętrzu. Poza tym — uporządkował swe myśli — przysięgam na swoje ciało po Wielkiej Pamięci — możecie zrobić ze mną, co zechcecie, jeśli sądzicie, że wypaczyłem prawdę.

Vorlund położył dłoń na ramieniu młodzieńca.

— On wiele dla nas znaczy, z każdym mijającym dniem coraz więcej. Przekażemy mu całą wiedzę, jakiej potrzebujecie, aby zachować wolność. On jest naszym bratem i przyjacielem. Zawsze nim będzie.

Sorwin burknął coś, lecz Fragon powoli kiwał głową.

— Nie wyczuwam fałszu w tym, co powiedziałeś. Ty w to wierzysz. Jeśli trudno nam się z tym pogodzić, to dlatego, że często było inaczej. Glasrant podróżował wśród gwiazd jako jeden z was. Rzeczywiście możemy się od niego uczyć. Dlatego zgadzamy się, abyście powierzyli mu taką wiedzę, jaką chcecie się podzielić. Dla was jednak nie mamy niczego — z wyjątkiem wdzięczności za to, co już zrobiliście. Niech czas udowodni, czy mieliście rację.

Faree stał tam, gdzie skrzydła zaniosły go o świcie. Patrzył z góry na nieckę doliny. Oni znajdowali się już na pokładzie statku. Wszyscy, z wyjątkiem dwóch... Na moment zerknął na to, co trzymał w ręku, poczuł znajomy uścisk odnóży na ramieniu i nadgarstku.

— Zimno... — Również ta skarga zabrzmiała znajomo. Toggor nie lubił wiatru, jaki dął na szczycie gór.

— Lady Maelen? — Szybko wysłana myśl i odpowiedź.

— Lord Krip? — Drugie pozdrowienie i pożegnanie.

— Lord Zoror...?

— Tylko do następnego spotkania — odpowiedziała mu szybko myśl Zorora.

Faree obserwował płomień dysz i wznoszący się coraz wyżej statek zmierzający znów ku gwiazdom.

— Naprawdę chcesz tu zostać?

Wylądowała na porośniętym trawą szczycie urwiska wystarczająco daleko, aby jej nie zauważył, dopóki ich myśli nie splotły się.

— Sam nie wiem... Tutaj jestem samotny.

— Tutaj należysz do rodziny. — Jej przekaz był wyraźny i dziwnie miękki.

Zwinęła skrzydła i szła w jego stronę. W dłoniach trzymała bukiet kwiatów wszechleku, których zapach był również jej zapachem.

— Rodzina, rodzina — nuciła teraz na głos i każde jej słowo było jak wonny uzdrowicielski oddech tej rośliny.

Faree zadarł głowę i spojrzał w niebo zabarwione świtem. Widział tylko bardzo nikły ślad. Potem i on zniknął.

— Rodzina! — Atra była przy nim i zapach kwiatów przyniósł ze sobą ukojenie wszystkich smutków.

Nie szukał już na niebie przeszłości, lecz spojrzał w twarz przyszłości i uśmiechnął się radośnie.